



BOHDAN JANUSZ

293 DNI

RZĄDÓW ROSYJSKICH WE LWOWIE

(3. IX. 1914 — 22. VI. 1915)

LWÓW 1915.
KSIĘGARNIA POLSKA (BERNARDA POŁONIECKIEGO)
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF

ODBITO W DRUKARNI „PRASA" LWÓW, SOKOŁA 4.

Rzecz niniejsza nie jest nawet próbą wyczerpującej historyi rządów rosyjskich we Lwowie, bo nie tylko nie czas jeszcze na jej skreślenie, ale i wogóle nie było to zamiarem autora. Przyszłość dopiero wydobędzie z ukrycia dokumenty, których istnienie dziś ledwie podejrzywać można, umożliwi lepsze zrozumienie znanych już w tej chwili, usunie rozjątrzenie partyjności i stronniczości — jednem słowem, uprzystępni gruntowniejszy sąd o rzeczach, pozwalając spoglądać na nie z perspektywy czasu. Nie dałoby się jednak spisać dziejów bez źródeł współczesnych, które w tym celu utrwalić w jakiś sposób należy. Praktyczność nakazuje przekazanie przyszłości przedewszystkiem tego, co najłatwiej ulega zapomnieniu, najłatwiej zaciera się w pamięci człowieka. Materyałem dla historyka jest nie tylko martwe słowo pisma, lecz nadewszystko żywe tętno życia, tego życia, które najmniej może troszczy się o historyę, chociaż najistotniejszą treść jej stanowi. Obraz jego prawdziwy, rzetelny, nie łatwy jest do schwycenia i utrwalenia, ale tem bardziej właśnie zyskuje z czasem zainteresowanie, im więcej z biegiem lat kolory jego płowieją, pamięć o niem zaciera się.

Przejawy życia codziennego z jego wielkiemi goryczami a małemi radościami, z rozczarowaniami i nadziejami złudnemi, uchylają się najczęściej z pod oka bystrego dziejopisa, a jednak ile zaciekawienia dla nich żywimy my i żywić będzie potomność. I jeśli ujść miałyby one rylcowi dziejopisa, to niech zachowają się przynajmniej w tej formie, w jakiej

je oddać powiodło się książce niniejszej. Nie jest to historya sama, ale historya w części swej znacznej — co historyk kiedyś powie na temat pracy tej o to, będzie z pewnością gruntowniejsze i dokładniejsze, ale przy wszystkiem zawierać będzie i to, co w niej już miejsce znalazło. Cegłą jedną w gmachu przyszłej historyi miasta naszego ma być według intencyi autora, a oby też była nią i z wartości swojej.

We Lwowie, 3. września 1915 r.

293 DNI RZĄDÓW ROSYJSKICH WE LWOWIE

Szybko następowały po sobie lipcowe i sierpniowe wypadki ubiegłego roku. Nie zapomniane zostaną dla wszystkich we Lwowie zwłaszcza ostatnie dnie sierpnia: przewaliła się wówczas przez miasto istna wędrówka ludów, tem różna od swych dawniejszych poprzedniczek, iż królował nad nią bystro w przyszłość wpatrzony wielki umysł dzisiejszych organizatorów-wojowników, że przyświecał jej karny ład i świadomość celu. Przypominamy sobie, iż te olbrzymie fale, co na znak dany spłynęły zewsząd w jedno morze ludzkie, na rozkaz też jeden zwróciły swą siłę niszczącą w kierunek wytyczony, poddając się jak uległy olbrzym nowemu poleceniu — zakołysały się, zachwiały w swym pędzie naprzód i karnie ustąpiły na nowe stanowiska. Sprawność z jaką setki tysięcy żołnierza w przemarszu przez Lwów odeszły w tył, była tak zdumiewająca, iż cała, bez wyjątku chyba, ludność Lwowa z największem zdziwieniem spostrzegła długo potem dopiero, że armia pożegnała miasto, że zostało ono osierocone. Mimo faktu dokonanego, ogół nie chciał, bo też i nie mógł uwierzyć temu — tak się to stało wszystko składnie i sprawnie. I jeśli „sądem ostatecznym“ nazwał ktoś ostatnie dnie sierpnia, z pewnością nie miał na myśli zgiełku wojennego, ruchów armii, bo ta karną swą organizacyą w zdumienie wprost wprowadzała niesforne, a nie przeliczone tłumy niezbrojnego ludu, spieszącego w gorączce na dworzec kolejowy. Te właśnie tłumy nieprzeliczone odegrały rolę w zaaranżowa-

nym przez zbyteczne umiłowanie osób swych „sądzie ostatecznym“, one to rozpaczne swą bezradnością, ale wybitną chęcią do życia, wypełniły szczelnie wspomnienia nasze z dni tych niezapomnianych.

Trwożne wieści z źródeł najprzeróżniejszych rozchodzić się poczęły już dość długo przed ewakuacyą Lwowa. Dnia 27. sierpnia 1914 r. musiała c. k. Komenda wojskow⁻ ogłosić: „Ze względu na lekkomyślnie rozsiewane fałszywe pogłoski, wywołujące pewne zaniepokojenie wśród ludności miasta Lwowa, oznajmia się, że wojska nasze stoją na silnych pozycyach, które zajęły i że miastu bezwarunkowo nie grozi żadne niebezpieczeństwo“. Rozbudzone raz obawy nie ucichły już jednak, podtrzymywane skutecznie przez zbiegów z okolic działań wojennych, którzy z stanowiska osobistych interesów swych, niewygód i przykrości w jak najczarniejszych potrafili kreślić kolorach djabła, nie oglądanego zresztą wcale na oczy własne. Wiadomo zaś, iż zło każde groźne jest, jak długo nie spojrze mu się w oczy — by się zaś na to zdobyć trzeba wprzód zrzucić z siebie skórkę zajęczą, co też nie za łatwą rzecz uchodzi. Rzucili się więc w popłochu do ucieczki nie tylko ci, którym obowiązek to nakazywał. A kto i jak nie uciekał?

Wskutek powstałego w czwartek 28. sierpnia popłochu, jakoby z powodu zbliżania się do miasta od rogatki Łyczakowskiej oddziałów kozackich, prezydent miasta udał się do komendy placu i stwierdził tam, że pogłoska jest nieprawdziwa, a komenda rozesłała wspomniany komunikat. Celem zaś zapobieżenia podobnym zajściom wydała dyrekcya policyi następujące obwieszczenie:

„Na zasadzie ustępu 10 obwieszczenia c. k. namiestnictwa z dnia 26. lipca 1914 l. 17,727 o wyda-

nych przez całe ministerstwo na podstawie ustawy z dnia 5. maja 1869 nr. 66 Dziennika praw państwa, zarządzeniach wyjątkowych, zarządza c. k. dyrekcya policyi co następuje:

1. „Na ulicach przystawać i gromadzić się bezwarunkowo nie wolno.

2. Wszystkie szynki oraz wogóle wszystkie kamienice mają być zamknięte o godz. 8. wieczorem, zaś wszystkie restauracye i kawiarnie o godz. 12. w nocy.

3. Po godz. 10 wieczorem osobom cywilnym bez legitymacyi (t. zw. Passierschein) nie wolno pojawiać się na ulicy. Legitymacye w razie udowodnionej potrzeby wystawia dyrekcya policyi.

4. Wykroczenia przeciw powyższym przepisom, o ile według istniejących ustaw nie podpadają cięższej karze, karane będą policyjnie po myśli końcowego ustępu wyżej powołanego obwieszczenia grzywną aż do kwoty 2000 K, względnie aż do 6 miesięcy.

Lwów, 28. sierpnia 1914“.

Zarządzenia te zdołały uspokoić, ale najodważniejszych tylko, do czego pczyczynił się też i komunikat urzędowy z wojennej kwatery prasowej, ogłoszony 30. sierpnia. Stwierdzał on: „Wielka bitwa, która rozpoczęła się 26. sierpnia, trwa dalej. Sytuacya naszych wojsk jest korzystna. Jest ciepło i słonecznie“. Niemniej jednak tysiące ludzi poczęło na gwałt pakować manatki, by jeszcze w czas, ich zdaniem, znaleść się w bezpieczniejszem miejscu, niż nim być mógł Lwów, niepokojony coraz to nowymi alarmami. Poczęła się też gromadna wędrówka nieprzeliczonych tłumów, zwłaszcza niewiast i dzieci. Ulice, prowadzące na dworzec kolejowy, bywały chwilami formalnie

zatarasowywane wozami i pieszymi, obciążonymi mnóstwem pakunków, a przez te tłumy przeciskały się liczne oddziały wojskowe, piechota i konnica. Na dworcu starali się wszyscy odrazu znaleść przy pociągach wprawdzie bardzo licznych, ale jednak za szczupłych, by zdołać pomieścić tylu uciekinierów, którym do tego aż tak bardzo się spieszyło. Oglądać też można było sceny, zgoła nie przynoszące zaszczytu płochliwym Lwowianom, chociaż mimo trwogi nie przyszło do żadnych zaburzeń spokoju publicznego. Trwało to dni trzy, a do największych rozmiarów doszło w sobotę, oraz w nocy z soboty na niedzielę (30—31 sierpnia). Ciężka to była noc owa. Gościńce, ulice, najdrobniejsze nawet drogi, wszystko to uginało się wprost od wozów ładownych, furgonów, automobili, rowerów, fiakrów, powózek, a widzieć też można było nawet taczki ręczne, wózki dziecinne, na prędce sklecone skrzynie z kołami. Za odwiezienie kilku pakunków na dworzec płacono niewiarygodnie wielkie sumy, w braku zaś wózków choćby i nie ze wszystkiemi kołami — bo i takie widzieć można było — objuczano się jak wielbłądy i to na to, by w rezultacie wszystko zostawić na los szczęścia i samemu bohaterskimi wysiłkami wywalczyć sobie miejsce choćby na stopniach wagonów. Ścisk w wagonach był tak ogromny, że przez stłoczone masy nie można się było przecisnąć, wobec czego ryzykowniejsi — a było ich nie mało — windowali się przez wąskie okna, Boga chwaląc, że przecież się im udało. Przed pociągami wyrastały w jednej chwili stosy olbrzymie kufrów, skrzyń, pakunków, za którymi napróżno sięgali właściciele — nie było na nie miejsca w wagonach, wobec czego pozostać musiały na opatrzności boskiej. Masy szczęśliwców odjeżdżały, ale bardzo nie wielu tylko wiedziało, gdzie właściwie znajdą upragniony

kąt pewny — tysiące pozostawały, wyglądając z niecierpliwością nowych pociągów i w oczekiwaniu tem nocowało na ulicach, spoczywając na stosach pakunków, których nie mieli wziąść ze sobą. Na alarm „pociąg stoi“ wszystko rzucało się do szturmu na wagony, zdobywając mężnie pozycye, słabo bronione przez dzieci i kobiety. Rodziny całe gubiły się nawzajem, bo cudem było we dwójkę lub trójkę ulokować się w tym samym pociągu: zgubione dzieci wciągano w takich razach przez okna, a sposobu nie było wydostania się z wozu z powrotem. Nad wszystkiem zaś tem kłębiły się obłoki wyziewów, spieka i wrzawa, w której nie sposób było się porozumieć. Tymczasem odjeżdżał jeden pociąg za drugim i do każdego nie zdążyło wsiąść przynajmniej kilka tysięcy ludzi, nie udało się ulokować olbrzymiego taboru spakowanych kufrów. Tysiące „nieszczęśliwców“, którym nie powiodło się pożegnać Lwowa, już w kilka dni potem za szczęście to sobie poczytało. Nie mogli jednak o tem wiedzieć ci, których lokomotywy powiozły w odległe strony na losy nieznane.

Jak grom rozeszło się po mieście w poniedziałek 31. sierpnia, że Wydział krajowy z urzędnikami przeniósł się do Nowego Sącza, gdzie też odjechał Bank krajowy po czasowem zamknięciu lwowskiej filii Banku austro-węgierskiego. Stało się to nagle, całkiem niespodzianie. Równocześnie władze państwowe w komplecie opuściły miasto w nocy z 30. na 31 sierpnia. Kolej przygotowała pociągi ewakuacyjne, zawiadomiono późnym wieczorem urzędników, niektórych budzono w nocy. Jak niespodziewane było to dla ogółu mieszkańców, dowodzi tego okoliczność, że n. p. nauczyciele, jak zwyczajnie, pospieszyli rano po

pensye, nie domyślając się nawet, co zobaczą pod gmachem namiestnictwa

O godz. 4. nad ranem ruszył z głównego dworca pociąg, przeznaczony dla wojskowych i ich rodzin, a nie długo po nim pociąg urzędniczy. W kilka godzin potem ewakuacya była już faktem dokonanym. Wyjeżdżali jeszcze w poniedziałek i wtorek ludzie prywatni, którzy gdyby chcieli, bez przeszkody pozostaćby mogli.

W poniedziałek, wczesnym rankiem, nie wiadomo z czyjego polecenia policyanci i żandarmi chodzili od bramy do bramy, zabraniając dozorcom otwierania kamienic i wypuszczania lokatorów, nie pozwalając na wydanie dzienników. I to dopiero wznieciło popłoch ogromny: do ucieczki rzucił się jeszcze kto mógł sobie na to pozwolić. W południe miasto jakby zamarło, sklepy zamknięto, ulice opustoszały.

Rządy objęło miasto. W poniedziałek 31. sierpnia o godzinie 5. popołudniu odbyło się w sali ratuszowej zgromadzenie obywateli stolicy w sprawie utworzenia Miejskiej Straży Obywatelskiej. Przedtem jeszcze dnia 16. sierpnia 1914 r. odbyło się posiedzenie Rady miasta w sprawie M. S. O. pod przewodnictwem prez. Neumana, który przedstawił zebranym projekt statutu straży. Wybrano wówczas komisyę, celem opracowania regulaminu straży i uchwalono, iż naczelnikiem jej będzie prezydent miasta, prócz tego będzie komendant, oraz 6 zastępców, którym przydzieli się poszczególne dzielnice miasta. Postanowiono też wówczas, iż straż uzbrojona będzie w rewolwery i szable, a składać się będzie z obywateli chętnych do tego. Projekt ten został zaakceptowany przez namiestnictwo i dyrekcyę policyi, ale nie zrealizowany natychmiast, uledz musiał zmianom w stosunkach zmienionych. Chwila po-

trzeby skłoniła do szybkiego działania: policya wycofana została z miasta.

Zebranie z 31. sierpnia zagaił wiceprez. dr. Tadeusz Rutowski. Wyjaśnił, iż nieprzewidziane wypadki sprawiły opuszczenie miasta przez władze, wobec czego musi ono samo sobie radzić. Apelując do obywatelstwa, aby stanęło na wysokości swego zadania, zaznaczył, iż nie jest wykluczone, że sytuacya zmienić się jeszcze może. Chwila obecna wymaga utworzenia straży obywatelskiej, którąby czuwała nad bezpieczeństwem i mieniem mieszkańców. Zaznaczając jak wielkie posłannictwo składa miasto w ręce straży obywatelskiej, przestrzegał przed jakąkolwiek prowokacyą nieprzyjaciela, gdyby wkroczył w mury stolicy, w takim bowiem razie mógłby powiedzieć, że go zaatakowano i na atak odpowiedzieć atakiem. Następnie zawiadomił, że naczelnictwo straży objął radny miejski radca Schneider.

P. Schneider objaśnił zebranie o zadaniach straży, podzielonej na dzielnice z komendantami dzielnicowymi na czele, z siedzibami w odnośnych komisaryatach.

Poruszono dalej rozmaite szczegóły, co do wydania i ogłoszenia publicznie specyalnych instrukcyi i odezwy do mieszkańców, która też pojawiła się wnet na murach. Straż zaś obywatelska zaczęła natychmiast funkcyonować. Każdy członek jej nosił na ramieniu odznakę ze wstążki amarantowo-niebieskiej (barwy miasta) z literami M. S. O. Na wykonawców zaś rozporządzeń Straży powołano straż akcyzową, pożarną i ochotniczą.

Urzędujące prezydyum miasta — wiceprezydenci: dr. Rutowski, dr. Stahl i dr. Schleicher wydali następującą odezwę:

„Obywatele!

Z dniem dzisiejszym obejmuje Miejska Straż Obywatelska czuwanie nad porządkiem w mieście.

Każdy obywatel winien członkom Straży bezwarunkowe posłuszeństwo.

Odznaka: przepaska na ramieniu o barwach miasta.

We Lwowie, d. 31. sierpnia 1914.

Prezydyum miasta:

Dr. Tadeusz Rutowski, *Dr. Leonard Stahl*, *Dr. Filip Schleicher*.

Naczelny komendant Straży: *Adam Schneider*.

*

„Obywatele!

Wzywamy was do największego spokoju.

Nie wolno się płoszyć.

Straż Obywatelska czuwa nad bezpieczeństwem mienia i życia.

Należy jej zupełnie ulegać.

W komisaryatach miejskich urzędują komendy straży.

Niech wraca normalne życie w mieście.

Sklepy, zwłaszcza z żywnością mają być otwarte

Bramy domów winny być otwarte do godziny 8 wieczór.

Żadnych prowokacyi.

Na Boga! Spokój, ład, porządek.

Prezydyum:

Rutowski, *Stahl*, *Schleicher*".

Regulamin Miejskiej Straży Obywatelskiej kreśli następująco jej działalność:

1. Współdziałanie z rządowymi organami bezpieczeństwa publicznego przy ochronie bezpieczeństwa mienia i życia mieszkańców miasta Lwowa.
2. Współdziałanie z odnośnymi organami na placach i ulicach miasta, oraz wspieranie wogóle organów rządowych bezpieczeństwa publicznego przy wykonywaniu obowiązków służbowych i udzielanie potrzebnej pomocy.
3. Czuwanie nad tem, aby majątek i dobro obywateli i gminy miasta Lwowa nie były narażane i zapobieganie uszkodzeniu wszelkich urządzeń i zakładów publicznych, tak miejskich jak i rządowych.
4. Przestrzeganie utrzymania porządku na miejscach publicznych, plantacyach, drogach i w realnościach, oraz dopilnowanie zachowania odnośnych ustaw i przepisów.
5. Osobom, które nagle na ulicy zasłabły, dostarczanie jak najspieszniejszej pomocy lekarskiej i zawiadomienie o tem, jak i o spostrzeżonych wypadkach chorób zakaźnych odnośnego komisaryatu.
6. Przestrzeganie, aby na targach i w handlach przy sprzedawaniu artykułów żywności nie przekraczano ogłoszonej taryfy maksymalnej.

Do M. S. O. może należeć tylko mieszkaniec miasta Lwowa, przyjęty przez Komendanta straży na podstawie opinii Komitetu zarządzającego — odpowiednio uzdolniony.

Naczelnikiem M. S. O. jest prezydent miasta lub tegoż zastępca, który mianuje komendanta straży, tegoż sześciu zastępców, po jednym na każdą dziel-

nicę miasta. Ci wszyscy tworzą Komitet zarządzający M. S. O.

Wszyscy przyjęci do M. S. O. pełnić będą swe czynności na podstawie poleceń wydawanych przez prezydyum miasta w porozumieniu z c. k. władzami policyjnemi, pod kierunkiem swych przełożonych.

Osoby pragnące przyjęcia do M. S. O. winne zgłosić się w miejscu podanem w odnośnem ogłoszeniu i przynieść wszystkie dokumenty osobiste.

Każdy przyjęty członek M. S. O. ślubuje przez podanie ręki Komendantowi sumienne i karne spełnianie obowiązków. Członkom tym służy ochrona prawna w myśl obowiązujących ustaw, jako ustanowionej przez władzę gminną straży publicznej.

Członkowie M. S. O. otrzymają legitymacyę pisemną, a w służbie mają nosić jako odznakę na lewem ramieniu opaskę o kolorach miejskich z literami M. S. O. i pieczątką prezydyum miasta.

Członkowie M. S. O. obowiązani są zachowywać się wobec osób prywatnych z powagą i ugrzecznieniem, zaś wobec przełożonych bezwarunkowem posłuszeństwem. Otrzymany rozkaz winni wykonać prędko i ściśle.

Co do rozdziału czynności w obrębie dzielnic miasta, czasu służby itp. wydane zostały odnośne postanowienia na zasadzie niniejszego regulaminu w krótkiej drodze.

Każdy członek M. S. O. pełni swe czynności bezpłatnie, winien zatem sam starać się o utrzymanie i mieszkanie.

Niestosujący się do powyższych postanowień, nie pełniący przydzielonej służby należycie, lub nie

na czas, zostaną po jednorazowem upomnieniu ze służby zwolnieni (ust. 4.).

Zorganizowana na podstawie powyższych postanowień M. S. O. będzie z ukończeniem wojny rozwiązana.

Prócz powołania do życia instytucyi, która tak wielkie oddała usługi miastu całemu w chwilach istotnie ciężkich i tak pięknie się zapisała w pamięci wszystkich obywateli, powzięła Rada miejska na owem historycznem swem posiedzeniu w 31. sierpnia nadzwyczaj doniosłą uchwałę, a mianowicie postanowiła aż do odwołania urzędować w permanencyi. Posiadała ongiś Rada miasta naszego sławę najmądrzejszej w Polsce całej — tradycyom pięknym nie sprzeniewierzyła się też i w ciężkich chwilach obecnych, ujmując energiczną ręką rządy zgnębionego miasta. I jeśli na uznanie niezwykłe zasługuje Rada, to niemniej należy się ono i mieszkańcom Lwowa, którzy z największem poddaniem się woli jej wypełniali swoje nie łatwe obowiązki.

Przytomność umysłu Reprezentacyi stolicy postawiła, rzec można, odrazu mieszkańców zgnębionych na nogi. Nad wieczorem skołatane umysły o tyle poczęły przychodzić do równowagi, że przygotować się mogły z rezygnacyą do wszelkich ewentualności — świadomość tego, iż jest ktoś, co czuwa nad opuszczonymi znacznie wpłynęła na uspokojenie miasta. Nocy tej mało zapewne ludzi spało, ale ranek znalazł wszystkich w oczekiwaniu dalszych „nowości“.

Na brak władz musiano się z konieczności zgodzić, ale tem skwapliwiej wyglądano rady, pomocy od najwyższej, a zarazem jedynej magistratury, respektowanej obecnie,

jak nigdy może przedtem. Z uczuciem ulgi dowiedzieli się mieszkańcy, że Rada miejska obradowała w dalszym ciągu we wtorek 1. września, rozmyślając tylko nad szybkiem zawróceniem chwilowo wytrąconego z równowagi życia publicznego w dawne koryto normalne.

Rada uchwaliła, aby prezydyum miasta wezwało wszystkich urzędników obecnych we Lwowie do bezzwłocznego podjęcia czynności urzędowych, zagrażając surowemi konsekwencyami opuszczającym służbę bez pozwolenia. Poleciła dalej stwierdzić urzędownie, którzy radni są we Lwowie i zawezwać ich do brania udziału w posiedzeniach, odbywających się codziennie od godziny 6. wieczorem. Nadto radni mają się zgłosić codzień z rana do magistratu, celem poinformowania się, czy nie zachodzi potrzeba wcześniejszego zebrania rady. Miasto wypiekać ma chleb i rozdzielać go potrzebującym pomocy. Zajęło się też prezydyum uzyskaniem od namiestnika pieniędzy na wypłatę zasiłków dla rodzin osób powołanych pod broń.

Do chwilowego uspokojenia przyczyniły się dwie jeszcze okoliczności, a mianowicie telegram Biura korespondencyjnego, że „Filia Banku austro-węgierskiego we Lwowie w najbliższy czwartek rozpocznie na nowo swe czynności“, tudzież fakt, iż marszałek i Wydział krajowy przed opuszczeniem Lwowa poruczył radcy dr. H. Sawczyńskiemu prowadzenie agend Wydziału krajowego i kierownictwo pozostałych biur swoich, tudzież opiekę nad gmachami krajowymi we Lwowie. Wskutek tego urzędowała i wypłacała kasa krajowa w niedzielę i poniedziałek przez całe dnie zgłoszone należytości. Urzędnicy i funkcyonaryusze Wydziału krajowego, obecni we Lwowie zgłosili się do pracy w swych biurach.

Ludzie przyszli do równowagi o tyle, że zdecydowani postanowili miasta nie opuszczać, mimo, że jeszcze sporo zeń umykało. Ustał popłoch, ale pozostały skutki jego. Nie mało goryczy obudził postępek banków, które zawiesiły urzędowanie, uniemożliwiając biedakom podniesienie oszczędności, tudzież okoliczność, iż niektóre instytucye nie wypłaciły pensyi swym pracownikom oraz wdowom po urzędnikach. Zaniechanie tego wtrąciło istotnie całe masy ludzi w sytuacyę wprost beznadziejną, ważąc ciężko na losach miasta całego miesiące długie.

Przez cały wtorek 1. września krążyły po mieście pomyślne pogłoski o stanie działań wojennych, komentowano wspomniany telegram Biura korespondencyjnego, oraz polecenie komendy wojskowej, wskutek którego poczta miała nazajutrz powrócić do zwykłych czynności. Z mniejszem też zdenerwowaniem przyjęto wieści o ewakuacyi gmin podmiejskich, co było konieczne ze względów wojskowych, a z ciekawością przyglądano się z Wysokiego Zamku ogniom, widocznym w niewielkiem oddaleniu na północ i wschód od Lwowa. Umilkająca powoli kanonada przekonywała, że wojska rosyjskie — jak przedstawiano sobie ogólnie — cofnęły się przed wojskiem austryackiem. Zdawało się to pomyślnie rokować na dnie najbliższe, chociaż faktycznie świadczyło tylko jak całkowicie ludność cywilna nie oryentowała się w tem, co przecież zupełnie otwarcie w jej oczach się rozgrywało. Przesunięcie całej armii austryackiej na zachód od Lwowa odbyło się tak bajecznie sprawnie, iż nie wtajemniczeni w sprawy wojskowe nie domyśliwali się nawet tego, wiedziała o tem tylko reprezentacya miasta.

Nieświadomość istotnego stanu rzeczy powodem w rezultacie była całego szeregu nieporozumień. Wyjechały

władze i urzędy, banki, kasy oszczędności, poczta zawiesiła swe czynności, tramwaj przestał kursować, policya usunęła się z ulic — wszystko to nie otworzyło oczu ludziom, ufnym w dobrą sprawę. Nie pojmowano celu w tem wszystkiem, nie dziw więc, że z goryczą przyjęto ogólnie te zarządzenia, przypuszczano nawet możność powrotu tych, którzy wyjechali. Ostry zwłaszcza głos odezwał się publicznie o opuszczeniu miasta przez najwyższego reprezentanta jego. W jednym z dzienników wyrażono się, iż „najmniej usprawiedliwionym byłby wyjazd prezydenta miasta Neumana, o czem powiadomiło publiczność pozostałe prezydyum miasta. Przypuszczamy, chcemy w to wierzyć, że prezydent miasta wyjechał tylko na krótko w interesach służbowych, a może rodzinnych. I dlatego zalecalibyśmy oględność w osądzaniu jego osoby. Społeczeństwo nasze źle było wychowane, przekonywamy się teraz dowodnie. Ludzie, którzy gwałtownie wybijali się na posterunki, w krytycznej chwili zawodzą“. Głos ten bez wątpienia był opinią całego miasta, a pojęty był najzupełniej w depresyi ogólnej.

Dzięki energicznemu stanowisku Rady miejskiej życie w mieście poczęło się od środy 2. września układać coraz pomyślniej. Jedną z pierwszych trosk Rady była piekąca sprawa aprowizacyi miasta, w którym to kierunku powzięto odpowiednie kroki. Zarządzono też, aby każdy członek Straży Obywatelskiej miał przy sobie Taryfę maksymalną i dbał o to, by publiczności nie wyzyskiwano przy zakupnie towarów. Straż miała prawo i obowiązek aresztowania każdego, dopuszczającego się wyzysku. W sprawie stosunków sanitarnych zarządzono wszystko możliwe, by miasto nie ucierpiało, rozpoczynając od starannego oczyszczenia go. Celem zapobieżenia brakowi

wody zwróciło się prezydyum z odezwą do ludności, by szanowano wodę wodociągową ze względu na ogromne jej wówczas zapotrzebowanie. Zarządzono też natychmiastowe otwarcie wszystkich studzien prywatnych do celów użytkowych. Prócz Straży obywatelskiej pełniła służbę bezpieczeństwa straż policyjna, jaka pozostała we Lwowie, a szef biura bezpieczeństwa policyi starszy komisarz Karabanowski, który pozostał z niektórymi urzędnikami i agentami policyi, otworzył komisaryat policyjny przy ul. Jachowicza i działał energicznie w porozumieniu z komendą Straży Obywatelskiej. W sprawie rodzin powołanych pod broń obmyśliła Rada też pewne środki, a na razie, chcąc im przyjść z jaką taką pomocą zarządziła rozdawnictwo chleba w komisaryatach dzielnicowych, a następnie uchwaliła otworzyć w różnych stronach miasta herbaciarnie i tanie kuchnie. Dla unormowania cen najniezbędniejszych artykułów żywności i wogóle dla dostarczenia ich założyło miasto kilka sklepów miejskich, gdzie po nie wysokiej cenie dostać można było nabiał, jarzyny, cukier, słoninę itp. Jednem słowem, miasto postawiło sobie za cel za wszelką cenę nie dopuścić do zerwania głównych warunków normalnego życia w opuszczonej i na swój los zdanej stolicy.

Nieszczęście stało dopiero u bram miasta, a to gotowe już niemal było na przywitanie go i to wyłącznie dzięki energii swej Reprezentacyi. W środę wieczorem (2. września) ulice opustoszały kompletnie, bo rozeszła się wreszcie wieść, iż Lwów kapitulował. I jak widoczne było to ze wszystkiego, co w ostatnich dniach działo się, to niemniej większość ludzi nie chciała wiary dać tej smutnej prawdzie. Z ust do ust podawano sobie wiadomość, że w nocy jeszcze ukaże się obwieszczenie tego publicznie plakatami. W istocie też około godziny 10. wieczorem

przyniesiono z ratusza tekst odezwy do drukarni Polskiej, gdzie z trudem zwołano ludzi do pracy tak, że po dwunastej w nocy odezwa była już wydrukowana i następnie na mieście rozlepiona.

Trudno opisać rozpacz, zwątpienie, przygnębienie, rezygnacyę i wszelkie możliwe udręczenia umysłu zgnębionego do reszty tą nadwyraz tragiczną wiadomością. Ludzie, którzy zasłyszeli coś nieco tylko o tem na ulicy, chwytali się za głowy, łzy stawały im w oczach, nogi odmawiały posłuszeństwa, z trudem tylko opanowywali się, by z hiobową tą wieścią dowlec się do swoich najbliższych i z nimi podzielić się smutną nowiną. A ilu jeszcze i wtedy nie chciało temu wierzyć? Rozpacz ogarnęła wszystkich, kiedy wreszcie uprzytomniono sobie, iż to czasy wojenne i na każdą możliwość trzeba być przygotowanym — zrozumiano, że widocznie i Lwów musiał poddać się tej ciężkiej konieczności. Wczesnym rankiem, niezapomnianym już nigdy w życiu przez tych, którzy go dożyli, czytano ze łzami w oczach, z sercem ściśniętem od bolu niewymownego, lapidarne słowa odezwy, co jak noże ostre kluły dotkliwie nagą rzeczywistością swoją. Po kilkakroć odczytywano, wiary dać nie chcąc, iż prawdą jest to jednak — czytano, szukając słowa choćby, które mogłoby nadziei wlać nieco w skołotany umysł, zbolałe serce. Bezlitosne jednak były te krótkie zdania. Prezydyum miasta w tych słowach zwróciło się do mieszkańców:

„Obywatele!

Wojska Monarchii cofnęły się na zachód.

Za chwilę wkroczą zwycięzkie wojska rosyjskie do Lwowa.

W takiej chwili wzywamy całą ludność miasta, by przez Boga! zachowała godność, spokój, wystrzegała się popłochu i wybryków nierozważnych, czy złych żywiołów, wszelakiej prowokacyi.

Miasto otwarte, więc nie może grozić mu żadne niebezpieczeństwo. Cała poważna ludność oczekuje na wypadki z całym spokojem.

Wszelki wybryk nierozważnej czy szalonej jednostki przeciw wkraczającemu wojsku mógłby wywołać nieszczęście.

Wzywamy ludność całą, by czuwała w imię dobra miasta i wszystkich obywateli nad spokojem i ładem w mieście.

Sklepy, zwłaszcza z żywnością, mają być otwarte.

Lwów, 2. września 1914.

Imieniem Prezydyum miasta Lwowa:

Dr. Rutowski, *Dr. Stahl,* *Dr. Schleicher*".

Rano we czwartek dnia 3. września o godzinie 7. okazał się na mieście nadzwyczajny dodatek „Kuryera Lwowskiego", z przytoczonym tekstem odezwy, rozchwytany natychmiast w tysięcach egzemplarzy. Do odezwy dołączono parę słów, wyjaśniających mieszkańcom sytuacyę w tej chwili przełomowej. Czytano tam między innemi: „Nie znając przebiegu bitew i zdarzeń, nie możemy wdawać się w ocenianie przyczyn cofania się Austryi. Faktem jest i z tem się liczyć trzeba, że stolica Galicyi przechodzi pod rządy rosyjskie". Dalej czytamy: „zabieramy w tej chwili przełomowej głos: Niech mieszkańcy Lwowa dadzą karny posłuch wezwaniu Prezydyum mia-

sta. Jest ono w tej chwili jedyną komendą, stojącą na straży drogiego miastą. Daje ona rozkaz ludności — Aby Zachowała Spokój i szle jej prośbę serdeczną — Aby Zachowała Godność!" Polecenia te sprawiły pewne wrażenia, ale górę nad wszystkiem wzięła wielka obawa tłumów przed urojonemi niebezpieczeństwami, czekającemi miasto.

Dla ścisłości zauważymy, że przytoczona odezwa uległa w niektórych dziennikach zmianie w początkowem swem brzmieniu. W *„Słowie Polskiem"* użyto powiedzenia: „Wojska Monarchii mają cofnąć się na zachód. Wtedy wkroczą do Lwowa zwycięzkie wojska rosyjskie". W *„Wieku Nowym"* czytamy zaś: „Wojska rosyjskie wkrótce wkroczą do Lwowa". Od słów zaś: „w takiej chwili" tekst odezwy wszędzie był jednakowy. Zmiany te przedsięwzięte na własną rękę wobec autentycznego ogłoszenia prezydyum miasta dowodzą najlepiej, jak dalece nie oryentowano się w właściwej sytuacyi — nie chciano zbyt mocno określać rzeczy, a należało niemniej prawdę wyjawić.

Osobno zwrócił się komitet ukraiński z odezwą do ukraińskiej ludności miasta, datowaną 3. września 1914 r. Odezwa ta w dosłownym przekładzie opiewa następująco:

„Do Ukraińców m. Lwowa!

Zwycięzka armia rosyjska wchodzi w mury miasta Lwowa.

W przełomowej tej chwili wzywamy wszystkich Ukraińców miasta Lwowa, żeby ze względu na dokonany fakt odpowiednio się zachowali.

Prosimy i wzywamy wszystkich do zachowania całego spokoju i godności.

Wobec zwycięzkiego wojska rosyjskiego należy się zachowywać grzecznie i przyzwoicie.

Przestrzegamy wszystkich stanowczo, żeby, broń Boże, nie ważył się nikt występować wrogo przeciw żołnierzom rosyjskim, albo dopuszczać się jakichkolwiek wybryków, gwałtów albo podżegań, ponieważ za nierozważny postępek jednostki musiałby odpowiadać nasz ogół, a w pierwszym rzędzie czterej nasi zakładnicy (ogólnie znani i szanowani członkowie naszego ukraińskiego ogółu).

Nieposłusznych powstrzymujcie, a w razie koniecznym oddawajcie w ręce władzy.

Od Wąszego zachowania się zawisł los naszej ludności i naszej sprawy!

Lwów, dnia 3. września 1914.

Za Ukraińców miasta Lwowa:

o. rektor Józef Bocian, Paweł Wojnarowskij, dr. Julian Hirniak, o. dr. Myron Hordyńskij, Wasyl Gresiak, o. Julian Dzerowycz, dyr. Mikołaj Zajaczkiwskij, literat Michał Pawłyk, o. mitrat Leon Turkewycz, st. radca Leon Szechowycz, prof. Włodzimierz Szuchewycz, dyr. dr. Stefan Fedak.

Z drukarni Naukowego Towarzystwa imienia Szewczenki".

Upewnieni, uspokojeni, pouczeni w ten sposób mieszkańcy, z poddaniem się woli Bożej, oczekiwali wszelkich możliwych wypadków dalszych, które też szybko odtąd następować poczęły po sobie. Od wczesnego rana urzędowało w Ratuszu prezydyum miasta i Rada miejska.

Po godzinie 9-tej rano na wieść o pojawieniu się patroli rosyjskiej, gdy wszystkie wojska austryackie z miasta już ustąpiły, prezydyum na znak pokojowego poddania poleciło wywiesić na wieży ratuszowej białe chorągwie. Z chwilą tą w całem mieście nie mówiono już o niczem innem, jak tylko o kozakach, czerkiesach, „ochrannikach" i tym podobnych nieodłącznych pojęciach, związanych ściśle z caratem, co z niezliczonymi tłumami azyatyckimi sięgał po kulturę zachodu i niestety, dotarł już do Lwowa. Poprzedzała go zaś sława, godna Tamerlana.

Ciekawe i jedyne w swoim rodzaju sceny rozgrywały się tymczasam po domach. Twierdzono powszechnie, że Moskale za przyjściem swem do miast galicyjskich skrupulatnie przeszukują wszystkie mieszkania za najdrobniejszymi śladami organizacyi strzeleckich i skautowych i o ile natrafią na coś podobnego, krwawo się mszczą na podejrzanych o podobną zbrodnię. Wiadomo zaś, jak w ostatnich czasach rozpowszechniony był u nas ruch na tem polu — rodziny chyba nie było jednej, którąby nie wysłała kogoś ze swoich w szeregi strzelców, lub co najmniej nie miała dzieci, czynnych w organizacyach skautowych. Wprawdzie legionistów nie było już we Lwowie, ale niebezpieczne były dla pozostałych, choćby części munduru, czapki, pas czy coś podobnego, nie mówiąc już o tem, że samo nazwisko zdradzić mogło pokrewieństwo. Powiadano, że „ochrannicy" dokładnie podali Moskalom spisy wszystkich strzelców polskich i ukraińskich i że ci mścić się za nich będą na pozostałych rodzinach. Dla zmylenia więc adresów przenosiło się wielu do obcych mieszkań, lub o ile już zdecydowało się do pozostania u siebie, to po najdokładniejszem wytępieniu w całym domu wszelkich możliwych śladów okrutnej tej „zbrodni".

Palono więc zawzięcie liczne druki, odezwy, książki, zapiski, ilustracye, odznaki, fotografie i t. p. dowody winy, pozostawione w domach przez strzelców, którzy wyruszyli w pole. W dniu tym jednym dokonano tyle i tak dokładnych egzekucyi wandalskich, iż nawet najsurowsze rewizye nie zdołałyby takich spustoszeń naraz dokonać. Ostrożność przezorną posuwano do tego stopnia, że uczniom szkół średnich w mundurkach kazali rodzice odpruwać odznaki i zrzucać czapki, by nieznający się na tych mundurach Moskale nie sądzili, iż mają przed sobą nienawistnych skautów lub czegoś podobnego. Jednem słowem, obawa represyi, gwałtów, aresztowań a nawet mordów kazała ludziom z trwogą oczekiwać chwili zjawienia się w mieście pierwszych przedstawicieli oręża rosyjskiego, nie tyle okrytego sławą, ile osławionego z powodu okrucieństw.

Z trwogą też dopytywano się ogólnie już od najwcześniejszego rana, kiedy przygotować się należy na najazd dziczy kozackiej. Białe chorągwie na ratuszu i na wszystkich gmachach rządowych, słowa odezwy i wreszcie wiadomości osobiste o jakoby jawiących się już w mieście pierwszych patrolach nieprzyjacielskich zapowiadały niewesołą tę chwilę jeszcze na przedpołudnie pamiętnego czwartka 3. września 1914 r.

Lotem błyskawicy przeleciała wieść po mieście, że ulicą Zieloną wjechał pierwszy konny patrol pod wodzą oficera i udał się przed ratusz, gdzie o godzinie 11·45 rano stanął przed zebraną już Radą miejską i obywatelami stolicy. Wraz z Radą miasta oczekiwali w ratuszu przybycia sztabu rosyjskiego konsulowie: p. Candiotti (który po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między Austryą i Rosyą objął opiekę nad zamieszkałymi tu poddanymi rosyj-

skimi), duński, radca Zacharjewicz i były konsul francuski p. Świerczewski z odznakami oficerskiemi legii. Ponadto zjawiła się grupa najpoważniejszych obywateli, zaproszonych przez Radę miejską, między innymi Eksc. hr. Piniński, poseł Stanisław Henryk hr. Badeni, prezydent Przyłuski i inni.

Przedstawiciel wojska, kapitan sztabowy, z dobytego z kieszeni arkusza odczytał zawiadomienie komendanta wojsk rosyjskich von Rodego o zajęciu miasta, zażądał wydania kluczów miasta, tudzież jawienia się reprezentantów miasta na rogatkach: Łyczakowskiej i Żółkiewskiej. Zapewnił równocześnie, że wojsko zupełnie po przyjacielsku obejdzie się z ludnością i z zupełnem zaufaniem do niej wejdzie do miasta. Armia rosyjska — oświadczył — pragnie, aby życie miasta toczyło się zwykłymi torami. Jedynie żąda, by wszystkie szynki i winiarnie były zamknięte.

Stosownie do żądania wyjechały na rogatki delegacye. Na rogatkę Łyczakowską udał się prez. dr. Rutowski z dr. Stahlem, dr. Schleicherem i radnym Hinglerem. W otoczeniu swego sztabu przyjął ich komendant von Rode — odbyto dłuższą konferencyę w języku francuskim, omawiając warunki zajęcia miasta przez armię rosyjską. Po konferencyi deputacya wróciła do ratusza, gdzie dr. Rutowski zdał sprawę Radzie, oczekującej go już w wielkiej sali obrad.

Armia wkracza do Lwowa, wymaga jednak — jak oświadczył generał — absolutnej gwarancyi bezpieczeństwa, której na wyraźny rozkaz naczelnego wodza wymagać musi ze względu na mieszany skład ludności. Żąda więc 16 zakładników, a mianowicie 4 Polaków, 4 Ukraińców, 4 Żydów i 4 starorusinów. Od tego warunku zależy

pokojowe wkroczenie wojsk rosyjskich do Lwowa. Dalej zażądał generał, aby natychmiast, najpóźniej do godz. 6. rano, wszyscy mieszkańcy złożyli w ratuszu wszelką broń sieczną i palną. Złożona być ma nawet broń muzealna do przechowania w muzeum miejskiem.

Na zakładników zgłosili się natychmiast dobrowolnie z członków Rady: pierwszy, radny Józef Wczelak, a dalej wicepr. Rutowski, ks. dr. Stefan Szydelski, dyr. Bolesław Lewicki i poseł dr. Władysław Stesłowicz. Ofiary dra Rutowskiego Rada nie przyjęła ze względu na jego kierownicze stanowisko w ważnych przeżyciach miasta.

Udano się następnie do wybitnych przedstawicieli reszty ludności, celem uzyskania zakładników i z ich strony. Ukraińcy zaproponowali: Metropolitę ks. hr. Andrzeja Szeptyckiego, który dobrowolnie, podobnie jak wielkoduszny prez. Rutowski, zgłosił się natychmiast, nie bacząc na ciężką odpowiedzialność, a prócz tego ks. Józefa Bociana, Pawła Wojnarowskiego oraz dyr. Mikołaja Zajączkowskiego. Starorusini: ks. Jana Dawidowicza, radcę Jana Liskowackiego, dra Leona Pawęckiego, tudzież Mikołaja Tretiaka. Żydzi: dra Jakóba Diamanda, Izydora Jonasa, dra Hermana Rabnera, tudzież Mikołaja Weinreba.

Równocześnie z delegacyą u komendanta von Rodego na Łyczakowskiej rogatce jawiła się też deputacya u generała Parczewskiego na rogatce Żółkiewskiej, złożona z prof. Chlamtacza, prof. Thulliego i p. Wczelaka. Generał oświadczył, że mówi po polsku, wobec czego prof. Chlamtacz w tym języku zawiadomił go, że miasto wydało odezwę do ludności, aby zachowano się w spokoju

i wręczył mu egzemplarz tej odezwy. Generał oświadczył, że głównem jego życzeniem jest, aby zachowano spokój, nie zamykano sklepów i bezwarunkowo nie sprzedawano wódki, ani też nie częstowano żołnierzy alkoholami. Zapewnił też generał, że ludność może być zupełnie pewną bezpieczeństwa życia i mienia.

Stosownie do polecenia komendanta von Rodego, ogłoszono zaraz po posiedzeniu następujący rozkaz, pierwszy z całego szeregu późniejszych rozporządzeń władz rosyjskich:

„Rozkaz

Na zasadzie prawa wojennego polecam, ażeby ludność miasta Lwowa do jutra, dnia 4. września godz. 6. rano, wszelką w jej posiadaniu będącą broń (sieczną lub palną) złożyła w ratuszu.

Na wypadek niezastosowania się do niniejszego żądania podpada winny pod sąd wojenny.

Rogatka Łyczakowska 3. września 1914.

Komendant 42 dywizyi piechoty

generał lejtnant

von Rode."

Dla zwrócenia uwagi na doniosłość tego rozporządzenia dodało Prezydyum i od siebie następującą w tej samej sprawie odezwę:

„Obywatele!

„W myśl powyższego rozkazu komendanta wojsk zajmujących Lwów, wzywam wszystkich mieszkańców, aby składali broń wszelaką w Ratuszu na dole. Odbierze radca Bieniecki z komisyą.

Broń narodową, karabele, szpady urzędnicze, objekta muzealne należy znosić do Muzeum im. Sobieskiego. Odbierze dyrektor Czołowski z komisyą za kwitem.

Wzywam do natychmiastowego wykonania rozkazu w interesie miasta i jego mieszkańców.

We Lwowie, dnia 3. września 1914.

Rutowski."

Wieczorem tego samego dnia (3. września) złożył wiceprezydent Rutowski wizytę komendantowi von Rode i przedstawił mu listę zakładników. Generał przyjął ją, skreślając tylko Metropolitę Szeptyckiego ze względu na to, że z racyi swego wysokiego stanowiska odpowiada on i tak za spokój ukraińskiej ludności Lwowa. Na miejsce Metropolity zgłosił się dr. Julian Hirniak, a nie, jak mylnie podały wówczas dzienniki — prof. Eustachy Hrycaj. Zakładnikom tym polecił von Rode zgłosić się nazajutrz o godzinie 8 rano w hotelu George'a, gdzie wynajęto dla nich 16 pokoi wraz z utrzymaniem. Nie będą oni mogli opuścić hotelu 2—3 dni, a przed hotelem stać będzie patrol wojskowy. Po dokonaniu dopiero tych formalności, nastąpi przemarsz wojsk przez miasto przy odgłosie muzyki wojskowej.

Rada miejska, urzędująca dzień cały bez przerwy, powiadomiona o podobnem załatwieniu sprawy zakładników i mającego nastąpić przemarszu wojsk, uchwaliła wydanie jeszcze jednej odezwy do mieszkańców, apelującej o zachowanie spokoju i wskazującej na wielką odpowiedzialność zakładników. Odezwa ta opiewa:

„Obywatele!

„Wzywa się obywateli, aby natychmiast a najpóźniej do 6 rano oddali wszelką broń i amunicyę do ratusza, karabele zaś i szable mundurowe do Muzeum Sobieskiego.

W następnych dniach odbędą się rewizye domowe za bronią, a w razie znalezienia broni, przekraczający zostanie ukarany śmiercią.

Przy wejściu wojsk rosyjskich panować musi spokój i porządek. Wszelkie prowokowanie wojska, napaście, strzały, pociągnęłyby za sobą powieszenie sprawcy i narażają życie zakładników.

Zakładnikami są następujący obywatele: ks. dr. Stefan Szydelski, Bolesław Lewicki, dr. Władysław Stesłowicz, Józef Wczelak, dr. Jakób Diamand, Ignacy Jonas, dr. Herman Rabner, Mikołaj Weinreb, dr. Stefan Fedak, Mikołaj Zajączkowski, dr. Józef Bocian, Eustachy Hrycaj, ks. Johann Antonowicz Dawidowicz, dr. Lew Aleksiewicz Pawencki, Iwan Sas Gregorjewicz Liskowacki, Mikołaj Gregorjewicz Tretiak.

W interesie bezpieczeństwa miasta wzywa się wszystkich obywateli, aby czuwali, aby przy wejściu wojsk rosyjskich, nie zaszło żadne wykroczenie lub zakłócenie spokoju.

We Lwowie, dnia 3. września 1914.

Rutowski".

W odezwie tej mylnie podani są jako zakładnicy ze strony Ukraińców dr. Stefan Fedak i Eustachy Hrycaj,

którzy nie byli nimi wcale. Jak już nadmieniliśmy na miejsce Metropolity Szeptyckiego zgłosił się dr. Julian Hirniak, a nie Eustachy Hrycaj, a dr. Stefan Fedak wogóle nie zgłaszał się, względnie nie był zgłoszony (vide Nr. 8743 „Diła“ z 5. września 1914).

Odezwę tę zatwierdzoną na wieczornem posiedzeniu Rady w myśl uchwały, urzędnicy miejscy zaraz po posiedzeniu odczytywali publicznie po wszystkich dzielnicach miasta, a nadto ogłoszono ją afiszami, rozlepionymi na murach miasta.

Kiedy oficyalny Lwów troskał się o parlamentarne ustosunkowanie do nieprzyjaciela, obejmującego miasto w posiadanie, szersze masy zajęte były nie mniej ważnemi dla nich sprawami. Tematem, oczywiście, wyłącznym rozmów wszystkich były owe pierwsze patrole kozackie — nie wszyscy potrafili zdobyć się na przykrość oglądania ich na własne oczy, ale wszystkich bez wyjątku w najwyższym stopniu ciekawiły pytania, jak się osławieni ci opryszki zachowują, jak odnoszą się do ludności i jak wreszcie wyglądają? Nadziei, pokładanej w ich wątpliwej uczciwości nie zawiedli też oni. Pierwsze co uważali za stosowne, było wstąpić do składu z zegarkami przy ulicy Akademickiej, zażądać kilku zegarków, schować je do kieszeni i na odchodnem oświadczyć, że za powrotem z wojny wyrównają należytość. Rozumie się, że właścicielowi nie wypadało nic innego, jak „z całą gotowością“ przystać na podobne oświadczenie, ale i równocześnie zaraz z miejsca przekonać się na własnej skórze, jak sceptycznie odnosić się należy do oświadczenia generałów, że pragną, „aby życie miasta toczyło się zwykłymi torami“. Sklepy polecono trzymać otwarte, ale zdawało się to nie koniecznie bezpiecznem i to tem bardziej, że podobne zajścia przy-

trafiły się i w innych miejscach. Nie było jednak sposobu na to. Ludzie z trwoga myśleli, co czeka ich w ciągu dalszym i wzgląd właśnie na tę obawę kazał autorowi przytoczonej odezwy nie zapomnieć apelować przedewszystkiem do zachowania przez mieszkańców godności. Nie można jednak bez zastrzeżeń powiedzieć, by wszystkim zależało na tej godności! Z oburzeniem serdecznem opowiadano sobie, iż znalazły się osobniki, które nie tylko, iż rozsądniejby postąpiły nie pokazując się całkiem na ulicach, ale owszem nawet uznały za konieczne obsypać, ździwionych tem niepomiernie kozaków, bukietami kwiatów, albo oczekiwać ich na ulicy z flaszką wódki i zakąskami. Dla sprawiedliwości nadmienić trzeba, iż podobnymi dowodami aż nazbyt wielkiej gościnności darzyli obcych żołnierzy przedewszystkiem ci, którzy z niecierpliwością ich tu oczekiwali, albo też i ci, którzy mając grzbiety giętkie, gną je zawsze przed siłą, chociaż jak serdecznieby jej nienawidzili. Dotkliwą odprawę dał jakiś kozak pewnym paniom, zdobnym w czerwone krzyże, które na gwałt nakłaniały go do wypicia kieliszka wódki mimo, że wypraszał się od tego bardzo energicznie. Przekonywały go żargonem polsko-ruskim, że wódka nie jest, broń Boże, zatruta i że sprawi im przyjemność, jeśli ją wypije. Oburzony tem służalstwem wreszcie kozak splunął przed owemi paniami i odwróciwszy się pogardliwie, zaciął konia i odjechał. Scenie tej przyglądało się wiele osób, a napiętnował ją też jeden z dzienników. Nie była jednak ona wyjątkową. Mizerna obawa o całość swoją, na którą zresztą nikt ani myślał dybać, pozbawiła poczucia godności ulicę lwowską — na temat ten dałoby się bardzo wiele powiedzieć i to bynajmniej nie tylko o warstwach niższych, chociaż przeważnie o kołach, kupczących nie tylko

wszelkim możliwym towarem, ale równie dobrze i uczuciami swemi. Dziennikom z tych czasów trudno było zabierać głos w tej sprawie, ale przecież i trudno było milczeć. Znajdujemy też w jednym z nich ogólnikowe refleksye na ten temat, konstatujące pod bezpośredniem wrażeniem brak równowagi u ulicy lwowskiej i małostkową tchórzliwość w chwilach, w których się losy narodu ważą. „To prawda, że za obyczaje ulice bardzo mieszanej trudno opinii publicznej brać odpowiedzialność. Wszakże w takiej chwili może ona bardzo wiele zdziałać, jeśli ogół zrozumie, że ulica lwowska musi mieć postawę godną". Dla ludzi zrównoważonych uwagi zbyteczne, a reszcie i tak nie pomogły.

Tak zachowało się, co było w danej chwili na ulicy, a nadmienić należy, że przeważnie świeciły one pustkami, albowiem na ogół ludność wolała zaoszczędzić sobie przykrego widoku tych, którzy łupieżce zagony swe gnali na ojców, synów i braci naszych. Na mieście znaleźli się tylko przypadkowi przechodnie, a poza tem prawie wyłącznie, zwykli w takim wypadku gapie. Witali zaś „zwycięskich oswobodzicieli" i ci, którym przynosili oni wolność (bezkarnego już obławiania się rublami), a dziwnym sposobem i ci, którzy się najcięższej tylko od nich niewoli spodziewali. Jednych wygnały na ulicę uczucia najszczerszej wdzięczności (za hojnie otrzymywane ruble), drugich zaś, ogromny respekt przed knutem, który skaptować zawczasu polecał sprytny, a bez skrupułów wszelkich duch rasy. Znalazły się więc w porę kwiaty, całusy od dziewic nadobnych, wiwaty, papierosy, wódka... i zapewnienia ogromnej radości z powodu możności przywitania i oglądania na własne oczy dzielnych, zwycięskich żołnierzy sławnego cara! Oczywiście, nie przeszkadzało to bynajmniej po ką-

tach markować równocześnie swego ultra-austryackiego patryotyzmu!

Nie aby jaka przyczyna spowodowała formalne zarojenie się ulic od ludzi w porze poobiadowej. Oto pierwsze, z czem nowi panowie miasta uznali za stosowne zwrócić się do ludności, było zapewnienie, iż sznurek czeka każdego, co najdalej do godziny 6 rano nie odda broni palnej i siecznej, jakąby posiadał w domu. Można przedstawić sobie konsternacyę, jaka zapanowała w mieście całem, zwłaszcza na zawiadomienie wszystkich mieszkańców z osobna przez członków Straży Obywatelskiej, iż „dla bezpieczeństwa i pewności" nie wadziłoby oddawać i większe noże kuchenne, noże do krajania papieru i wogóle tp. niebezpieczną broń sieczną. Obawa ogromna przed Moskalami wogóle, widok w fantazyi wielu już obwieszonych, a wreszcie zapewnienie obwieszczenia, że w dniach następnych odbędą się po domach rewizye, przeraziły wszystkich niepomiernie. I oto, obserwować można było rzecz ciekawą.

Kilka dni przed swem ustąpieniem poleciły ludności władze austryackie złożenie na policyi wszelkiej posiadanej broni, na co ogólnie odpowiedziano zastosowaniem się do rozkazu. Kiedy więc wyszedł nakaz podobny od władz rosyjskich, zdawało się, że chyba niewiele tej broni znajdzie się jeszcze u ludzi, ale znane wszystkim metody rosyjskie cudów w tym względzie dokazały, każąc ludności naszego miasta dokonywać odkryć formalnych w domach własnych. Z żdziwieniem przed samymi sobą przekonali się ludziska, iż właściwie domy ich to prawdziwe arsenały broni najwymyślniejszej, bo oto dowiedzieli się, że całości armii cara równie dobrze jak armaty i karabiny zagrażać mogą pukawki dziecinne, brauningi z blachy cynkowej,

srogie piki i halebardy z blachy a nawet i drzewa, noże dłuższe nad 20 cm., siekacze do mięsa, nie mówiąc już o ziejących ogniem „karabinkach“, śmiercionośnych wiatrówkach, ostrych jak brzytwy szpadach urzędniczych, z mnóstwa względów podejrzanych karabelach i t. p. wymysłach nielitościwych a podejrzanych. Kiedy więc Lwowianin każdy rozejrzał się dokładnie po swojem obejściu, z rozpaczą się przekonał, iż właściwie żyje niejako w składzie broni, którą zatem trzeba będzie żmudnie przeekspedyować na ratusz, by za dni kilka nie stać się żerem wron i kruków. Z żalem przyszło się żegnać kucharkom z nożami, do których już od lat przywykły, z siekaczami, którymi tak sprawnie manipulowały, nie przypuszczając nawet nigdy jak niebezpieczną broń w ręku swem dzierżą, z siekierami, które w naiwności swej uważały za broń niebezpieczną ale tylko dla sągów drzewa i wreszcie z ostrymi nożami, które zresztą jedynie i same skwalifikowały jako istotnie rzecz nie byle jak groźną. Po przewróceniu do góry nogami izby kuchennej z poszukiwaniami swemi zwracał się każdy z kolei do innych ubikacyi. W pokoju dzieci najwięcej było tego niebezpiecznego materyału wojennego, bo chłopcy nasi za największą przyjemność uważali zbroić się w karabiny, pistolety i rewolwery w zabawach swych „w żandarma i zbója“, lub w improwizowanych manewrach na podwórzu. Świadkiem sam byłem, jak chłopak z pierwszej klasy gimnazyalnej, żegnając się z karabinkiem swym (nawiasem powiedziawszy, z niekompletnym zamkiem) i wiatrówką, tylko dlatego się nie rozpłakał iż zapowiedziano mu szybki zwrot własności. Bojaźliwszym mamom i tego było jeszcze za mało, bo dla zasady „pewne jest pewne“, kazały dzieciakom pożegnać się z blaszanemi halebardami, upstrzonemi w różnokolorowe cho-

rągiewki, z pięknie lśniącemi szabelkami i groźnymi „brauningami. Wszystko to powędrowało do Magistratu na skład, z którego już nigdy nie miało powrócić do właścicieli prawowitych, wywiezione, zdaje się, do arsenału państwowego, lub do mającego się otworzyć Muzeum wojennego w Petersburgu, jako trofea, zdobyte na Austryakach.

Kto na własne oczy nie oglądał tej „broni", składanej 3. września przez całe popołudnie, wieczór, noc i nad ranem, ten nie da z pewnością wiary temu, co czyta obecnie. A jednak niema w tem żadnej przesady, jak przekonać się mógł każdy, kto zadał sobie trudu nie wiele obserwowania tych tłumów, a zwłaszcza kobiet i żydów, uginających się wprost niejednokrotnie od ciężaru najdziwaczniejszych rupieci, antyków, chyba w zarysie przypominających broń jakowąś. Widziałem służącą jakąś, która oburącz ściskała pęk olbrzymi halebard i pik dekoracyjnych, spiesząc się na gwałt, by w czas złożyć ten niebezpieczny ładunek i uratować pani swej życie. Pocieszny był widok ludzi, objuczonych połamanemi lufami, na sznurku nanizanymi zamkami, od jakichś strzelb przedpotopowych, próżnemi pudłami od rusznic i t. p. bronią. Oddawali ludziska wszystko, wnosząc z znajomości policyjnych, tak osławionych metod rosyjskich, iż wystarczy im znalezienie u kogoś śrubki od karabina, by oskarżyć go o ukrywanie w domu całej bateryi ciężkich haubic, a w najlepszym razie znaleść tylko pretekst do nałożenia kilkutysięcznej kary pieniężnej, lub wywiezienia „w dalsze gubernie cesarstwa". I o ile władze rosyjskie, nakazując złożenie broni, kierowały się zasadą, że „jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści", tak z drugiej strony przepłoszona ludność Lwowa pamiętała dzień ów cały, że „pewne jest pewne" i stosownie do tego gromadziła skrzętnie wszelkie możliwe że-

łazstwo, jakie tylko w domu posiadała, podejrzewając w niem broń wprawdzie sobie nieznaną, ale niemniej niebezpieczną, a zatem kwalifikującą się do złożenia Moskalom.

Równocześnie z pierwszymi oddziałami wojskowymi zaroiły się ulice miasta od ludzi, spieszących z bronią do ratusza, gdzie w krótkim czasie w obecności oficera rosyjskiego złożono formalne stosy, zajmujące kilka komnat obszernych. Żal było oglądać przepiękną broń luksusową, myśliwską, stare szpady urzędnicze przeznaczone na zatracenie bez wszelkiego apelu — powiedziano ludziom wprawdzie, że będą mogli potem odebrać swą własność, ale chyba bardzo mało było tak naiwnych, by w to uwierzyć. Istotnie też wywieziono wszystko w kilka dni potem, na kilku dobrze wyładowanych automobilach i wozach.

Uratowano zaś broń zbieracką, historyczną, z zbiorów prywatnych, których kilka było we Lwowie: sam p. St. Kruk zajechał przed ratusz z całym wozem, ładownym w stare szable, miecze średniowieczne, buzdygany, piki, halebardy, koncerze, moździerze i t. p. Podobnych „arsenałów“ dostarczyły inne zbiory prywatne, a wszystkie je ulokowano w Muzeum Miejskiem im. króla Jana, gdzie broń swoją złożyli i bardziej przewidujący myśliwi, pewni losu nieuniknionego broni, złożonej w Magistracie.

Niekompletny byłby obraz ulicy lwowskiej, gdybyśmy zaniechali wspomnieć jeszcze o jednym charakterystycznym rysie jej w danej chwili. Wspomnieliśmy już o tem, iż w nocy z 2. na 3. września Lwów znalazł się bez pana — tę to chwilę wypatrzyli sprytnie mieszkańcy przedmieść oraz sąsiedzi opuszczonych gmachów rządowych, miarkując w zachłannych swych kombinacyach, że nic nie stoi na przeszkodzie wypróżnieniu ich dokładnemu i ogołoce-

niu z wszelkiej zawartości. Najwięcej apetytów podobnych obudził dworzec kolei żelaznej, budynki t. zw. Cytadeli, liczne kasarnie, oraz składy wojskowe. Tłumy całe rzuciły się na nie zaraz po opuszczeniu przez wojsko, rozpoczynając grabież zrazu od zapasów żywności, a następnie i od wszystkiego, co tylko pod ręce wpadło. Na dworcu smutnemu losowi uległy porzucone przez zbiegów kufry, walizy, torby, tłumoki i t. p. dobytek, niejednokrotnie znacznej nawet wartości, a niemniej i zapasy towarów w wagonach i magazynach. Do eksploatowania ich wzięto się nawet na większą skalę, jak wnosić można choćby z tego, że kilku lwowskich engrosistów zaopatrzyć się miało w góry całe mąki, cukru, kawy i t. p. materyałów, dyktując następnie według swego uznania ceny nielitościwe za nie w handlu detailicznym. Echa tych „interesów“ długo miały też rozbrzmiewać po mieście całem ku zgorszeniu wszystkich, ale w chwili danej wzbudzały zapewne więcej zazdrości, niż potępienia. Brał zaś, kto tylko jako tako czuł się na siłach do dźwigania mącznych worów, słodkich skrzyń i pełnych beczek, a umiał wytłumaczyć sobie, iż „lepiej to zabrać biednemu człowiekowi, niż pozostawić dla pogańskiego Moskala“. Przekonaniem tem rozgrzeszali się wszyscy, którzy wówczas w pocie czoła na gwałt usuwali z przed oczu i zachłanności rosyjskiej wszystko, co tylko z miejsca dało się poruszyć. Właściwie to i rzeczy nawet bardzo ciężko ruchome nie mogły się ostać przed gruntownem wyrugowaniem z miejsca, bo wcale nie wyjątkowym był widok ludzi, dźwigających n. p. pianina, fortepiany, kredense, biurka, stoły, szafy, kasy żelazne, maszyny do pisania i szycia, i wogóle meble z gabinetów, mieszkań i kancelaryi wojskowych i urzędniczych. Na Janowskiem i na Błoniach wypróżniano

nawet stajnie i składy siana i paszy, a wywlekano też wozy z zaprzęgami, sanie, beczkowozy i t. p. sprzęty gospodarskie. Na Cytadeli odkryto formalną kopalnię zapasów żywnościowych, opałowych, a nie gardzono i butami, rzemieniami, narzędziami rzemieślniczemi, meblami, obrazami, ubraniami i wszystkiem zresztą co tylko nawinęło się pod drapieżne ręce. Bezczelność jakiegoś rabusia doszła nawet do tego, iż — jak się sam o tem naocznie przekonałem — dla tem wygodniejszego i gruntowniejszego ograbienia pakownych sal Cytadeli, zajechał pod nią z ogromnym wozem spedycyjnym, który już kompletnie naładowany podziwiać mogłem. Podobne sceny — jak to w mieście opowiadano — miejsce miały i w innych stronach miasta i tak do kasarni na Janowskiem przyjeżdżali poczciwi ludziska z wózkami, taczkami, a w braku ich i z wózkami dziecinnymi, wracając nie długo po odwiezieniu łupów do dalszej pracy żmudnej. „Pracowano" zaś w ten sposób noc całą do białego rana, bo „szkoda byłoby opuścić okazyę", a Moskal już wkraczał do miasta. Co się ostało, na to czas przyjść miał jeszcze niejednokrotnie, względnie tyle razy, ile Moskale spodziewali się, że im przyjdzie zabierać się ze Lwowa. W okazyach takich, ruina wszystkiego, co jeszcze pozostało, groziła zawsze kasarniom i składom lwowskim — na Cytadeli przyszło nawet do tego, iż żołnierze pozwolili ludziom wyrywać podłogi, oddrzwia i futryny, na co, oczywiście ci z całą ochotą przystali, ratując się od zimna choćby za cenę szkód podobnych.

Chwile pierwsze zajmowania Lwowa przez Rosyan wprawiły więc w ruch i zamieszanie ludność całą bez wyjątku, ale nie wszystkich w jednakowy sposób. Kiedy bowiem jedni z obawy przed rewizyami wypróżniali na

gwałt szuflady i szafy z podejrzanych książek i druków, a przy sposobności szukali za bronią, przedstawiając się w podnieconej fantazyi postawionymi już przed sąd wojenny, inni zajęli się intratnem grabienicm i „ratowaniem przed Moskalem" zagrożonej własności cudzej lub wreszcie wyrunęli na ulice, by podziwiać, witać, za wczasu zjednywać sobie przyszłych, groźnych panów. Większość jednak zgnębiona i wprost zrozpaczona zamknęła się w domach, nie chcąc bezwarunkowo oglądać niepożądanych gości; nastrój pod tym względem panował wprost grobowy.

W takim stanie rzeczy pokazywać się zaczęły w mieście, po godzinie 3-ciej popołudniu, pierwsze większe oddziały piechoty, konnicy i artyleryi, dążące od rogatki Łyczakowskiej, Żółkiewskiej i Zielonej, a spieszące na Gródecką, Janowską i Stryjską. Zajęto komendę przy placu Bernardyńskim (Korpskommando) i przy ulicy Wałowej (Platzkommando) — artylerya obsadziła Cytadelę, a piechotę rozmieszczono w reszcie kasarń lwowskich.

Pierwszym jednak przedstawicielem Rosyi na terytoryum Lwowa był kierujący pociągiem kolejowym, który we czwartek (3. września) rano o godzinie 10-tej stanął na Podzamczu, a o 11-tej był już na głównym dworcu. W tym czasie rozstawione zostały warty na obu dworcach i odtąd poczęło się wypieranie stąd tłumów biedaków, z którymi bardzo po ludzku obszedł się komendant kolei, rozdzielając między nich same tylko zapasy żywności, a nie pozwalając na tykanie czego innego. Kiedy jednak tłumy cisnąć się poczęły i do innych magazynów, straże wojskowe próbowały odeprzeć je, działając postrachem — wystrzałami karabinowymi, kierowanymi w górę. W ten sposób powstrzymano biedaków, ale i nazajutrz jeszcze spieszyły na dworzec tłumy, dopominające się zasiłków w naturze,

które też otrzymywały od żołnierzy. W tłumach tych przeważały kobiety, domagające się pomocy z tego tytułu, że są żonami wojskowych, pozostawionemi bez przyrzeczonego zasiłku. Ponieważ zaś magazyny przeznaczone były przeważnie dla wojska, więc rozdano im w pewnym stosunku mąkę, cukier, groch, fasolę itp. Na resztę jednak położyła rękę wojskowość.

Jak zapowiedział generał von Rode, wstąpienie właściwej armii nastąpić miało dopiero po stawieniu się zakładników oraz złożeniu wszelkiej możliwej broni, a zatem po godzinie 6-tej rano, dnia następnego. Tymczasem jednak oddziały pomniejsze zdołały się już ulokować w mieście; wyżsi oficerowie zajechali do hotelu George'a, oficerowie wolni od służby udali się na miasto po sprawunki w sklepach. Ponieważ zaś od samego rana alkohol cieszył się ogromnem uznaniem, a jak wiadomo armii cara nie wolna używać go bezwarunkowo, zatem z polecenia władz wojskowych wydał prez. Rutowski jeszcze tego samego dnia obwieszczenie do ludności tej treści:

„Wszelkie szynki, piwiarnie i handle win mają być natychmiast zamknięte. W restauracyach i pokojach do śniadań nie wolno wydawać wódki i win.

Nie przestrzegający ściśle niniejszego zakazu podlegnie dotkliwej karze, a nadto będzie mu nieodwołalnie odebrana koncesya na prowadzenie przedsiębiorstwa.

Rutowski.

We Lwowie, dnia 3. września 1914".

Zakaz ten nie przeszkodził oczywiście bardzo szerokim zabawom wieczorem i noc całą oficerów z wesołemi nie-

wiastami, które dziwnie prędko zapomniały o sympatyach swoich jeszcze z dnia poprzedniego, rozmiłowując się na śmierć w nowym przedmiocie swoich uczuć „najszczerszych“ — jakby za wspólną namową przedstawiały się one wszystkie za biedne, opuszczone przez oficerów austryackich żony, godne temsamem „szacunku“ oficerów rosyjskich. Wnosząc z tego możnaby sądzić, że Lwów zamieszkany był przedtem przez samych oficerów, bo niewiast tych kręciło się wszędzie masami. Za przykładem oficerów poszli oczywiście i żołnierze, łakomi bardzo na dawno niewidziany trunek, o który w pierwszych dniach było jeszcze nie zbyt trudno, zwłaszcza że zawodowi szafarze jego woleli ryzykować całość życia i mienia ludności, niż odmówić sobie zarobienia choćby tym kosztem paru rubli. Ogół mieszkańców przyjął to rozporządzenie z największem uznaniem i ulgą, ponieważ widział w tem gwarancyę jakiego takiego spokoju, którego nie mógłby spodziewać się po rozbawionym sałdacie. Inaczej tylko chcieli o tem myśleć ci, których wprawdzie sam widok sałdata nabawiał nie aby jakiego strachu, ale nie straszyły ruble w kieszeni. Wesoło też upłynęła „zwycięzcom“ pierwsza noc we Lwowie! Postarały się o to gościnne dziewoje lwowskie i dziwnym dziwem ci, którzy najbardziej się ich obawiali.

Późnym wieczorem przybył do ratusza komendant wojskowy miasta, pułkownik hr. Sergjusz Szeremetjew, który wydał szereg zarządzeń wojskowych i administracyjnych. Komendant, mężczyzna 32 lat wieku, poprzednio wicegubernator wołyński, spokrewniony z pierwszymi domami rosyjskimi, człowiek gładki w obejściu i po europejsku kulturalny, zamieszkał wraz ze swym sztabem w mieszkaniu prezydenta w ratuszu.

Służbę bezpieczeństwa w mieście pełniła Straż Obywatelska, której opiece oddane zostało miasto i w nocy. Na prośbę jednak prezydyum, celem zapobieżenia możliwym niepokojom, generał von Rode zarządził wysłanie wart wojskowych na miasto z tem, że respektować one mają interwencyę członków Straży, współdziałając z nimi w każdym ewentualnym wypadku. Patrol z 20 żołnierzy przeznaczono do strzeżenia sądu karnego, a ponadto patrol do aresztów miejskich i policyjnych; prócz tego ustawiono warty na placach: Gołuchowskich, św. Teodora, Maryackim, św. Jerzego, u wylotu cytadeli od ul. Mochnackiego, Chmielowskiego i Wronowskich.

Od wieczora przechodzić poczęły przez miasto bardzo liczne oddziały wojska, konnica i piechota. Zgromadzona na ulicach ludność wcale chętnie nawiązywała rozmowy z poszczególnymi żołnierzami, o ile tylko ci dostawali rozkaz zatrzymania się w szybkim marszu. Spragnieni wiadomości jakichś o dotychczasowym przebiegu działań wojennych w kraju, a jeszcze bardziej, żądni rozwiązania niepojętej zagadki cofnięcia się wojsk autryackich bez bitwy pod Lwowem, spodziewali się ludziska dowiedzieć czegoś od — poinformowanych lepiej, zdaniem ich, — żołnierzy rosyjskich. Naogół żołnierz ten bardzo chętnie wdawał się w rozmowę i zdawał się być bardzo dobrze poinformowanym, ale w istocie nie orjentował się on nawet w najbardziej prymitywnych kwestyach. Wojnę — zdaniem jego spowodowała tylko Austrya i Niemcy, które zresztą obiecywał sobie rozbić w bardzo krótkim czasie.

Podobnie naiwnych poglądów sporo można było usłyszeć od nich, a najwidoczniejsze było źródło i cel tych baśni. Z wielką też ufnością w przeważającą moc swoją opowiadali oni o swoich sukcesach dotychczasowych, twierdząc bez zająknienia, że za dwa do trzech dni będą w Przemyślu, a stamtąd wnet w Krakowie i następnie w Wiedniu. Inna rzecz, że geograficzne ich wiadomości pozwalały im dziwić się niepomiernie, że — jak im ktoś z pokpiwaniem powiedział — do Wiednia jest więcej nieco drogi niż dwa dni, albo kilkanaście wiorstw. Na zapytania ich bowiem jakiś dowcipny człowiek pouczył ich, że do Wiednia ze Lwowa jest bardzo niedaleko, bo koleją jedzie się w nocy a rano jest się już na miejscu. Zapewnienia podobne bardzo ich cieszyły, ponieważ z największem upragnieniem oczekiwali już pokoju, nie przeczuwając nawet jak nie wielu z nich wogóle do domu cało powróci. Charakterystyczne było, że z największem zainteresowaniem słuchali opowiadań ludzi o ogromnej obronności Przemyśla i z niezwykłą ciekawością dopytywali się o niego. Z całą jednak ufnością twierdzili, iż mimo tego zabawią pod Przemyślem jakie trzy dni, a stamtąd jedni pójdą na Budapeszt, a drudzy przez Kraków na Wiedeń — za kilka tygodni miało być już po Austryi! W jakim celu i kto ich w podobnej nieświadomości utrzymywał tego dowodzi i ta okoliczność, że wszyscy bez wyjątku stanowczo utrzymywali jakoby równocześnie Włochy i Rumunia wypowiedziały wojnę Austryi,

Wiadomości te tak bez wyjątku zaraz pierwszego dnia rozgłosili wszyscy żołnierze, że wobec tego prawie ogólnie uwierzono temu, czego dowodem pomiesz-

czenie ich nawet w dziennikach z tego czasu. Wiarę zaś dano bredniom tym tem łatwiej, iż to dopiero wyjaśniało ludziom rzekome niepowodzenia armii austryackiej, a trafiało na grunt bardzo podatny pod podobne legendy, jeśli się weźnie pod uwagę ogromny, chociaż chwilowy upadek ducha po zajściach ówczesnych. Przedstawić też można sobie, jak wieści te i im podobne nastroiły zgnębione i bez tego umysły — mało zapewne było w tym dniu ludzi, którzy potrafili nie dać jeszcze za wygraną, tem bardziej, iż oglądać mogli na własne oczy te nieprzejrzane chmary bez końca formalnej wędrówki ludów. Widok ten kazał istotnie zatroskać się wszystkim o los swoich, o których chyba wszyscy bez wyjątku w tych chwilach myśleli z sercem bijącem, życząc im powodzenia i szczęścia w dalszych zapasach.

Zwykłym na ulicach widokiem była grupa albo jeden żołnierz, otoczony gromadą interpelujących, niezmordowanych w zasypywaniu pytaniami bez końca. I o co też nie zapytywali ludziska? Dowiedzieć się chcieli, skąd żołnierze rodem, jak długo w marszu, ile razy byli w ogniu, które zajmowali miasta, przez jakie przechodzili miejscowości, w jakim widzieli je stanie itp. Dowiadywali się zaś przedewszystkiem, jak to „nasi żołnierze się biją“ i co o nich myślą żołnierze rosyjscy? Ciekawe też nieraz rzeczy słyszeć można było na ten temat zarówno od spolszczonego Niemca z Łodzi, jak Polaka z Królestwa, „Małorosa“ z gub. połtawskiej, podolskiej czy chersońskiej, Gruzina, Czerkiesa, Tatara lub od rdzennego Rosjanina.

Powiedzieć miał generał pewien rosyjski, który niedługo przedtem zmarł w szpitalu lwowskim, że żołnierz austryacki dzielny jest i bardzo dobry i tosamo mniej więcej stwierdzali i wszyscy żołnierze rosyjscy. Krytycznie oczy-

wiście brać należało sądy te najróżnorodniejsze, bo pojęte jest, iż każdy z wygłaszających je uogólniał w najlepszym razie spostrzeżenia osobiste, zależne znów od inteligencyi danego osobnika. Naogół jednak tak żołnierz, który raz był w ogniu, jak i ten, co przeszedł go kilka razy, zgodnie opowiadali, że żołnierz austryacki dzielnie się przeważnie trzymał. Z największem uznaniem wyrażali się o konnicy (ułanach i dragonach), która bardzo dzielnie się — według nich — stale spisywała. Również i wzięci do niewoli jeńcy rosyjscy rozprawiali na temat „tych w czerwonych spodniach“, wyrażając się pochlebnie o ułanach. O piechocie natomiast opowiadali, iż

groźna w atakach na bagnety. I jeśli w bitwach których brali górę — opowiadał pewien pułkownik rosyjski — to właśnie wtedy, kiedy szli na bagnety. W otwartem polu nie potrafili skutecznie się opierać, co spowodowane być miało za małą ilością żołnierza.

Co do samych żołnierzy austryackich, najprzychylniej wyrażali się o Polakach i Rusinach, z którymi zawsze dobrze mogli się porozumieć, podczas gdy całkiem inaczej malowali „Austryaków“, którem to mianem prosty żołnierz nazywał Niemców.

Sporo wiadomości zasięgnęła ludność naszego miasta od żołnierza rosyjskiego o bitwach, stoczonych mniej więcej od 20. sierpnia, a o jakich tylko mętne nas dochodziły przedtem wieści. Wiadomo n. p. było, podawane z ust do ust, że bardzo krwawe boje stoczono pod Stojanowem, Kamionką Strumiłową, Kulikowem, Krasnem, a zwłaszcza pod Podhajcami i Mikołajowem. Potwierdziły to i opowiadania żołnierzy rosyjskich, którzy ponadto sprostowali pogłoski n. p. o zerwaniu grobli na

ogromnym stawie brzeżańskim, co w istocie nie miało miejsca, o rzekomem zbombardowaniu Tarnopola, które w rzeczywistości ograniczyło się do zniszczenia kilku domów, a w tem gmachu Towarzystwa Szkoły ludowej i t. p. pogłoskach, kursujących w mieście całem od dni kilku.

Miasto zrobiło na żołnierzach niezwykłe wrażenie, a z wielkiemi pochwałami wyrażali się wogóle o Gąlicyi i jej ludności. Byli to przeważnie i początkowo prawie wyłącznie rolnicy ukraińscy, dzięki czemu też mieszkańcy Lwowa potrafili nienajgorzej porozumieć się z nimi ich językiem ojczystym, co ich też w niemałe wprawiało zdumienie. Usprawiedliwiali się więc, że oni sami nie chcieliby iść na braci, ale kazano im, a za nieposłuszeństwo śmierć czeka — najchętniej zgodziliby się już na pokój, bo i poco im walczyć, „kiedy dość mają ziemi i chleba u siebie."

Co uderzyło Lwowian u żołnierzy rosyjskich to przekonanie ich, że walczą dla idei oswobodzenia jakoby uciskanych w Austryi Słowian, przedewszystkiem Rusinów, Polaków i Czechów. Przedstawić sobie można, za jak dotkliwą ironię przyjęła to ludność stolicy, drżąca właśnie przed tem oswobodzeniem; nie mogło się nikomu pomieścić w głowie, jak ten, co gnębi wiekami wszystkich u siebie potrafiłby i chciał oswobadzać kogoś mającego więcej wolności, niż „oswobodziciel" dopiero obiecuje, nie dając do tego żadnej gwarancyi, że dotrzyma.

I jeśli w ten sposób odniosła się ludność trzech narodowości miasta, odrazu i bez wszelkich dalszych rozumowań, do tej podejrzanej idei oswobodzenia to nic dziwnego, ale bardziej natomiast charakterystyczne było, że nawet ci niepiśmienni „oswobodziciele" sami z wła-

snych obserwacyi po drodze bardzo szybko przyszli do przekonania, iż wygnano ich miliony całe na to, by właśnie zrabować wolność tę ludziom, którzy ją dawno już posiadają i za największy skarb uważają. Dlatego też w poczciwości swego sumienia uważali za stosowne zapewniać nas, że im samym nigdy się nie spieszyło na tę wojnę, a powiedziano im, że bracia ich jęczą w niewoli żydowskiej i że Austrya to państwo żydowskie.

Cel tego zapewnienia jest całkiem jasny, jak również widoczne jest źródło jego. Sfery interesowane w Rosyi musiały czemś upozorować przed ludem swym racyę prowadzenia wojny, a nie mogąc durzyć go jakiemś legendarnem posłannictwem oswobodzicielskiem, użyły w tym celu bardzo popularnego w Rosyi hasła anti-żydowskiego. W tym celu też pouczono biednego mużyka, że Austrya to żydowskie państwo, że „prawosławni“ muszą tam kłaniać się przed „jewrejem“ (jak powiadali naiwnie żołnierze, że muszą całować żydów w ręce!), że Galicya wogóle podlega okrutnej niewoli i że oczekuje niecierpliwie oswobodzicieli. Takie rzeczy słyszeli żołnierze w domu, a z całkiem czemś innem spotkali się w drodze przez obcy dla siebie kraj cały — całkiem też co innego usłyszeli i tu we Lwowie. Szybko też wywietrzały im z głowy, bardzo zresztą lotne dla nich idee oswobodzicielskie, a pozostało tylko jedno zmartwienie — kiedy przyjdzie pokój i kiedy będą mogli powrócić do opuszczonych domów. Skwapliwie też informowali się, czy prawdą jest, że w Austryi znęcają się nad jeńcami, bo tak im powiadają ich przełożeni — uspokojeni co do tego, twierdzili, że i sami w to nie wierzą, bo „naczalstwo“ umyślnie w ten sposób wzmacnia w nich „poświęcenie“ dla ojczyzny.

Tak pokrzepieni na duchu, spieszyli w dalszą drogę do Przemyśla.

Jak już wspomnieliśmy, gros armii, która przechodziła przez Lwów, stanowili dobroduszni „Małorosy“, przywiązani do swej rodziny, roli, gospodarstwa, do swej pięknej stepowej ojczyzny, za którą też tęsknili bardzo. Nie dziw więc, że to zjednało im u poczciwych mieszkańców Lwowa nie mało sympatyi i że serdecznie z nimi współczuto, że wbrew swojej woli musieli porzucać żony, dzieci i gospodarstwo. W bliższej, poufalszej rozmowie nie szczędzili oni gorżkich słów pod adresem tych, którzy ich brutalnie z domów wygnali, pędząc na Bogu ducha winnych takich jak oni rolników — z serca też życzyli sobie szybkiego pokoju. I z nimi też żyli Lwowianie zawsze na dobrej stopie, nie mogąc się uskarżać, by krzywdy jakie od nich cierpieli. Inaczej już miała się rzecz z kozakami, o których sami żołnierze rosyjscy całkiem nie pochlebnie się wyrażali, powiadając, że nikt im nie da rady, chyba sami, gdy się między sobą pobiją. Na szczęście jednak kozaków nigdy nie gościł Lwów dłużej, a w ostatnich czasach oglądał ich przeważnie już nie na koniach, lecz pieszych. Najwięcej respektu przed nimi mieli oczywiście mieszkańce zaułków na Krakowskiem i Żółkiewskiem, którym też niejednokrotnie dali się we znaki.

Wypadki pierwszego dnia wkroczenia Rosyan do Lwowa nie byłyby wyczerpane w powyższych szczegółach, gdybyśmy nie uzupełnili ich jeszcze pewnymi szczegółami. Wspomnieć należy więc o odezwach, rozrzuconych po mieście z pierwszych automobili, które ukazały się na ulicach, tudzież o przemowie jakiegoś pułkownika z galeryi kawiarni Avenue; zwrócił się on do publiczności polskiej z odezwą, względnie słowami manifestu naczelnego do-

wódzcy armii rosyjskiej. Manifest ten rozrzucono właśnie po mieście razem z podobnymi doń manifestami do Rusinów i Czechów.

Z manifestem do Polaków ukazał się podobny i do rosyjskiego narodu w Galicyi, mimo, że narodu takiego niema wcale tutaj, a reprezentować go usiłują ludzie, którzy bez dokładnego słownika nie w stanie byliby zrozumieć nawet tej odezwy, właściwie do nich tylko skierowanej. Nie potrzeba też dodawać, że jak poprzednia tak i ta nie zajęła nikogo niczem więcej, jak chyba tylko swą literacką, poetycką stroną. Dla kompletu rozrzucono też odezwy do Czechów, ale w bardzo małej tylko liczbie egzemplarzy — nad tą to już całkowicie przeszli wszyscy do porządku dziennego tak, że i ślad po niej nie pozostał w mieście.

Sporo więc momentów ciekawych przeżyli ci, co dnia owego nie zapomnianego obecni byli we Lwowie. Z troską

jednak o swoich najbliższych przyjmowali oni wszystko to bardzo obojętnie, chwytając się natomiast byle iskierki nadziei, że jeszcze nic nie stracone i że czekać tylko końca należy. To co koło nich bezpośrednio się rozgrywało zainteresować ich mogło tylko wtedy, kiedy osobiście na to reagować musieli, tak dalece wrażliwość wyczerpana została przygnębieniem, rozczarowaniem, żalem i wszelkiemi możliwemi uczuciami najsprzeczniejszemi. Mało więc, bardzo mało ludzi było w tym dniu we Lwowie, którzy zdawać sobie mogli sprawę z tego, co się w ich oczach działo, co w dowód łaski losów przeżywać im danem było.

Po licznych wrażeniach dnia 3. września doczekali się Lwowianie mało co spokojniejszego piątku (4. września) Rano internowano w hotelu George'a zakładników wspomnianych, których komendant wojsk rosyjskich przyjął w całości, jak ich miasto zaproponowało; internowano ich na 2—3 dni, poczem wolno im było wrócić do swoich rodzin. Tymczasem zaś na wieży ratuszowej pokazała się, w miejsce białej, flaga o kolorach rosyjskich. Flagi podobne rozkazał komendant zawiesić na wszystkich budynkach ukraińskich, a przedewszystkiem na „Proświcie“, tudzież na gmachach rządowych. Właścicieli domów prywatnych nie nagabywano na razie o to.

Wszystkich, którzy dnia tego rano okazali się na mieście, zwróciły uwagę nowe ogłoszenia wojennego gubernatora, pułkownika Szeremetjewa. Wobec mającego nastąpić dnia tego wmarszu uroczystego armii rosyjskiej, po internowaniu zakładników, gubernator zwrócił się do ludności z następującem rozporządzeniem w języku polskim i rosyjskim:

„Mieszkańcy Miasta Lwowa!

Pragnę, by mieszkańcy miasta Lwowa zachowali spokój podczas wkroczenia armii rosyjskiej.

Moneta rosyjska ma być przyjmowana licząc koronę po 30 kopiejek.

Sprzedaż spirytusu, wódki, wina i piwa jest zabroniona.

Kto wbrew zakazowi sprzedaje spirytualia, będzie surowo karany, a napoje będą zniszczone.

Ktokolwiekby miał jakie życzenia, może się udać do mnie każdego czasu, w ratuszu w apartamencie prezydenta miasta.

We Lwowie, d. 22. sierpnia (4. września) 1914.

Gubernator wojskowy
Pułkownik Sergiusz Cheremeteff".

Dopełnieniem niejako powyższego rozporządzenia, ale :ierowanem bardziej do żołnierzy, niż do ludności miaa, jest drugie ogłoszenie, opublikowane dnia tego, a opieające:

„Rozkaz!

Każdy, co wykroczy przeciw prawu i porządkowi, a zwłaszcza rabuje i kradnie, będzie karany wedle prawa wojennego.

We Lwowie, 23. sierpnia (4. września) 1914.

Gubernator wojskowy
pułkownik
Sergiusz Cheremeteff".

Ponieważ Lwowianie najbardziej się właśnie obawiali ch rozbojów i kradzieży, z zadowoleniem więc przyjęli

do wiadomości to ostre zarządzenie, chociaż niekoniecznie czuli się bezpiecznymi przed ludźmi, których aż specyal nie uczyć trzeba przyzwoitego zachowania się. Nadzieję jednak żywili wszyscy, iż Lwów to wielkie miasto, a zatem nigdy nie będzie tak, by zostać miał kiedyś bez władz wyższych, które chyba potrafią trzymać w ryzach szeroką naturę wojsk swoich, a zwłaszcza osławionych kozaków. Po rozkazie tym okazał się zaraz drugi, również dotykający kwestyi cudzego mienia, a interesujący zwłaszcza kupców i właścicieli gospodarstw. Brzmi on w przekładzie polskim następująco:

„Rozkaz Nr. 2.

Nikt nie ma prawa brać w sklepach i składach lub od prywatnych osób w mieście Lwowie dobytku, przedmiotów, koni, bydła lub czegokolwiek, jak tylko za pieniądze.

Przedmioty podlegające rekwizycyi, wskazane już są przezemnie i będą rozglądane przez komisyę rekwizycyjną pod przewodnictwem oficera, zasiadającego w Radzie miejskiej.

Lwów, 23. sierpnia (4. września) 1914.

Gubernator wojskowy
Pułkownik *Szeremetiew*".

Najważniejszym jednak wypadkiem dnia był zapowiedziany wmarsz armii rosyjskiej do Lwowa w całej paradzie wojennej. I istotnie od najwcześniejszego ranka przechodziły przez główne ulice ogromne masy wojsk najrozmaitszej broni, od strony rogatki Łyczakowskiej i Zielonej. Lawiną wprost waliły one przed siebie, trwożąc przechodniów olbrzymią swą masą; kiedy spojrzało się na ten

gigantyczny pochód z dołu ulicy Łyczakowskiej ku górze, to był to widok jakby jakiegoś mitycznego potworu, najeżonego niezliczonem mnóstwem bagnetów, rozchwianych w takt szybkiego marszu, a nie mających, zdaje się, całkiem końca. Po konnicy spieszyła piechota ósemkami w takt przeraźliwej muzyki lub świstów donośnych na palcach. Kto mógł oglądać te nieprzeliczone tłumy, spieszące przed siebie cały niemal tydzień bez przestanku, ten już nigdy nie zapomni groźnego tego widowiska, które też nadzwyczaj przygnębiająco oddziałało na wszystkich we Lwowie. Widziałem nawet mężczyzn, powstrzymujących z trudem łzy, co same cisnęły się do oczu na myśl okrutną, że szarańcza ta ciągnie na naszych braci, mężów i synów. Z ulic się więc usuwano, byle tylko nie oglądać smutnego tego nad wyraz widoku, byle nie słyszeć okrutnej muzyki, co bezwzględnie znęcała się nad rozprzężonymi, zbolałymi nerwami, jakby przedrzeźniając się ze smutku i przygnębienia wszystkich. Do niemożliwych zaś granic denerwował przechodniów charakterystyczny świst na palcach, akompaniujący śpiewom tysięcy gardzieli — świstu tego i śpiewów nasłuchali się Lwowianie do niezapomnienia już na całe życie, ale najprzykrzejsze chyba wrażenie pozostało wszystkim po tych pierwszych dniach przemarszu przez miasto. Dla pamięci zapisujemy tu słowa pieśni, z którą wojska rosyjskie weszły po raz pierwszy do Lwowa i którą też śpiewały do ostatnich dni swego powodzenia. Brzmią one następująco:

„Pyszet, pyszet Awstrja,
Pyszet russkomu carju,
Razobju ja wsiu Rassiju,
Sam ja w Kijew żyt' pajdu.
Zażuryłsia car wielikij,

Sam on chodyt' pa Maskwie.
Nie żyrysia car wielikij,
My Rassiju nie dadim,
Sabjeriom my wojska mnogo,
Pajdom s Awstrijcem wojowat',
Perejd'om Karpatskie gory,
Budiem zimu zimowat',
Prazimujem etu zimu,
Budiem w łagierach stojat'."

Co jeden odział przeszedł, to nowe wydawał świsty, pohukiwania i okrzyki, a już nie byle jak dopisywały muzyki, na szczęście bardzo nie liczne. Szczególny widok przedstawiały oddziały, idące od rogatki Łyczakowskiej, bezpośrednio z Winnik, gdzie znajdowała się fabryka tytoniu — na bagnetach zawieszone mieli żołnierze tobołki wypełnione najlepszymi wyrobami tytoniowymi, cygarami drogiemi i papierosami. W marszu idąc, chętnie pozbywali się tych ciężarów za byle grosz, sprzedając nadarzającym się amatorom. Bardzo szybko jednak ustalili pewnego rodzaju taryfę, a mianowicie jedną koronę za słabsze gatunki, a dwie za lepsze i w ten sposób sprzedawali je przemyślnym (oczywiście) żydkom, którzy zorjentowawszy się, że nie taki dyabeł straszny, jak go malowano, nietylko że rzucili się do „uczciwego" handlu, ale i wnet znaleźli sposób na Moskala, pchając żołnierzom, nie rozumiejącym się na monecie austryackiej, zamiast korony — dwudziestohalerzówki, zapewniając, że płacą jak najrzetelniej. Powstawały z tego powodu najrozmaitsze nieporozumienia, bo żołnierze zauważywszy to, zwracali się do innych przechodniów z zapytaniem, czy rzetelny to pieniądz; po przekonaniu się, że jeszcze na rogatce okpieni zostali przez oczekujących ich tam żydków, odgrażali się pod adresem ich w niebardzo sympatycznych zapewnieniach.

I nie tylko ten jeden handel zakwitł odrazu między uczciwymi posiadaczami a rzetelnymi nabywcami! Kozacy zwłaszcza mieli przy sobie moc „zarobionego“ grosza w postaci 100- i 1000 koronowych banknotów, które bardzo chętnie mieniali na ruble, lub srebrną monetę austryacką, zadowalając się n. p. 15-toma rublami za 100 koron, a nawet i dużo więcej. W moich oczach odbył się podobny „interes“ w obecności sporo ludzi, którzy nawet zwrócili uwagę kupującego za stokilkadziesiąt rubli paczkę banknotów austryackich na kilka tysięcy koron, że kilka z tych banknotów splamionych jest krwią źle wytartą. Nie przeszkodziło to oczywiście kupującemu jeszcze się potargować i przystać na żądaną przez kozaka kwotę tylko dlatego, że wnet dokoła zebrało się więcej amatorów tego brylantowego interesu, podbijających też cenę kupna. Szczęśliwym zaś nabywcą został żydek, który nie wyglądał na takiego, coby i całą koronę mógł mieć przy sobie. Opowiadano po mieście więcej podobnych zajść — w jednym np. wypadku amator skarbów kozaczych nie posiadał ani koronę majątku, ale na poczekaniu zebrał wśród współwyznawców odpowiednią ilość udziałowców i potem uczciwie się z nimi rozliczył. Opowiadano jednak i o ludziach, którzy brzydzili się podobnie uczciwymi interesami!

Po południu odbyła się na placu Maryackim uroczysta defilada z muzykami przed jakimś wyższym oficerem na koniu i to zakończyło uroczystości dnia tego. Dla urozmaicenia zaś Lwowianom programu jego, kilka oddziałów w czasie przemarszu przedpołudniem ostrzeliwało aeroplan austryacki, który pojawił się nad miastem, ale ku zadowoleniu widzów nie uczyniło mu nic złego. W dalszych ulicach strzelanina ta wywołała ogromny popłoch, ponieważ nie umiano sobie zrazu wytłumaczyć przyczyny jej.

Niepokój pewien wywołała też wiadomość, że władze poleciły prokuratoryi uwolnienie około 180 więźniów politycznych, którzy do tej pory pozostawali w więzieniu sądu karnego, jako podejrzani o szpiegostwo i agitacye antiaustryackie. Obawiano się, że będzie to tajna policya rosyjska, której metody i sposoby znane u nas były dotychczas tylko z opowiadań, a poznane być miały obecnie na własnej skórze. I nie omylono się zbytnio.

Rosyanie wogóle szybko wzięli się do urządzania miasta według swego programu. Odrazu zajęli się uruchomieniem kolei na obu dworcach, podjęciem prac na poczcie głównej, zrestaurowaniem telefonów itp. Służbę kolejową zorganizowali w ten sposób, że w ciągu jednego dnia doprowadzili do porządku obsługę elektryczną, następnie warstaty mechaniczne, stacyę osobową i towarową. We wszystkich tych działach kierownicy chcieli obsadzić miejsca dawnemi siłami, ale tylko kilku zgłosiło się z miejscowych. Zapowiedziano w najbliższym czasie doprowadzenie do porządku i otwarcie linii Lwów-Podwołoczyska i Lwów-Brody przez Krasne. Do telefonów wezwano mechaników, oraz funkcyonaryuszki centrali telefonicznej, celem podjęcia ruchu. Z polecenia prezydyum miasta objął zorganizowanie i kierownictwo telefonów miejskich emerytowany radca pocztowy J. Chołodecki. Na razie otrzymać mieli połączenie wszyscy dotychczasowi abonenci w obrębie miasta dla rozmów lokalnych.

Wymienieni już zakładnicy pozostawali przez cały dzień przemarszu armii w ratuszu, skąd wieczorem pod strażą odprowadzono ich na nocleg do przygotowanych dla nich 16 pokoi w hotelu George'a. W klauzurze tej przebywali dwa dni i jedną noc; jadali i przebywali w hotelu, otrzymując do obiadów i kolacyi — stosownie do antialkoho-

licznych zarządzeń władz rosyjskich — wodę mineralną. Na noc miał każdy pokój z przedpokojem, zamkniętym z zewnątrz na klucz, który znajdował się u strażnika. Po zwolnieniu zakładników z klauzury, miasto nie dało się uprzedzić w ponoszeniu kosztów jej, ponosząc je wszystkie w hotelu George'a.

W czasie tłumnego opuszczania miasta przez władze i ludzi naczelnych stanowisk, pozostali w niem jednak trzej najwyżsi dygnitarze kościoła: ks. arcybiskup Bilczewski, ks arcybiskup Teodorowicz i ks. metropolita Szeptycki. Gubernator, pułkownik Sergiusz Szeremetiew, uznał za stosowne złożyć w południe wizytę dwom pierwszym, ale wykluczył z tego zaszczytu metropolitę Szeptyckiego, którego jako reprezentanta Ukraińców umyślnie zignorował, jak też ignorująco przyjął potem deputacyę Ukraińców. Deputacya pod przewodnictwem dyrektora „Dnistra" dra Stefana Fedaka, prosiła gubernatora o zachowanie instytucyi ukraińskich, na co jednak spotkała się z gniewną odpowiedzią, że kwestya ta jest zupełnie nie aktualna i dlatego żadnych oświadczeń zobowiązujących udzielić nie można. Podobnie „przychylne" przyjęcie spotkało i deputacyę kulturalnych towarzystw ukraińskich z prof. Wł. Szuchiewiczem na czele, który zawiadomił gubernatora o istnieniu i funkcyonowaniu towarzystw kulturalnych i finansowych, nie zajmujących się polityką. Rezultat tych deputacyi był taki, iż zaraz po wyjściu jednego numeru „Diła" 5-tego września, hr. Szeremetiew ostro zakazał dalszego wydawania tego i wogóle jakiegokolwiek innego dziennika ukraińskiego. Prawo reprezentowania Rusinów galicyjskich wzięli też odrazu w monopol męczennicy za ideę, a bojownicy za ruble, Dudykiewicze, Bendasiuki, Kołdry itp., którzy po mistrzowsku oszukiwali Ro-

syan, że Lwów jest z gruntu „russkim“ miastem, że czekał niecierpliwie oswobodzicieli i że już nigdy nie da się oderwać od „matiuszki“ Rosyi. Widomą oznaką pobytu Ukraińców we Lwowie była zatem tylko przytoczona powyżej odezwa, tudzież wspomniany, pierwszy i ostatni za panowania rosyjskiego numer „Diła“. Na najdrobniejszą choćby oznakę życia nie pozwolono im bezwarunkowo, a owszem przestrzeżono, że smutno skończyłaby się najlżejsza nawet próba okazania jego, dając równocześnie do zrozumienia, że muszą się mieć mocno na baczności.

Rada miejska, odbywająca codziennie posiedzenia, debatowała w tym dniu (4. września) poufnie nad sprawą aprowizacyi miasta. Działem tym gospodarki miejskiej zarządzał, stosownie do rozdzielenia przez prezydyum między trzech członków swoich zakresu działania, wiceprezydent dr. Filip Schleicher; dr. Tadeusz Rutowski wziął na siebie zarząd spraw zewnętrznych, zaś dr. Leonard Stahl, komunikacyi, wodociągów itp. Kwestya zaprowiantowania miasta stanowiła zaraz od pierwszej chwili wojny jedną z najgłówniejszych zadań zarządu miejskiego, ale z obrotem spraw, jaki 3. września pociągnął za sobą, stała się ona na pewien czas prawie jedynie aktualną dla wszystkich w mieście. Źródło wszelkich dostaw z zachodu zostało odrazu przerwane i to bez nadziei na rychłe otwarcie, kolej przestała funkcyonować, z okolicy najbliższej nie wiele można było dostać, a do tego wszystkiego w samym Lwowie coraz gwałtowniej począł się dawać odczuć niedostatek najniezbędniejszych artykułów codziennego użytku, za czem w ślad poszła niesłychana drożyzna. I nie tyle sam brak zapasów kazał niepokoić się Lwowianom, ile zastraszająco wzrastająca z dnia na dzień drożyzna tego rodzaju artykułów jak mąka, cukier, chleb, sól, mleko,

masło, zapałki, nafta itp. Jak się następnie okazało, artykułów tych zmagazynowanych było bardzo wiele w mieście, ale nikczemne indywidua, polujące za szybkim majątkiem, choćby na łzach najbiedniejszych współobywateli zdobytym, poukrywały wszystko, wnioskując z chytrością , że w niedługim czasie ceny jeszcze bardziej będą musiały pójść w górę i wówczas to dopiero obłowią się one należycie, odgrywając jeszcze do tego rolę opatrznościowych gospodarzy zapobiegliwych. Sytuacya doszła do tego, że w dziennikach wprost roztrząsano kwestyę głodu i towarzyszących mu chorób epidemicznych, nawołując do szybkiego jeszcze w czas zaradzenia nieszczęściu. Oczywiście wszystkie apele szły pod adresem miasta, które samo spętane miało ręce — prezydent Neumann, przenosząc zapobiegliwie swą osobę do bezpieczniejszego i weselszego Wiednia, nie zapomniał, niestety, wziąć ze sobą i całego majątku miasta w gotówce, pozostawiając w kasach pustki same, „uczciwi" kupcy, pozostali we Lwowie, też ze swej strony uważali za czyn najpatryotyczniejszy robić tylko same trudności zgnębionej do gruntu ludności i reprezentacyi miasta, która głosem wołającego na puszczy coraz próbowała przemówić do zatwardziałych w swych narowach nikczemnych opryszków, jak indywidua te powszechnie nazywano wówczas.

Całą nikczemność tych metod, zrodzonych na Krakowskiem i Żółkiewskiem, a szybko przeszczepionych w mieście całem, osądzić można dopiero należycie, kiedy się zważy, w jakich warunkach znalazła się biedna ludność miasta, przeważnie czerpiąca swe dochody z pracy w instytucyach rządowych, lub w ostatnich czasach, zdana prawie wyłącznie na zasiłki wojskowe. Władze państwowe musiały ustąpić z miasta, banki i kasy wywieziono, inne

źródła zarobków ustały jak uciął, a o kawałek chleba niemniej trzeba było się starać. Tymczasem z czem się spotykał każdy u tych obywatelskich kupców, którzy z całą bezwstydnością tłumaczyli się, iż „nie mogą chyba tracić", chociaż tracić musiał na każdym kroku nawet największy biedak?

Do zarządu miasta zwracali się o pomoc zarówno pozbawieni pensyi urzędnicy, emeryci i wdowy, jak i biedne matki z dziećmi, opuszczone przez mężów, którzy pod bronią stanęli, a tymczasem miasto same ledwie bokami robiło. Na dobrych chęciach nie zbywało reprezentacyi stolicy, nawet bardzo wiele się robiło, ale trudno z próżnego nalewać, zwłaszcza gdy znikąd niema pomocy, a owszem na każdym kroku walczyć trzeba z drapieżcami. Masy całe ludzi, których jedynem oparciem była zwykła pensya, zostały odrazu bez zaopatrzenia, w najpomyślniejszym wypadku z niewielkiemi oszczędnościami. Po wdowi zaś grosz ten sięgała zachłanna ręka bezwzględnych harpagonów, którzy sami jednak potrafili każdą sposobność wykorzystać, by robić oszczędności. W magazynach wojskowych, kolejowych, a wreszcie i prywatnych, pozostaych bez opieki, ale wypełnionych wspaniale najrozmaiłtszymi zapasami, nie pozostało ni worka mąki, cukru czy ryżu, a wszystko to za byle grosz przeszło na składy od rabusiów do hurtowników na Krakowskiem na to, by potem za ciężką krwawicę zdobywać było dawkami drobnemi. Gdziekolwiek okazał się jaki worek mąki, cukru, kawy, herbaty, kaszy czy ryżu zaraz kładł nań swą ciężką rękę zachłanny kupiec podobny, żądając po odpowiedniem przetrzymaniu go sum legendarnych i to od biedaków, którzy centami się ratowali.

Nie dość było jeszcze takiego zarobku tym rozbójnikom na gładkiej drodze! Wydawane przez magistrat taryfy maksymalne istniały dla nich chyba tylko na to, by jeszcze lepiej się oryentować w łupieniu kupujących. A plagą już wszystkich był nieszczęsny kurs rubla, który dał pole do popisu dla wprost genialnych metod ździerania z ludzi haraczu. Władze rosyjskie, ustanawiając wartość rubla na 3 korony i 33 halerzy, nie zdawały sobie zapewne sprawy z tego, że nie im okpiwać lwowskich. W istocie bowiem i dnia nie było, by kupiec jakiś lwowski liczył podobnie rubla, urządzając się całkiem poprostu w ten sposób, że towar dany z góry więcej cenił, uzyskując w ten sposób nawet i więcej, niż w walucie austryackiej. Rosyanie płacili, w najświętszem przekonaniu, że kursem swym obniżyli i wartość towarów, ale w istocie odbijało się to najgorzej na mieszkańcach Lwowa. Wszelkie wypłaty z urzędu liczono w rublach według kursu ustanowionego, a kupcy przyjmowali rubla według codziennego kursu na ich giełdzie nieoficyalnej — kurs ten nie przekroczył nigdy 2·60 kor., a bardzo natomiast często spadał nawet do 2·16 kor.; zwyżka zależna przeważnie była od większego dowozu towarów przez kupców rosyjskich, a zniżka od mniejszego oddalenia wojsk austryackich od Lwowa.. W ten sposób jednak urzędnik czy funkcyonaryusz magistracki, otrzymujący pensyę w rublach według urzędowego kursu (miasto przyjmować musiało za tramwaj, elektrykę i podatki ruble, liczone po 3·33 kor.), musiał bez apelu na każdym rublu tracić najmniej 73 halerzy, a nie rzadko i więcej, stosownie do kursu rubla na giełdzie żydowskiej. Nie dość zatem, że za towary płacić trzeba było sumy ogromne, ale na dobitek jeszcze deprecyonowano w ten sposób wartość rubla, chowając nato-

miast skrzętnie monetę austryacką, rzekomo dla wypłat po wojnie firmom austryackim, a w istocie na to, by w kursie była sama moneta rosyjska, co znacznie ułatwiało proceder łupienia kupujących, z których nie jeden próbował się zdobywać na zamówienie towaru w koronach, a następnie płacił rublami według kursu urzędowego. Kupiec nie mógł wówczas reagować, bo na to już była interwencya policyi, ale „nie mogąc tracić“ przyjmował zamówienia w rublach, tłumacząc się, że „niema już koron nigdzie i wszyscy już liczą na ruble“, a rubel u niego znaczył w towarach tyle, co dwie korony. Jednem słowem, nie było na nich sposobu, bo za założenie przyjęli, że wszyscy, tylko nie oni, tracić muszą i z całem spokojem znęcali się nad biednymi ludźmi, zapisując się też w niezapomnianej u nich pamięci.

Głośne było w całem mieście, że brak artykułów żywności jest bardzo wielki, o ogromnej drożyźnie przekonywał się każdy osobiście, a pieniądze mieli bardzo nieliczni tylko, a ci co pozostali bez grosza nie mogli mieć nawet widoków na jakieś dochody — i to właśnie nastrajało szerokie masy bardzo pesymistycznie i to tem bardziej, im więcej na każdym kroku spotykać się musiały z złą wolą niesumiennych ludzi.

Dla zilustrowania stosunków ówczesnych i wykazania ultra-patryotyzmu sfer pewnych, urągających najwięcej na inwazyę rosyjską, użyjemy do uzupełnienia wyżej powiedzianego, kilka pierwszych lepszych wyjątków z kronik dzienników z tego czasu. I tak czytamy np. („Gazeta wieczorna“ z 9. września) charakterystyczną na owe czasy, a i bardzo częstą notatkę: „Handel zrabowanymi wiktuałami. Obecnie wiele kupców kupuje za pół darmo zrabowane wiktuały przez szumowiny lwowskie, a następ-

nie sprzedaje towary za drogie pieniądze. Dziś policya przyłapała taki kupiecki transport. Mianowicie aresztowano Ryfkę Wehelową i Zygmunta Emila Fränkla na ul. św. Anny, gdy przewozili furą większą ilość ryżu, cukru i soli. Ponieważ stwierdzono, że towary te kupili od niejakiej Anny Majewskiej, aresztowanych uwolniono, a całą furę zatrzymano w depozycie...“ Bajeczne pendant do tej notatki znajdujemy w innym dzienniku („Wiek Nowy“ z 14. września), rojącym się zresztą od podobnych dokumentów. Czytamy tam: „Wielką sensacyę wśród Straży obywatelskiej wywołało przyaresztowanie wczoraj niejakiego Abrahama Kisela, kupca, — Kisel, zapisawszy się do Straży obywatelskiej, miał łatwiejszy dostęp do różnych magazynów i koszar, w których dokonywał kolosalnych kradzieży. Wczoraj przeprowadzono w jego mieszkaniu rewizyę i znaleziono wiele mebli, artykuły spożywcze workami, a w piwnicy nawet beczkę octu. Nadto zakwestyonowano u niego 1.110 kor. i 33 rubli, które niewątpliwie pochodzą z rabunku. Sprowadzony na inspekcyę Kisel, nie chciał pod żadnym warunkiem zwrócić swej przepaski i dopiero odebrano mu przemocą“... W ścisłym stosunku do podobnych „interesów“ stały sprawy, na które znów inny dziennik zwrócił uwagę, a które wprost do rozpaczy doprowadzały i bez tego dość zgnębioną ludność. Znajdujemy tam („Słowo polskie“ z 5. września popoł.) następujące: „Ostrzeżenie przed wyzyskiem. Lwowscy spekulanci, którzy już przyszli w posiadanie pewnej ilości pieniędzy rosyjskich i chcą zarobić na kursie, rozpuszczają w mieście pogłoski, że do trzech dni musi każdy wymienić posiadane pieniądze austryackie, bo te tracą zupełnie wartość. Ostrzegamy przed tymi oszustami, gdyż do końca wojny austryackie i rosyjskie pieniądze będą w kursie i muszą być przyjmo-

wane". Ponieważ jednak złym tym duchom za mało było tego wszystkiego, więc obmyślili jeszcze inny proceder, o którym wspomina kronikarz „Kuryera Lwowskiego" (z 10. września): „Z powodu nadmiernego podwyższenia cen środków żywności na targach, magistrat ogłosił przez wybębnienie na ulicach, iż taryfa maksymalna artykułów spożywczych obowiązuje nadal; spekulanci bowiem rozpowszechniają pogłoskę, iż taryfa ustanowiona przed niedawnym czasem straciła moc obowiązującą". Takie obrabianie publiczności na wszelkie możliwe sposoby, jeden bezwzględniejszy od drugiego, doprowadzały do coraz głośniejszych utyskiwań.

Apelowały dzienniki, interweniowała, jak tylko mogła Straż obywatelska, bronili się ludzie jak potrafili przed nagonką na próżne swe kieszenie — choć ze wstydem jednak z konieczności wołano nawet policajników rosyjskich o pomoc przed wyzyskiem — ale wszystko to pomagało tylko tyle, że za kilka dni spostrzegali się biedni ludziska, że nową jakąś, jeszcze przebieglejszą zastawiono na nich łapkę. Kiedy nastały ruble rozpuszczono zapewnienie, że austryacka moneta będzie wycofana — wyzbywali się ciemni ludzie na gwałt za byle co koron ostatnich, kiedy po kilku dniach przyszło uspokojenie pokazało się, iż nasi kupcy nie uznają rubli i nie chcą ich przyjmować, kiedy po długim czasie policya represyami zaprowadziła ład jakiś, rubel miał dla nich wartość tylko dwu koron i na to już nikt do końca nie potrafił poradzić. W międzyczasie zaś, dla urozmaicenia jednostajnych swych

metod łupienia skóry ze wszystkich i ze wszystkiego, uchwaliła giełda, że niema drobnej monety i rzeczywiście za kilka dni prawie jej nie było, z czego zysk oczywisty, bo za zmienienie 10 koron brało się 20 a nawet i więcej halerzy. Kiedy zaś wyczerpano do gruntu potulność nieporadnych Lwowian, wówczas dla zmylenia ich oryentacyi, przejrzewającej spekulacye wszystkie, uchwalono ni stąd ni zowąd, że rubel poszedł bardzo w górę, dezoryentując w ten chytry sposób do reszty naiwnych mieszczan i masę amatorów-kupców, którzy tłumnie rzucili się do prowadzenia interesów, a w istocie stracili co do grosza, co tylko jeszcze do stracenia mieli. Zwłaszcza opłakany był los wszystkich tych mleczarń, herbaciarni, jadłodajni itp., do zakładania których rzuciły się zwłaszcza Lwowianki tłumami całymi; znalazło się mnóstwo chwalców, którzy nie krytycznie i dziecinnie rozczulali się nad przedsiębiorczością pań naszych, a w istocie żer tylko pożądany stanowiły one dla mafii całej „engrosistów", sprawiając szkody i publiczności, która drogo opłacać musiała niefortunne kroki pierwsze „uprzemysłowionych" na gwałt pań naszych. O zdrowej konkurencyi mowy nie było, bo źródło wszystkich dostaw było to same, natomiast, dla odbicia sobie kosztów wielkich, nakładały wszystkie te mleczarnie, herbaciarnie itp. istne haracze na konsumentów mimo, że w zimie np. Lwów był doskonale zaprowiantowany. Stosunki podobne wspaniale sprzyjały operacyom rozmaitych ciemnych duchów, którym do tego w pomoc bezinteresowną szły dzienniki niektóre, rozczulające się bezkrytycznie nad tem, jak to nieporadne dotychczas panie nasze stały się odrazu nieocenionemi gospodyniami, kupcami, przemysłowcami i niemal fabrykantkami. I biedni Lwowianie nie zdawali sobie sprawy,

dlaczego mimo dostatku prowiantów płacić musieli takie olbrzymie za wszystko ceny, nie wiedzieli, ilu pośredników żyć chciało z tych kilku funtów, które codziennie konsumowali, a dzienniki tymczasem hymny piały „uprzemysłowionym“ radcom, profesorom, literatom i podlotkom, przedstawiającym sobie naiwnie, że kupcem być może każdy, kto tylko potrzebuje pieniędzy.

Trudności te do zwalczania były nadzwyczaj ciężkie mimo niezwykłych wprost wysiłków Reprezentacyi miasta, by ukrócić bezwzględną samowolę wyzyskiwaczy, a przedstawić można sobie, jakie rozmiary przyjęłyby one, gdyby miasto nie pomyślało o wzięciu w obronę bezbronnych swych obywateli. Prócz ustalenia taryfy maksymalnej, interwencyi w wszystkich wątpliwych sprawach, zajmowania się gromadzeniem prowiantów w własnym zarządzie, zakładania miejskich sklepów, normujących wygórowane ceny, nie obojętna była zarządowi miasta trudniejsza sytuacya ludności. W wypadkach takich zabierało prezydyum głos, który, jeśli nie wskórał wiele u niepoprawnych, to zawsze bezwzględnie z prawdziwą wdzięcznością przyjmowany był przez ogół. Zaraz z początkiem wojny zarządziło miasto nie jedno, co w następstwie ostatnią być miało dla ludności deską ratunku — Lwowianin każdy za obowiązek sobie uważa wymyślać miastu, ale w istocie ocenia z wdzięcznością wszystko co dlań zrobiło ono. Prawdę tę potwierdziły najlepiej ciężkie czasy wojenne, kiedy te zasłużonego swego prezydenta, dra Rutowskiego, ludność stolicy wprost ubóstwiała, uważając go za swą dumę największą.

Czy nie czuć nuty wprost rodzicielskiej troskliwości, a zarazem wyrozumiałe względy dla błądzących, w takiej np. odezwie z 6. września, która do tego nie pierwszym

była apelem w tej samej sprawie? Prezydyum miasta zwraca się w niej do mieszkańców temi słowy:

„Odezwa.

Już niejednokrotnie zwracało się Prezydyum miasta w ostatnich czasach do P. T. Publiczności, by nie tamowała obrotu pieniężnego przez zatrzymywanie monety drobnej i zdawkowej. Gdy obecnie objawia się w mieście prawie zupełny brak drobnej monety, zwraca się Prezydyum miasta ponownie z gorącą prośbą do P. T. Publiczności, zwłaszcza do P. T. kupców, by nie pogarszali i tak już ciężkiego położenia finansowego mieszkańców miasta, bezpotrzebnem zresztą wycofywaniem z obiegu i chowaniem monety drobnej.

Z Prezydyum miasta Lwowa:
Rutowski m. p.

We Lwowie, 6. września 1914".

Trafiały się cuda i wówczas odezwy podobne miały pewien skutek, ale z pewnością nie u „P. T. kupców", którzy na wszystko, jedną zawsze mieli odpowiedź, a mianowicie kategoryczne oświadczenie, iż oni „nie mogą chyba tracić", a stratą u nich nazywał się interes, co im wydatku ich własnego nie podwoił, albo nawet i nie potroił. Klasyczny wypadek pojmowania przez tych „P. T. kupców" wysokości zarobku znany był w mieście w sferach odnośnych. Trafiło się (a właściwie było to następnie regułą) w zimie, iż na rogatkę Żółkiewską przyjechał z Rosyi olbrzymi łańcuch fur, ładownych w mąkę, której wówczas bardzo potrzeba było w mieście. Jak zwyczajnie, o transporcie tym uprzedzeni byli , oczekujący go

też na placu, ale kiedy się on tam zjawił, żaden z nich (oczywiście po poprzedniem porozumieniu) nie okazywał najmniejszej ochoty zakupna, twierdząc, że mąki mają dość i całkiem jej nie potrzebują, a natomiast bardzo chętnie kupiliby towar, którego właśnie kupcy rosyjscy nie przywieźli. Przedstawić sobie można miny kupców, którzy setki kilometrów, w śniegu, wieźli całe te masy towaru na to, by się na miejscu dowiedzieć, że nikt go tu nie potrzebuje. Żydki tymczasem nie okazywali najmniejszego zainteresowania dla mąki, oczekując rezygnacyi kupców rosyjskich, co na takie dictum, chociaż z irytacyą, poczęli się przygotowywać do odwrotu. I na to właśnie czekali chytrzy Lwiowianie. W ostatniej chwili — więcej z współczucia dla strudzonych nadaremnie kupców — oświadczyli gotowość zakupienia zwiezionej mąki, ale tylko za najniższą cenę, bo „i tak dość jej mają“. Nie mając do wyboru, kupcy rosyjscy musieli się na to zgodzić, a tymczasem lwowscy „engrosiści“ zrobili „interes“ pierwszej klasy i to w czasach, kiedy ogólnie pytano się za mąką. Rozumie się samo przez się, że ludność Lwowa tem drożej musiała następnie za tę mąkę zapłacić, im taniej ją nasi kupcy nabyli. Taki zysk zasługiwał u nich dopiero na miano odpowiedniego!

Nie aby jakie zatem zadanie spadło na miasto wobec tego rodzaju konkurencyi. Zasługę też wielką poniósł w sprawach aprowizacyi magistrat i wicepr. dr. Schleicher. Dla powiększenia produkcyi mleka, o które ogromnie trudno było we wrześniu, zarząd miasta stwierdzał gdzie kto ma krowy, brał je w swoje przechowanie (n. p. z zrabowanych folwarków w okolicy) i starał się o paszę dla nich, by w ten sposób podnieść produkcyę mleka. Celem zapobieżenia brakowi chleba, który masami wyku-

›ywali idący przez miasto żołnierze, zajęło się miasto wy›iekaniem dziennie 3000 bochenków, z czego 500 rozdavano bezpłatnie najbiedniejszym za pośrednictwem kuchni udowych. Resztę sprzedawało się w 14 sklepach miejkich. Co do mięsa, to miasto miało je codziennie świeże rzeźni, sprzedawane w jatkach miejskich po cenie nornalnej. W sklepach miejskich dostać też można było i słoıinę soloną, poszukiwaną bardzo ze względu na wielki ›rak masła. Brakiem zupełnym i drożdży zajęło się mia ;to, czyniąc starania, celem uruchomienia krajowej fabryki lrożdży. Podobnie pomyślano i o opale drzewnym i węglowym. Tytoń otrzymało miasto od gubernatora z rządowego składu austryackiego z tem, że dochód z rozsprzedaży należeć będzie do kasy miejskiej.

Kiedy władze miejskie czyniły wszystko dla zażegnania widma głodu, a ludność z największem zainteresowaniem śledziła kroki ich w tym względzie, równocześnie sfery pewne na własną rękę czyniły niezwykłe zabiegi aprowizacyjne. Wspomniane już wypróżniania cudzych magazynów, zrazu w dość skromnych rozmiarach, podżegane przez indywiduą, ciągnące z źródła tego niesłychane zyski, urosły wnet do rozmiarów prawdziwego bandytyzmu, stając się istną plagą mieszkańców. Celem położenia kresu rabunkom, gubernator wojenny wydał rozkaz, że każdy schwytany na kradzieży karany będzie śmiercią, a dla zadokumentowania rozkazu wydał wyrok (4. września) na siedmiu rabusiów, których odrazu rozstrzelano. Na jakie pomysły zdobywali się apasze lwowscy, dowodzi fakt schwytania na grabieży najniebezpieczniejszego herszta szajki, grasującej na Zamarstynowie, w przebraniu niewieściem. Schwytany rabuś odstawiony został na ratusz jeszcze w chustce kobiecej na głowie i tam na mocy ogło-

szonego rozkazu skazany został przez gubernatora na rozstrzelanie, którego żołnierze jeszcze tego samego wieczora dokonali. Od wypadku tego bandytów nie strzelano już, lecz wieszano. Bardzo obfity połów rabusiów powiódł się w niedzielę (6. września) na Pasiekach. Straż obywatelska, otrzymawszy wiadomość, że mieszkańcy tych stron dopuścili się wielu rabunków, przybrała do pomocy miejski oddział straży ochotniczej z asystencyą wojskową i przeprowadziła rewizyę w szeregu domów. Rezultat jej był nadzwyczajny, znaleziono bowiem cały skład win, koniaków, wódek, złote i srebrne przedmioty, ubrania, pościel, meble, a nawet całe fortepiany. Przy sposobności zaś aresztowano aż 15 sprawców tych grabieży, uraczonych dokumentnie alkoholem i odwiezionych w takim stanie na furach do Sądu karnego. Dostało się tu też sporo mieszkańców Kozielnik i Sichowa, którzy napadali domy i rabowali, zabierając prócz sprzętów także bydło i wozy. Na Kleparowie aresztowano znów człowieka jednego, który od 4. września codziennie zwoził całe fury zrabowanych rzeczy, począwszy od mebli i garderoby, a na wiktuałach skończywszy. Przemysłowców takich namnożyło się wówczas, zwłaszcza na przedmieściach, mnóstwo całe, ponieważ zaś rozporządzenie gubernatora, zapowiadające karę śmierci za grabież dobrze poskutkowało w samym Lwowie, a nie dość znane było w okolicznych miejscowościach, zarządzono przeto nowy nakład jego w 500 egzemplarzach, przeznaczonych do rozlepienia wszędzie i rozdawania zgłaszającym się. Po jakimś czasie ustały też i tam większe operacye złodziejskie, tępione skuteczniej po sformowaniu milicyi miejskiej we Lwowie.

Władze austryackie ustępując ze Lwowa usunęły również i policyę, która, jako wojskowa, nie mogła pozostać.

W pierwszej chwili urządzona miejska straż obywatelska na długo i w zupełności wystarczyć nie mogła. Postanowiono zatem zorganizować stałą milicyę miejską. Przez cały dzień 7. września odbywał się w koszarach przy ul. Kaźmierzowskiej pobór ochotników do służby w tej policyi. Urządzenie jej poleciło Prezydyum b. komisarzowi c. k. policyi, Stan. Tauerowi. Miała ona dostać z czasem osobne mundury i uzbrojenie, a na razie rozpoczęła już wieczorem tego dnia urzędowanie na ulicach w ubraniach cywilnych z szablą u boku i niebiesko-czerwono-białemi opaskami na ramieniu. Milicya ta składać się miała z 500 ludzi, mieszczących się w koszarach dawnej policyi, gdzie też była inspekcya; na razie funkcyonować poczęło biuro meldunkowe i bezpieczeństwa, obsadzone przez kom. Tauera byłemi siłami dawnej policyi. Z powodu ciężkich stosunków finansowych do służby policyjnej zgłosiło się bardzo wielu urzędników, artystów i chórzystów teatralnych, a także sporo rzemieślników, pozbawionych roboty. Dotychczasowa M. S. O. i w dalszym ciągu spełniała swe funkcye, jako organ nadzorczo-pomocniczy; celem zaś zapobieżenia nadużywaniu odznak Str. Obyw. dodano do opasek, noszonych przez jej członków, srebrne guziki, jako agrafki, z herbem miasta.

Ponieważ ulicę lwowską zdobił czas pewien reprezentant efemerycznej tej służby bezpieczeństwa, co tak dobrze zapisała się w pamięci Lwowian, których życia i mienia broniła wytrwale, więc i godzi się uwiecznić go w słowach choćby paru. Za dnia i nocy widzieć można było na mieście dzielnych tych ludzi, nie zrażających się tem, że wyglądem bardziej jeszcze należą do „cywilów“, niżby im się to patrzyło ze względu na służbę, no i... ładną szablę oficerską przy boku. Na ulicy stanie pan z milicyi,

rozglądnie się po niej uważnie okiem wodza na polu bitwy i wnet zoczy cel godny uwagi — grupa gapiów podziwia jakiegoś „turystę“ biorącego przeszkody na dachach kamienic, a zapatrzonego z lunetą u oka na wyimaginowane reduty armatnie na rogatce Janowskiej. Sprzeciwia się to oczywiście ostrym przepisom stanu wojennego — trzeba „turystę-strategika“ ściągnąć na dół. Przy akompaniamencie rozhałasowanej publiki, tej drobniejszej, winduje się pan z szablą i przepaską wysoko po schodach na strych i na gwałt zaprasza obserwatora zakazanych widoków na dół. Po skrupulatnem sprawdzeniu, iż ciekawość a nie zbrodnicze zapędy zaprowadziły go aż tak wysoko, zostaje przestraszony obywatel puszczony „tym razem“ wolno. Za minut jednak kilkanaście, na rogatkach najdalszych wiadomo już wszystkim, iż w mieście schwytano szpiega, powieszono go, rozstrzelano, zakopano i wogóle zniszczono doszczętnie ślad po nim. Przestroga to dla innych, by na dachach nie próbowali wytrzymałości nóg swoich.

Zbiegowisko rozbija się na atomy, w czem usłużnie pomagają mu panowie z milicyi, przedkładając, iż „nie można teraz stawać gromadami“. Tymczasem znajduje się już nowa sposobność do interwencyi. Oto, między zebranym tłumem, w którym nie brak i żołnierzy, przewija się młody żydek z pudełkiem „domowych“ papierosów, traktując nimi gościnnie — sztuka po 2 halerze, na monetę rosyjską 2 kopiejki — żołnierzy rosyjskich, za co spotyka się wręcz z czemś innem, jak nagrodą, bo w krótkiej drodze idzie na inspekcyę.

Tymczasem w innym zakątku cały oddział milicyi konwojuje istną karawanę korsarsko-kupiecką. Drogi komunikacyjne porwały się przeważnie, a więc wozami kon-

nymi i ręcznymi przewozić trzeba na gwałt wszelki dobytek bliźniego, który na chwilę pozostał bez jego opieki! Niestety tylko, że władze inaczej chcą o tem myśleć, bo całkiem bez serca pozbawiają „biednych ludzi“ ciężko zdobytego łupu, co „aż się prosił“, by przenieść go na bezpieczniejsze przechowanie, pewniejsze, niż je miał w jakiejś tam cytadeli, kasarni, „k. u. k. Depot“, lub opuszczonem mieszkaniu. Tak więc i „biedne człowieczysko“ i ciężka praca jego idą na wspólne przechowanie. Starała się o to milicya i zasłużyła sobie na wdzięczność, Lwowian, za co też, zdaje się, solą później była w oku władz rosyjskich, które też szybko kres położyły jej istnieniu.

Dzięki niezmordowanej działalności Prezydyum miasta rozprzężone życie stolicy poczęło powoli wchodzić w drogi, które pozwalały się spodziewać, że poprowadzą je bez tarć większych. Naczelna reprezentacya miasta stała się w tych czasach jakby dyktatorską władzą rzeczypospolitej lwowskiej — przypomniały się piękne czasy, kiedy to patrycyat i mieszczaństwo lwowskie dumnie zwało się „Senatus Populusque Leopoliensis“. I gdyby nie twarda rzeczywistość, gdyby nie świadomość tego, że są to pierwsze, jeszcze może nie bardzo ciężkie dni przyszłej długiej niewoli, to Lwowianie dumniby byli i cieszyliby się z tej rzeczpospolitej swojej. Niestety jednak, tak być długo nie mogło, względnie nie pozwolono, by być mogło.

Nowi panowie na dobre już się rozgospodarowywali. W sobotę 5. września komisya, złożona z radnych oddała władzom rosyjskim wszystkie urzędowe gmachy publiczne. W budynku austro-węgierskiego banku ulokował swą kancelaryę gubernator Szeremetjew, oraz jakieś biura wojskowe, w Namiestnictwie, naprzód wojskowość, a po-

tem general-gubernatorstwo Galicyi; i inne gmachy nie ostały się przed niepożądanymi gośćmi. Sprawa ta nadzwyczaj interesowała mieszkańców Lwowa, bo na własne oczy wnet się przekonali, w jakie ręce dostały się piękne te dotychczas i czyste, jak pudełka, budynki — z oburzeniem opowiadano sobie, jakie to porządki zapanowały tam z nastaniem nowych panów. A tymczasem nie skończyło się na tem, że tylko gmachy rządowe odczuć ich musiały, bo na polecenie gubernatora wszystkie napisy nad biuram w magistracie musiały być uzupełnione jeszcze napisami w języku rosyjskim. Popsuło to ludziom nie mało krwi, ale pocieszali się wszyscy, że „da Bóg, to będzie jeszcze inaczej“.

W ciężkich tych czasach wyłoniła się jeszcze jedna bardzo ważna kwestya, której zaradzenie wzięła na siebie reprezentacya miasta, a mianowicie sprawa zasiłków dla rodzin powołanych pod broń, a zatem najwięcej odczuwających biedę dokuczliwą. Ponieważ zasiłki te z kasy rządowej wypłacała kasa magistratu zatem z usunięciem się władz rządowych biedni ludziska z pretensyami swemi zgłaszali się tłumnie do ratusza, dopominając się gwałtownie pomocy. Depozyt rządu na te cele był bardzo już nie wielki, co zostało ogłoszone, ale tem bardziej tłumy się cisnęły, chcąc w czas jeszcze coś dostać. Sceny rozgrywające się wówczas w magistracie trudno opisać — do tego dochodziło, że trzeba nawet było żądać interwencyi żołnierzy dla utrzymania porządku. Wzburzony tłum pretensye miał do magistratu, ponieważ zapewniali go jacyś ludzie, że pieniądze dla nich dał cesarz, ale p. Neumann wziął ze sobą tam, gdzie uciekł. Nie mało też utrapienia z ludźmi tymi miało miasto, a o ile uspokoić się ich powiodło to wyłączna zasługa Prezydenta Rutowskiego, przed którego

słowami szacunek mieli wszyscy oni. O ile gotówki starczyło zarządził on, by jak najprędzej dostali ją wszyscy potrzebujący i nawet w tym celu zwrócił się do interesowanych z następującem obwieszczeniem:

„Prezydyum król. stoł. miasta Lwowa ogłasza niniejszem, że biuro zasiłków dla rodzin powołanych do służby wojskowej w c. i k. armii austryacko-węgierskiej będzie urzędować bez przerwy rano i popołudniu w szkole im. Staszica przy ul. Skarbkowskiej.

Kto dotychczas podania nie wniósł, ma je wnieść w komisaryacie tej dzielnicy, w której mieszka. Następnie zgłosi się w biurze zasiłków wojskowych (szkoła im. Staszica), gdzie otrzyma arkusz płatniczy. Z arkuszem płatniczym należy się udać do c. k. krajowej Dyrekcyi Skarbu celem zalikwidowania. Po uskutecznieniu likwidacyi i wystawieniu kwitu należy zgłosić się po odbiór pieniędzy w kasie miejskiej (Ratusz parter).

Prezydyum król. stoł. m. Lwowa.

We Lwowie, dnia 5. września 1914.

Rutowski".

Po zaspokojeniu choć chwilowem i tych najbardziej potrzebujących, po dokonaniu w tak bardzo krótkim czasie tylu spraw pierwszej wagi, po tak szczerem a owocnem zajęciu się losami zgnębionego miasta zoryentowali się ludzie, ile do zawdzięczenia mają szanownej swej Reprezentacyi. Posypały się w dziennikach ówczesnych, samorzutnie zupełnie i nierzadko z sfer publiczności liczne artykuły, znamionujące najlepiej, jako że pisane pod bezpo-

średniem wrażeniem, uczucia Lwowian dla swych przewódców. „Wiceprezydentowi drowi Rutowskiemu — czytamy w jednym z dzienników (Kuryer lw. z 8. września) — i jego dzielnym towarzyszom w wielkiej mierze zawdzięcza miasto Lwów, że nie uległo spustoszeniu. Fakt ten przejdzie do historyi naszego grodu i nazwisko dra Rutowskiego przekaże wdzięcznej pamięci przyszłych pokoleń.

„Dobrze się stało, że prezydent p. Neumann opuścił stanowisko i schronił się w bezpieczne ukrycie. Powszechne bowiem jest przekonanie, że nie sprostałby nadzwyczaj trudnym zadaniom chwili, wymagającym wiele taktu, wyższej ponad przeciętną miarę inteligencyi, rozwagi, cywilnej odwagi i innych cnót obywatelskich.

„Dr. Rutowski natychmiast po wyjeździe p. Neumanna ujął ster miasta, skupił wokoło siebie prezydyum, członków Rady miejskiej, resztki urzędników magistratu. Zorganizował bezzwłocznie straż obywatelską, a nawiązawszy imieniem miasta stosunki lojalne z wkraczającą armią rosyjską, starał się z powodzeniem zupełnem o zapobieżenie wybrykom, aby miastu zapewnić normalny ile możności sposób życia pomimo srożącej się wszędzie burzy wojny.

... Tryb życia Lwowian przedstawia się na zewnątrz jako nieomal normalny. Ludność swobodnie chodzi po ulicach, sklepy są otwarte, targ ożywiony, kursują tramwaje, przywrócono lokalne połączenia telefoniczne, poddanym rosyjskim dano przepustki na wyjazd, wkrótce otwartą będzie komunikacya kolejowa na wschód i północ. Nawet w kinach gromadzi się już liczna publika. Kawiarnie i restauracye mają sporo gości.“

Pomyślne ustosunkowanie się władz do miasta zadokumentować miał fakt wcale doniosły w życiu ówczesnem Lwowa, a mianowicie przedstawienie się gubernatorowi

hr. Szeremetjewowi Rady miejskiej w dniu 5. września 1914 roku. Rada, której przypadły rządy nad miastem w chwili historycznej, istniała w składzie swym z wyboru z 16. stycznia 1913 r., a obrana została na okres 1913—1918. W komplecie liczyła 100 członków, a we wrześniu 1914 r. składała ją dokładnie połowa z tego — trzech radnych zmarło — reszta z p. Neumannem na czele wyjechała na spóźnione wakacye, albo też powołana została do służby wojskowej. Zestawiając według klubów pozostało we Lwowie: z klubu mieszczańskiego — 29 radnych, z obywatelskiego — 11, z centrum — 1, z katolickiego — 4, z klubu ludowego nie wyjachał nikt, z klubu żydowskiego wyjechało (wszyscy do Wiednia) 15, zostało 2.

W sobotę wieczór prezydent Rutowski przedstawił gubernatorowi wojennemu radę w tym składzie. Radni jawili się w czarnych strojach z radzieckimi odznakami, prezydenci w łańcuchach, insygniach swej władzy. Gubernator Szeremetjew zjawił się w polowym mundurze wraz z generałem Mikulinem i podpułkownikiem Iwanowem. Gdy stanęli na podyum wygłosił dr. Rutowski przemowę, naprzód po polsku, następnie po francusku:

„Świetna Reprezentacyo!

Po szeregu wielkich przewag wojsk rosyjskich armia zwycięska zajęła król. stoł. miasto Lwów. Wojska monarchii nie broniły Lwowa i miasto nasze ukochane, prastary gród, co był przez wieki wielkiem centrum życia narodowego i państwowego, co ma siedm wieków wspaniałej przeszłości, nie będzie narażony na nieszczęście walki o zdobycie miasta. Ludność miasta Lwowa przyjęła wojska rosyjskie z powagą, ze spokojem, z ufnością. Gubernatorem wojskowym został mianowany JE. były gubernator Woły-

nia, pułkownik Sergjusz Szeremetjew. Mam zaszczyt przedstawić W. E. Radę miasta Lwowa w komplecie, na jaki pozwala stan wojenny. Świetnej Radzie czuję się w obowiązku wypowiedzieć, że w ciągu dni ostatnich, w których mi dane było stać na straży miasta, znalazłem w J. E. panu gubernatorze człowieka wielkiego serca i szlachetnych uczuć, który twarde zadanie wojennego gubernatora starał się wedle sił w duchu humanitarnym i względów dla naszego miasta spełniać. Racz przyjąć Ekscelencyo za te dowody wysokich uczuć, słowa gorącej podzięki, które ci składam imieniem miasta i proszę o zachowanie tych samych uczuć i nadal dla miasta i jego mieszkańców".

Gubernator odpowiedział na to w te słowa:

„Bardzo się cieszę, że mogę zawrzeć z wami znajomość. Przyszłość jest w ręku Boga. Zaproponowałem merowi (prezydentowi) miasta, aby Panów sprosił, nie dla kwestyi politycznej albo innej ale dla takiej wielkiej kwestyi, która dzisiaj musi być jedyną naszą ideą, aby zachować możliwość egzystencyi dla obywateli m. Lwowa. Mając sposobność pracowania z reprezentantami waszymi, mam nadzieję, że uczynię wszystko, co możliwe, aby ulżyć sytuacyi waszego wspaniałego miasta (de votre magnifique ville) w sposób równie szlachetny, jak i oni to uczynili. Życzę Wam najlepszego skutku, najlepszych wyników tej waszej pracy".

Po odpowiedzi tej gubernator skłonił się i opuścił salę, udając się do zakładników, którzy znajdowali się w sali posiedzeń magistratu. Rozmawiał z nimi do godziny 9-tej wieczorem, poczem już nie odprowadzono ich do hotelu George'a, lecz gubernator oświadczył im, że mogą się udać

do domów, ale muszą dać słowo że nie opuszczą miasta, a wychodząc z domu pozostawią kartkę, dokąd się udali. Zakładnicy złożyli żądane przyrzeczenie i odeszli do domów. Mimo zmiany formy zakładnictwa zakładnicy i nadal odpowiadali życiem swem za spokój w mieście.

W poniedziałek po tej sobocie (7. września) odbyło się przedstawienie Prezydyum i zakładników naczelnemu wodzowi ósmej armii jenerałowi hr. Łomonow-owi. Popołudniu udali się automobilami gubernator wojenny hr. Szeremetjew, prezydent Rutowski i wiceprezydent dr. Stahl do pałacu namiestnikowskiego, gdzie zamieszkał hr. Łomonow. W pałacu oczekiwali ich już zakładnicy, poczem nastąpiło gremialne przedstawienie się jemu. Dr. Rutowski wygłosił przemowę po polsku, a następnie powtórzył ją po francusku. Apelował do względności generała dla miasta i wyraził nadzieję, że jeżeli dotąd miastu dane było uniknąć klęsk wojennych, to dzięki wspomnianej względności stanie się to i w przyszłości.

Generał Łomonow odpowiedział po francusku, zaznaczył jednak, że już polską przemowę dra Rutowskiego zrozumiał dokładnie bawił bowiem lat kilkanaście w Warszawie i po polsku rozumie. Następnie zapewnił o swojej przychylności dla miasta, które może być spokojne.

Potem przedstawiono generałowi wszystkich po kolei zakładników, z którymi rozmawiał on życzliwie, oświadczając że zwalnia ich nawet z tych rygorów, jakie obowiązywały ich po ostatniej uldze, co oznaczało dla nich większą swobodę ruchów, ale nie było zupełnem jeszcze zwolnieniem.

Posiedzenia Rady miejskiej interesowały mieszkańców Lwowa, jak nigdy może przedtem, ale uroczyste jej posiedzenie z dnia 5. września zajęło niezwykle wszystkich i to

nie w znaczeniu dodatniem, albowiem w oficyalnym akcie przedstawienia Rady gubernatorowi ogół nie widział formalności tylko, lecz z obawą patrzał w przyszłość jedynej instytucyi, która pozostała mu w chwilach ciężkich. Nie ufano Danaom, nawet dary przynoszącym! Zanim jednak spełnić się miały te obawy Rada i nadal energicznie zabiegała o dobro stolicy, nie oglądając się za postronną pomocą, w silnem postanowieniu o własnych siłach przebić się przez wszelkie trudności. Działalność swą ogłosiła odrazu w permanencyi i stosownie do tego radziła codziennie w sprawach pierwszej wówczas wagi dla ludności. wyczekującej rady i pomocy z tej tylko strony. Na posiedzeniu też z 7. września omawiano kilka spraw bardzo ważnych dla miasta, a zwłaszcza brak monety zdawkowej.

Wspomnieliśmy już o odezwie prez. Rutowskiego, apelującego do kupców, by nie przetrzymywali monety drobnej, co mnóstwo ludzi skazało wprost na głód, ponieważ mając banknoty nie mogli wymieniać ich bezwarunkowo na drobne, które w niepojęty jakiś sposób znikły z miasta. Największy brak dawał się odczuć jednokoronówek, co też podsunęło myśl zastąpienia ich jakimiś kwitkami; w pierwszych dniach, zacniej myślące kupiectwo starało się w ten sposób zaradzić biedzie, że na resztę należnej kwoty wystawiano kwity, mające walor odpowiedniej gotówki. Stan taki nie mógł jednak trwać długo, a o zaradzeniu mu musiał nie kto inny pomyśleć, jak tylko zarząd miasta, pod którego adresem przedewszystkiem kierowali wszyscy swe żale. Prezydyum przyszedł z pomocą red. Bolesław Wysłouch, który posiadając w zbiorach swych dawne polskie asygnaty i bony, wydawane w braku monety zdawkowej, podniósł myśl wypuszczenia podobnych bonów, opiewających najlepiej na 1 koronę, służąc wzorami

posiadanymi do dyspozycyi miasta. Na posiedzeniu więc z 7. września zgodziła się Rada m. na wniosek wiceprez. Stahla, by poczynić u władz rosyjskich starania, celem uzyskania zezwolenia na wypuszczenie w kurs bonów jedno-koronowych z obiegiem dobrowolnym dla ludności stolicy. Bony te otrzymać miał każdy za odpowiednio wysokie banknoty austryacko-węgierskie, mogąc z powrotem na żądanie otrzymać za nie złożone banknoty. Prez. Stahl odbył w tej sprawie konferencyę z red. Wysłouchem, tudzież dyr. Banku kraj., prof. Milewskim i przedłożył ostateczne wnioski w tej mierze gubernatorowi do zaakceptowania.

Kwestya gotówki wogóle, a monety zdawkowej w szczególności, stała się dla miasta istną zmorą, ludzi zaczęła — jak czytamy w jednym dzienniku z 11. września — ogarniać rozpacz, nigdzie, szczególnie w jadłodajniach i handlach spożywczych nie można niczego dostać za banknot. Ludzie posiadający banknoty, opiewające na znaczniejsze kwoty, chodzą tu i ówdzie zgłodniali, prosząc znajomych jakoby o jałmużnę na chleb. O drobną monetę trudniej wreszcie było, niż o żywność, a zastanawiający się nad tem przyszli do przekonania, a i przekonali się całkiem dowodnie, że kilka przyczyn złożyło się na tę plagę. Największą winę ponosiły indywidua, co za cel sobie postawiły korzystać wszelkimi możliwymi sposobami z zamętu i ogólnego rozstroju, przyczyniając się nawet w tym celu do jeszcze większego zamieszania i rozprzężenia, by tem bezkarniej łowić ryby w mętnej wodzie. Do nich to odzywało się bez skutku prezydyum miasta, apelowały dzienniki, skarżyła się publiczność, interweniowała Straż obywatelska, ścigała policya miejska — w rezultacie prawie bez efektu. Postanowiły sobie te ciemne duchy za każdą cenę majątek

zrobić na nędzy ludzkiej i nie znalazł się argument żaden, któryby ich od tego odwieść potrafił. Półśrodki żadne nie pomagały, trzeba było energicznie walczyć z tą mafią, zwaną w mieście „giełdą czarną“.

W ogołoceniu miasta z monety drobnej rola przypadła i innym jeszcze czynnikom, a mianowicie sporo jej zabrali w przemarszu przez Lwów żołnierze rosyjscy, sporo zmagazynowali niesumienni, a bojaźliwi ludzie, przewidujący w naiwnej swej chytrości jeszcze cięższe czasy, a nie bez wpływu pozostały szalbiercze machinacye „czarnej giełdy“ i na włościan, którzy za przywożone do miasta towary zasadniczo nie tylko nie przyjmowali rubli, ale i monety papierowej, żądając wyłącznie gotówki brzęczącej. I w ten sposób w rezultacie Lwowianie zostali prawie bez monety zdawkowej, zmuszeni radzić sobie o własnych siłach.

Z najrozmaitszych projektów uznanie znalazł pomysł wydania wspomnianych bonów jednokoronowych. Po wielu debatach rzecz doprowadzona została do tego, że można było zająć się wybiciem ich i puszczeniem w obieg. Decyzya ostateczna zapadła na posiedzeniu Rady 11. września 1914 r., poczem już szybko pomysł zrealizowano. Wykonanie banknotów powierzono miejscowemu „Towarzystwu akcyjnemu dla przemysłu litograficznego“ przy ulicy Zielonej, pozostającemu pod kierunkiem pp. Bischofa i Haniszewskiego, którzy mimo tego, że cały zarząd fabryki opuścił Lwów, podjęli się tego zadania i w przeciągu kilku dni oddali do użytku 100 tysięcy banknotów. Odbijanie ich odbywało się w obecności dwóch urzędników miejskich, którzy wychodząc, opieczętowywali prasę; nadto robotnicy dostali arkusze papieru specyalnego pod rachunkiem, odpowiadając za nie solidarnie. Ponieważ na jednym arkuszu wybijało się 21 sztuk banknotów, tyle ko-

ron obowiązani byli robotnicy zwrócić za arkusz. Wybijanie dość skomplikowane odbywało się na pięciu płytach; na jednej odbijało się winietę (obramienie), na drugiej tekst napisów, na trzeciej podpisy, a na dwóch pozostałych uskuteczniało się t. zw. irysowanie, czyli barwny podkład całego odbicia. Gotowe arkusze cięło się na maszynach na sztuki, które złożone w setki, przechodziły do Kasy miejskiej.

Wykonanie tych banknotów miejskich udało się bardzo dobrze dzięki sprawności improwizowanej mennicy lwowskiej, która rozsławić się miała następnie jeszcze poważniejszem przedsięwzięciem, przynoszącem jej zaszczyt nie mały. Na dobrym papierze, najlepszym jaki był do dyspozycyi w składach fabryki, odbito naprzód jedną emisyę, później drugą, obie po 50.000 sztuk, czyli na łączną sumę poważną 100.000. Okaz każdy długi jest 13, szeroki 7 cm. Od strony głównej ujmuje całość prostolinijna ramka ornamentowa, zamykająca prostokątne pole, na którem widać podłużny szyldzik z dwu równoległych takich samych linii ornamentowych, zamkniętych z dwu końców osobnymi szyldzikami czworobocznymi. Podłużny ten szyldzik umieszczony jest symetrycznie pośródku; nad nim, dokładnie pośrodku, widnieje herb Lwowa, ujęty z dwu stron gałązkami dębowemi. Wolne pole samego szyldzika wypełnia napis: „JEDNA KORONA“, a dwa szyldziki boczne, liczba: 1. Pod szyldzikiem, na linii herbu w górze, w obramieniu ornamentowem umieszczona data: „1914“. Po stronach tej daty widzimy włoskowato-liniowany podkład dla sygnatury seryi (po lewej stronie) i numeru z napisem: „Ser.“ i „Nr.“ Sygnaturę seryi oznaczono porządkowemi literami alfabetu pisanego (dużego), zaś numery odbito numeratorem. Na odwrotnej stronie umieszczono następujący napis:

„Ten bon Gminy Miasta Lwowa ma być przyjmowany w obrocie handlowym w wartości jednej korony austro-węgierskiej.

Kasa Gminy Miasta Lwowa wymieni na żądanie okaziciela każdoczesnie każdą ilość bonów na banknoty, odpowiadające ich wartości nominalnej — od 20 koron począwszy.

Z uchwały Rady Miasta Lwowa
We Lwowie, dnia 11. września 1914".

Poniżej powyższego tekstu zostawiono miejsce na własnoręczne podpisy prezydentów; pośrodku pod napisem: „Prezydent" podpisany Rutowski, z lewej strony pod napisem: „Wiceprezydent" Stahl, a z prawej pod takim samym napisem — Schleicher.

Jedna i druga strona banknotu odbita jest na poddruku niebiesko-amarantowym, t. zn. kolorach miasta.

Okazały się bony w obiegu po raz pierwszy 17. września, przyjęte z ogromnem uznaniem; w przeciągu nieledwie godziny podjęto tysiąc sztuk przygotowanych, a dopytywano się o dalsze tysiące. I nicby nie stało na przeszkodzie wydaniu ich mieszkańcom odrazu w większej ilości, gdyby nie niefortunny pomysł zaopatrywania ich w własnoręczne podpisy prezydentów, którzy obarczeni mnóstwem zajęć nie mogli dać rady 50.000 podpisów. Początkowe egzemplarze podpisane jeszcze zostały przez nich, ale następnie upoważniono do podpisywania bonów sześciu członków Rady, a gdy i to okazało się nie wystarczające z powodu zapotrzebowania wielkiego, podpisywali dalsze sztuki wszyscy członkowie Rady. W ten sposób uwieczniło się na bonach nie tylko Prezydyum, ale i cała Rada pamiętnego roku 1914.

W dziesięć dni po okazaniu się pierwszej, wyszła druga emisya bonów także na sumę 50.000 koron. Są one zupełnie tego samego wyglądu co poprzednie, ale wprowadzono — po niepomyślnem doświadczeniu — przy odbijaniu ich ulepszenie, polegające na tem, że podpisy prezydentów odbito odrazu na prasie, a nie dopisywano żmudnie, jak poprzednio. Zmieniono też sygnaturę seryi, mianowicie na liczby rzymskie. Wobec tego okazy pierwszej emisyi poznać można po własnoręcznych podpisach prezydentów i radnych, tudzież po sygnowaniu literami alfabetu seryi jej, a emisyi drugiej, po reprodukowanych podpisach tylko samych prezydentów, oraz rzymskich liczbach seryi. Dla zbieraczy nie obojętne może będzie dowiedzieć się, że zarząd fabryki, w której odbito te bony, sporządził z próbek reprodukcyjnych kilkanaście jakby albumików-bloczków; na każdy składa się pięć odbitek z pięciu poszczególnych kamieni, przedstawiających poszczególne stadya odbijania bonów sposobem litograficznym. Wszelkie zaś dokumenta, projekta i rysunki, odnoszące się do wydania bonów, przeszły na przechowanie do archiwum miejskiego.

Bony miejskie przyjęte zostały przez mieszkańców Lwowa bardzo życzliwie i z prawdziwą ulgą, że wreszcie odpadnie z nimi troska i przykrości bez końca z wymianą banknotów większych. Charakterystyczne było, że kiedy kroniki policyjne zapisywały bez końca wypadki nie przyjmowania rubli, to ledwie gdzieniegdzie trafiło się, by ktoś wzbraniał się przyjąć oryginalną monetę miejską: miejsce to miało prawie wyłącznie u niewiast wiejskich, które powiadały, że takich pieniędzy nie znają. Kiedy się jednak przekonały, że w mieście wszyscy przyjmują całkiem chętnie te „nieznane“ pieniądze wówczas i ze swej strony

nie czyniły już żadnych trudności, tak, że w niedługim czasie była to najulubieńsza moneta, kursująca bez najmniejszych trudności. Pojawienie się jej zaważyło w ówczesnem życiu ekonomicznem miasta bardzo wiele i to z kilku względów. Nadzwyczaj dobre wrażenie uczyniło jako namacalny dowód dalekosięgłej możności miasta, od którego — jak się masy dowodnie przekonywały — nie nadarmo się pomocy w wszystkich ciężkich chwilach spodziewało. Przekonanie to znów wzmacniało autorytet władz miejskich, ucząc Lwowianina za mało mu wrodzonego patryotyzmu lokalnego, który dopiero w tym czasie zakwitł bujnie, jako reakcya na wrażliwość nie lubianego intruza. Prócz jednak platonicznych tych zysków może i nie mniejsze były korzyści całkiem materyalnej natury. O bonach bowiem powiedzieć można śmiało, że sprawiły, iż „wilk był syty i owca cała". Puste kasy miasta wypełniły nie do pogardzenia wówczas sumą 100.000 koron, jako pewnego rodzaju pożyczką wewnętrzną, bezprocentową, Rzeczypospolitej Lwowskiej, a dla ogółu mieszkańców były wprost dobrodziejstwem, uznanem przez wszystkich bez zastrzeżeń.

Fakt wydania bonów i z tego jeszcze względu zasługuje na uznanie, że zdane tylko na siebie miasto bez funduszów, nie patrząc nigdzie za pomocą postronną, bardzo szybko opanować potrafiło wszystkie sposoby samopomocy, zachowując dumną godność nawet w chwili najcięższej. Umiejąc szukać dochodów, umiało i znajdować potrzebujących, a tych z dnia na dzień legiony całe rosły. Urzędnicy i funkcyonaryusze rządowi bez dochodów, rodziny żołnierzy bez zaopatrzenia, rzemieślnicy bez zajęcia, nauczycielstwo z prowincyi w biedzie, artyści teatralni na bruku, mnóstwo ludzi zależnie od tego zniszczonych — oto,

obraz stosunków ówczesnych! Wszyscy czekali pomocy, wszyscy pytali o radę i wszyscy nadzieje swe pokładali przedewszystkiem w władzach miejskich, które wnet stały się jakby nieoficyalną reprezentacyą nieobecnych czasowo w stolicy władz państwowych. I z czem też nie zwracali się biedni ludziska do magistratu?

W pierwszych zaraz dniach września poleciło Prezydyum wypiekanie chleba i rozdzielanie go bezpłatnie biedakom, założyło sklepy miejskie, zajęło się poparciem produkcyi mleka, zaradziło brakowi drożdży do chleba, pomyślało o zaopatrzeniu składów miejskich w zapasy jeszcze przed ostatecznem wyczerpaniem istniejących prowiantów. Jednem słowem, nie było kwestyi, której załatwienie obyćby się mogło bez inicyatywy, współdziałania lub interwencyi zarządu miasta, o ile chodziło o dobro publiczne. Dnia 9. września np. zaprosił wicepr. dr. Schleicher grono pań i panów na konferencyę, celem obmyślenia otwarcia tanich kuchni i herbaciarni dla ubogiej ludności. Na sprawę tę zwróciła uwagę troskliwego zarządu miasta okoliczność, iż na placach publicznych zaroiło się od przemysłowców, którzy za garnuszek wody z cukrem pobierali 10 hal., mając mimo tej ceny bardzo licznych nawet odbiorców. Wyciągając z tego przykładu naukę, prezydyum miasta zorganizowało 11 bezpłatnych kuchni i herbaciarń, przekształcając na bezpłatne trzy istniejące już kuchnie ludowe, a stwarzając ośm nowych. Kuchnie te mieściły się w następujących lokalach: ul. Ossolińskich 11, Akademicka 5, Gródecka 19, Żółkiewska 48, Łyczakowska 21, Sobieskiego 30, Bernsteina-dom tow. Jad Charuzim, Zamarstynowska 30, Dąbrowskiego —, Teatralna 23, Zielona 28. W kuchniach tych wydawano raz dziennie herbatę z chlebem bezpłatnie, tudzież obiady, złożone

z zupy i chleba. Do wszystkich tych kuchni dawało miasto co dziennie po 100 bochenków chleba, oraz wszelkie wiktuały, jak mąkę, ryż, krupy, cukier, herbatę, jednem słowem wszystko, co do prowadzenia kuchni, względnie herbaciarni jest potrzebne. Nieco później zorganizowano jeszcze kilka dalszych kuchni i herbaciarń. Postanowiono też rozszerzyć zakres filantropijnej działalności wszystkich tych instytucyi w kierunku wydawania obiadów bezpłatnych ubogim i poza lokalami zakładów, t. j. do prywatnych mieszkań dla osób, nie mogących wychodzić na miasto, lub krępujących się dla jakichkolwiekbądź względów. Ilości obiadów nie ograniczono, a korzystac z nich mogli wszyscy zgłaszający się bez różnicy stanu i wieku.

Frekwencya w tych lokalach wzrosła bardzo, zwłaszcza po ogłoszeniu przez Prezydyum, (12. września) że wskutek wyczerpania deponowanego przez rząd austryacki funduszu wstrzymać musi dalsze wypłaty zasiłków wojskowych. Z końcem września codziennie zgłaszało się po obiady około 30.000 głodnych, a przy tem z dnia na dzień — w miarę wyczerpywania się środków — liczba ich wzrastała gwałtownie. Z pomocy kuchni tych korzystały nietylko sfery notorycznych biedaków, ale i mnóstwo rodzin i jednostek z inteligencyi, które wskutek wypadków nieprzewidzianych znalazły się w stosunkach opłakanych. Oryginalne sceny z działalności tych nieocenionych instytucyi kreśli kronikarz tych czasów w jednym dzienniku lwowskim (Wiek Nowy z 25. września), po zwiedzeniu kuchni przy ul. Gródeckiej.

Z trudem przeciskam się — powiada on — przez gęsty zastęp stłoczonych do furtki, przy której sprawuje porządek jeden z członków M. S. O. Wpuszcza on petentów partyami na podwórze. Wkraczam w podwórze, gdzie

wpuszczona właśnie partya otrzymuje już porcye strawy. Kuchnia i przylegająca do niej jadalnia mieści się w głębi podwórza. Znaczna część gości odbiera swe porcye przez okno, gdyż cały tłum żadną miarą nie pomieściłby się w szczupłej stosunkowo jadalni. Porządku przy oknie pilnuje drugi członek M. S. O. Kuchenka nie wielka, ale ma piec ogromny, na którym dymi szereg potężnych „baniaków“, jedne z gorącą zupą, drugie z kluskami. W kącie izby na stole gotowy już stos porcyi chleba. Pomiędzy piecem a oknem krząta się gromada kucharek i pomocnic, które wydzielają i podają przez okno coraz nowe porcye. Gościom, zapełniającym jadalnię, podaje się przez dwa specyalne okienka w ścianie. Przez jedno z okienek podaje się obiady płatne tym gościom, głównie z inteligencyi, którzy nie przyjęliby strawy bezpłatnie. Ci płacą za obiad 20 halerzy. Te skromne wpływy są prawdziwą opatrznością dla kierownictwa kuchni, za nie uzupełnia się codzień bodaj w pewnej mierze, coraz bardziej trwożące braki i niedostatki w prowiancie dostarczanym przez miasto, za nie zakupuje się niezbędną okrasę i sól, której brak coraz bardziej dopieka. Gości na obiad przybywa z każdym dniem coraz to tłumniej, a prowiantu nie przybywa... Jeszcze onegdaj przychodziło około 500, dziś już ciśnie się około 700! Trzeba się porządnie namozolić, nałamać głowy, jakimby cudem obdzielić wszystkich...

„Porcja obiadowa bezpłatna składa się z litra zupy i ósemki chleba: płacącym dodaje się jeszcze „na drugie“ talerzyk klusek lub jarzyny. Dawniej dawano każdemu chleba po ćwiartce, dziś jest to czystem niepodobieństwem. Zupa gotowana jest na kościach, które kuchnia własnymi zabiegami zdobywa od rzeźników. Miasto dostarcza codzień każdej kuchni po 100 bochenków chleba,

dla dwu największych kuchni po 150, pewną ilość drzewa, mąki, trochę ziemniaków, grochu, kaszy i coś niecoś słoniny. Ilość prowiantów, wydzielanych przez miasto, absolutnie nie odpowiada dziś już istotnym, koniecznym zapotrzebowaniom kuchni. Zdarzają się wprawdzie sporadyczne — niestety, zbyt sporadyczne — wypadki ofiarności prywatnej. Prócz wzmiankowanych już kości, zdobywanych w ilości 40 kg. dziennie dla kuchni na Gródeckiem i Zamarstynowie, dał kiedyś dr. Kubik jarzyn nieco, raz rzeźnia miejska dostarczyła flaków, niektóre składy wędlin ofiarowały jakieś resztki. Tego wszystkiego jednak za mało, za mało!"

Cudem jakimś dawały sobie radę nieocenione te jadłodajnie, dzięki oczywiście staraniom miasta, a — przyznać należy także gospodarności niewiast, które, nie dbając o szumne pozory, uważały że lepiej się przysłużą dobru bliźniego pracą pozytywną, niż n. p. uwijaniem się całymi dniami (a nierzadko i nocami) po pryncypalnych ulicach z modnymi znakami czerwonego krzyża, lub inną podobnie „owocną" działalnością krzykliwą, natrętną. Nie pracowały bez wytchnienia dla reklamy, ale tem więcej się o nich mówiło w mieście całem przeważnie z dobrze zasłużonem uznaniem. O ile zaś tak się stało, to tylko dla tego, że do pracy wzięły się nie niedorostki — bo te przecież do wyższych przygotowywały się celów! — lecz osoby poważne, świadome niepomylonego powołania kobiety. I jeśli w bilansie powojennym przyjdzie czas na zrejestrowanie obywatelskiej pracy usamodzielnionej kobiety, to z pewnością uznanie znajdzie ona tylko w tym zakresie, bo reszta pod niezbyt nawet ostrym skalpelem krytyki nieszczególnie się jakoś przedstawić musi.

Przedstawiliśmy dotychczas mniej więcej dokładny obraz stosunków miasta od chwili zajęcia go przez nieprzyjaciela po dzień 12. września. Krótki ten okres czasu zaważył w życiu stolicy więcej, niż kiedyindziej zdołałyby tego dokonać lata całe. To, co się za przeciąg niego stało tutaj, fundamentem być miało pod długie miesiące ciężkie, chociaż w danej chwili właśnie jak najmniej myśleliśmy o tem. Przypominamy, iż dnie te wypełniły potężne zmagania się dwu armii niedaleko na zachód od miasta, na obronnej linii Wereszycy, że ludność Lwowa do ostatniego grzmotu armatniego, który ją doszedł stamtąd, żywiła nadzieję powrotu swoich, a oddalenia się niepożądanego gościa tam, skąd przyszedł niedawno. Kiedy więc bogi chciały tym razem inaczej, wszystko, co zapobiegliwie zdziałano za tych dni kilka, z mocy faktów stać się musiało owym fundamentem wspomnianym pod żmudną budowę całych niemal dziesięciu miesięcy niewoli i dlatego to osobno i dokładnie omówiliśmy wypadki niedługiego tego wprawdzie, lecz ważnego w następstwa okresu. Po skreśleniu zewnętrznego bardziej obrazu życia miasta opowiemy nieco i o tem, co przechodziło ono w głębi serc swoich, umysłów i duchów po przebytych już wypadkach, a w obliczu rozgrywających się przed niem jeszcze.

Armia austryacka, oszczędzając całość miasta, zajęła linię bojową na zachód odeń na obronnej linii Wereszycy, około 4 mile od Lwowa. Wojska rosyjskie w masie swej całej przeszły miasto, podążając za armią austryacką, a kiedy zajęły odpowiednie pozycye, podjęły gigantyczny pojedynek, na który cały świat miał oczy zwrócone. Główne siły rosyjskie przeszły przez Lwów 4. i 5. września, wobec czego pierwsze starcia nastąpiły dopiero dnia 6-go względnie 7-go. Odgłosy potężne tych zmagań orężnych

dochodziły nas bez przestanku dnie całe i noce, budząc nadzieję, kiedy echo bliskie było, a zwątpienie i żal wielki, kiedy się oddalało. Na wojnie zaś, jak na wojnie i zatem różne uczucia ludźmi naprzemian władały, dręcząc bez litości rozprzężone nerwy, rabując chwile spoczynku nocnego, każąc się martwić i gryźć losem ukochanych najbliższych, których się już nigdy oglądać nie spodziewało. Straszne też były chwile te wszystkie początkowych dni wrześniowych! Nie zapomni ich nikt, kto z tak najsprzeczniejszemi uczuciami przyjmować musiał wówczas, co tylko chciały one przynieść.

Zwykłem zjawiskiem w tych dniach były codziennie aeroplany austryackie, które wysoko w chmurach krążyły nad biednem miastem, jak dusza, co martwe ciało już opuściła, ale nie może się jeszcze rozstać z drogiemi resztkami. Żeby też te cudowne ptaki wiedzieć mogły, ile to tysięcy oczu przeprowadzało je w ich niebezpiecznych wędrówkach, życząc im z serca, by udać się im mogło, co zamierzały, drżąc, by nie stało się im coś złego od nienawistnej ręki nieprzyjaciela? Mówiono nawet o takich, którzy na intencyę powodzenia ich przyrzekali odmawiać w kościele modlitwy pewne — drogimi też były gośćmi w mieście, bo przecież przylatywały od drogich nieobecnych. Lubiano je, bo zawsze pozwalały mieć nadzieję na lepsze, oczekiwano ich, bo mogły przynieść wiadomość pożądaną. I chociaż w tym względzie zawodziły oczekiwania poczciwych Lwowianek, to te zadowalały się z konieczności przynajmniej skomponowanemi „kartkami z aeroplanu“, których dużo więcej kursowało po mieście, niż tych aeroplanów bywało nad nami. Początkowo dawali im wiarę nawet poważniejsi ludzie, ale wnet zostały zdyskredytowane — ale nie u wszystkich — i to nie dlatego, by

nie chciano, lecz dla tego, że trudno im było wierzyć, tak były nieprzyzwoicie fantastyczne. Pierwsza taka kartka, przesłana w jabłku, z aeroplanu. kursująca po mieście w licznych odpisach, donosiła 6-go września: „Paryż poddał się, Warszawa zajęta, nie traćcie nadziei!“ Kto był autorem podobnie wiarygodnych telegramów aeroplanowych nikt nigdy się nie dowiedział, ale w każdym razie przyjmowane były one zazwyczaj bardro skwapliwie, jako dowód, „jak to nie można wierzyć dziennikom“. Kartek takich sporo okazało się jeszcze w ciągu dalszym operacyi wojennych pod Lwowem, ale o tem dalej.

Całą niedzielę 6. września słychać było silną kanonadę od strony Wereszycy — walki musiały być bardzo zażarte, bo rannych zwożono tysiącami, a między nimi i naszych ludzi, którzy oczywiście zajmowali wszystkich, bo o nich właśnie myślano najwięcej. Na rogatce Janowskiej i Gródeckiej tłumy ogromne oczekiwały transportów, poszukując między rannymi najbliższych swoich. Szczęście chciało, że naszych było nie zbyt wiele, ale okoliczność ta nie uspokoiła dobrych ludzi, lecz owszem wątek dała do najstraszniejszych alarmów, elektryzujących miasto całe. Rozeszła się wiadomość, że w lasach janowskich leży bez opieki mnóstwo ciężko rannych, tudzież nie pochowanych zmarłych. Więcej nie potrzeba było, zwłaszcza poczciwym matkom! Nie pytając nikogo o odległość do Janowa, puściły się w drogę całe pielgrzymki niewiast i dzieci, obładowanych opatrunkami i żywnością dla „biednych naszych żołnierzy“. I zanim dojść udało się im na miejsce, przeglądnęła wszystkie zakątki w okolicach Janowa ekspedycya, wysłana wieczorem przez Tow. ratunkowe, złożona z 3 wozów i służby sanitarnej. Także dyrektor szpitala dr. Starzewski zorganizował pomoc lekarską, która wraz

z sanitaryuszami, pod opieką patroli wojskowych udała się na miejsce dla niesienia pomocy. Tu jednak zapewniono ich, że rannych nigdzie w lasach niema. Ekspedycya powracając do Lwowa, spotkała w drodze kilkaset niewiast, dążących ze Lwowa z żywnością dla rannych i zawróciła je z powrotem do miasta. Spotkano również wiele osób, które jeszcze dnia poprzedniego udały się pieszo do Janowa i przeszukały okoliczne lasy, nie znalazłszy tam nikogo.

Troskliwość tę podyktowała prócz względów humanitarnych także i świadomość, jak słabą opieką otaczano chorych po szpitalach lwowskich. Obsłudze lekarskiej niczego nie zarzucano, ale za mało liczna była ona w stosunku do ogromnego natłoku rannych i za mało znajdowała pomocy ze strony tych, którzy przedtem podjęli się obowiązków w tym kierunku. Rozgoryczenie wielkie wywołała smutna okoliczność, że wobec potrzeby istotnej pracy zabrakło rąk do niej, a pamiętano ogólnie, że od pracy tej oddalano wszystkich, którzy nie mieli rzekomo kwalifikacyi potrzebnych. W rezultacie zaś sytuacyę uratowały właśnie te bez kwalifikacyi, a z posterunków zbiegły pierwsze te z kwalifikacyami!

Dla wiernego oddania nastrojów, wywołanych tą przykrą istotnie sprawą, pozwolimy sobie przytoczyć wyjątek z pamiętnika zdarzeń ówczesnych, który bezpośrednio pod wpływem chwili wyraża się bardzo gorżko na ten temat, poruszony zresztą i przez dzienniki współczesne w niemniej dobitnych określeniach.

Wiadomo — czytamy tam — jakie to liczne rzeszy samarytanek zapełniały pryncypalne ulice, kiedy to rannych jeszcze nie było we Lwowie, przypomnijmy sobie też, iż tyle się ich zgłosiło, że musiano liczbę ograniczyć, co je-

dnak nie przeszkadzało bezprawnemu zdobieniu się w piękne naramienniki z krzyżami czerwonymi tak, że trzeba było aż kontroli pieczęci wyciskanych. Pięknym paniom zdawało się, że zamiast tango-sukni przyszła na odmianę moda na krwawe piętna w postaci krzyżów samarytańskich i tłumnie też rzuciły się i na tę „nowość“. Sposobność mieliśmy nawet oglądać pierwsze próby stworzenia, tym razem bez pomocy wykpigroszów paryskich, nowej mody „a la Samaritaine“. Chwilami zdawać się mogło, że na jednego rannego przypadać będą przynajmniej dwie podobne dusze poczciwe! Świadkami staliśmy się jednak wnet przedziwnej rzeczy. Oto, z okazywaniem się coraz liczniejszych rannych gwałtownie topnieć poczęła olbrzymia zrazu liczba owych serc tkliwych, a rąk pracowitych.

I gdzie się to podziały te legiony samarytanek, co to ślubowały pielęgnować rannych braci? Oglądaliśmy je, „dla bezpieczeństwa od nieprzyjaciela“ zdobne i nadal w godła opiekunek, uciekające na oślep przed siebie, do bezpiecznego Wiednia — za wszelką cenę szukające schroniska pewnego, wygodnego, a nadewszystko bezpiecznego, by w pysznych strojach, tym razem np. „a la crois rouge“, spacerować nie na Akademickiej i Karola Ludwika, lecz na dużo pyszniejszych promenadach, głaszcząc strudzone ciężką pracą przy chorych nerwy mniej zawodzącymi dreszczami flirtu itp. dokładniej znanemi zajęciami.

A kto został przy nieszczęśliwych rannych? Właśnie nie te, co lśniły bielą jedwabnych płaszczy, koronkowych kapuz (pod któremi widzieć już można było nową modną „a la Samaritaine“ fryzurę) i cudownie lakierkowych meszczików, mało nie zdobnych w klamerki z czerwonymi krzyżykami, a spinanych sznurkami w kolorach narodo-

dowych. Została tylko mała garstka — jak stwierdza kto inny przed nami — ofiarnych i rzesza maluczkich, których się przedtem na oczy oglądać nie chciało. Kobiety ze sfer biedniejszych, co to w normalnem życiu (nie plątając się jak szalone po wszelkich możliwych i niemożliwych kursach, codziennie coraz bardziej uspołecznione) schowane w czterech swych ścianach, dziś występują na pierwszy plan, pielęgnują z poświęceniem rannych, nie śpią, nie dojedzą, piorą ociekłe krwią strzępy bielizny, zdjęte z rannych. Nie brzydzą się, nie boją żadnej pracy. Przecież to nasi obrońcy, powiadają, to nasz obowiązek nieść im pomoc. A na promenadach wiedeńskich i peszteńskich czarowne nasze damy darzą wdziękiem swych uśmiechów brukotłuków-lowelasów!

Drużyny strzeleckie wyprosiły się kategorycznie od opieki tych dam z sercem, a głośno było w mieście od tego, że przełożeni szpitali wojskowych zwalczać musieli stale zabiegi ich pomocnicze, nie mające nic wspólnego z czynnością samarytańską — nie stało przyjemniaczków z Akademickiej, więc damy owe uznały za jedyne wyjście „pobawić się“ na odmianę z rannymi.

Niesprawiedliwi bylibyśmy, nie nadmieniając, iż jednak gdzieś aż dwie samarytanki zachowały się na okaz (zapewne zapóźniły pociąg do Wiednia), służąc nadal biednym potrzebującym. We czwartek (3. września) można było widzieć je przy tych funkcyach. Kiedy patrol rosyjska stanęła na placu Halickim, wśród zebranych tłumów znalazłszy się dwie owe panie z odznakami Czerwonego krzyża i częstowały żołnierzy rosyjskich... wódką. I oto prosty żołnierz dał im lekcyę „dobrego wychowania“. Gdy mu ofiarowano wódkę, podziękował krótko „spasybi“ i odwróciwszy się splunął. Jeszcze wyraźniejszą naukę dał

tym samarytankom o gołębiem sercu jeden z członków Straży obyw., zwracając im uwagę, że w szpitalu cierpi z bolu 800 rannych i tam mogą się popisać obszernem swem sercem. Dwie te dopiero lekcye — jak powiadają — poskutkowały.

Publiczność lwowska naogół okazała bardzo wiele współczucia rannym żołnierzom obu armii, ale zapewne niktby jej nie brał tego za złe, że więcej względów miała dla swoich, że na wezwanie lekarzy o pomoc spieszyła zawsze ofiarnie, znosząc co tylko sama mieć mogła w ciężkich czasach. Z uznaniem też spotkała się nawet ze strony nieprzyjaciela, bo gubernator w czasie konferencyi redaktorów pism lwowskich prosił o wyrażenie w dziennikach podziękowania w jego imieniu ludności miasta Lwowa za okazywane współczucie rannym, przywożonym z placu boju, oraz za pomoc, z jaką im publiczność spieszyła. Rannych lokowano według następującego podziału: austryackich żołnierzy w szpitalach wojskowych — w garnizonowym przy ul. Łyczakowskiej, w gmachu politechniki, tudzież w nowej szkole koło Inwalidów. Oficerów austryackich i rosyjskich leczono w sanatoryum Czerwonego krzyża przy ul. Łyczakowskiej, zaś żołnierzy rosyjskich w szpitalu w szkole św. Antoniego, pozostającym też pod zarządem Czerwonego krzyża.

Towarzystwem krajowego Czerwonego krzyża zajęły się władze rosyjskie, jako że stało się ono przedewszystkiem instytucyą ku ich potrzebom. Na posiedzeniu Towarzystwa 7. września zjawili się jako przedstawiciele rosyjskiego Czerwonego krzyża — generał Bollotow, senator Stachowicz i porucznik hr. Potocki. Na posiedzeniu tem członkowie instytucyi ukonstytuowali się na nowo, ponieważ prawie cały wydział poprzedni Lwów opuścił. Wobec

tego zaś, że z majątku kraj. Czerwonego krzyża unieruchomionych było 300.000 koron, a do dyspozycyi pozostało gotówką 46.000 koron, generał Bollotow oświadczył, iż łożyć będzie na dalsze utrzymanie 1.100 chorych w krajowym szpitalu Czerwonego krzyża. Wydatek ten wynosił dziennie około 2.000 koron. Do kraj. Czerwonego krzyża należały następujące szpitale: sanatoryum przy ul. Łyczakowskiej (dawniej Soleckiego), szkoła męska i żeńska św. Antoniego, dom SS. Maryanek, oraz wszystkie kliniki uniwersyteckie, razem 11 budynków, tudzież szpital żydowski.

Wobec wielkiego napływu rannych urządzono też tymczasowo szpitale wojskowe: w szkole kadeckiej i w koszarach przy ul. Kurkowej. Rosyjski Czerwony krzyż urządził swoje szpitale na dworcu na Podzamczu i w obu szkołach Maryi Magdaleny, tudzież Sobieskiego i Konarskiego. Komenda rosyjska „Czerwonego krzyża" zajęła budynek komendy korpusu przy pl. Bernardyńskim.

Z powodu licznych zgonów żołnierzy rosyjskich zezwolił Magistrat na prośbę duchownego prawosławnego na grzebanie zmarłych w szpitalu w kadeckiej szkole, na zamkniętym już cmentarzu stryjskim. Później nieco założono dla poległych żołnierzy rosyjskich osobny cmentarz, nazwany „Wzgórzem sławy" (Chołm sławy), rozlegający się swoimi tysięcami grobów tuż za cmentarzem Łyczakowskim; obok zaraz znajduje się cmentarz choleryczny, na którym też spoczęły kości żołnierskie. Dla żołnierzy austryackich wyznaczono na wieczny spoczynek ściernisko, przylegające od lewej strony cmentarza Łyczakowskiego. Początkowo grzebano na niem zmarłych bez szczególniejszej troskliwości, ale z wiosną zajęła się uporządkowaniem grobów poczciwa młodzież przedmieścia Łyczakowskiego, doznając w bezinteresownej swej pracy samych tylko szy-

kan ze strony władz rosyjskich, którym nie podobało się dobre to serce młodych chłopaków dla poległych braci swoich. Podziwiać też należy ogromny trud, jaki zadali sobie ci skromni pracownicy, ustalając mogiłki sypane z samego piasku, przy pomocy kładzionych na nich darni i sadzonych kwiatów, krzewów i drzewek. Każdy grób otrzymał skromny krzyż drewniany, na którym — o ile to było wiadome — wypisano nazwisko i godność wojskową poległego; nierzadko jedna mogiła mieści kilku zmarłych, a nie znane pozostały ich nazwiska. Do całego, istotnie, ogromu pracy nie wahali się dodać dzielni młodzieńcy jeszcze i nie byle jakiego przedsięwzięcia, postanawiając ze swoich skromnych, a względnie lepiej powiedziawszy, żadnych funduszów, pomnikiem poważnym uczcić pamięć bohaterów tu pochowanych. Zamieniając szybko zamiar w czyn, postarali się u kamieniarzy sąsiednich o materyał odpowiedni, a jeden z szlachetnych tych chłopców wziął się do pracy dłutem. Rezultatem jej jest już dziś wielka płyta, zdobna w udatną płaskorzeźbę, przedstawiającą ułańską szablę, sztandar i rzemienie, a o ile rzeźbiarz nie popadł w ręce rosyjskie w czasie nikczemnej obławy na cmentarzu Łyczakowskim, to może widnieje już na niej i projektowany napis ładny. Płyta ta z płaskorzeźbą stanowić ma jeden bok piramidy, czy podstawy, na której wzniesie się olbrzymi krzyż kamienny, jako wspólny pomnik dla wszystkich tu pochowanych, a równocześnie jako żywa pamiątka szczerych uczuć młodzieży lwowskiej, która przy pierwszej sposobności gremialnie wstąpiła w szeregi legionistów. Jak już wspomnieliśmy, prace na tym cmentarzu żołnierskim, dokonywane zresztą bez żadnego rozgłosu i reklamowania, solą w oku były „ochraników“ i dlatego nie zaniechali oni wykorzystać raz spo-

sobności, by im kres położyć. Pewnego dnia, jednego z bardzo licznych od szeregu tygodni, wpadli na cmentarz ze swoimi żbirami, chwytając kogo się nadarzyło do „obywatelskiej“ — jak bezwstydnie to nazywali — roboty przy szańcach podmiejskich. Spędzonych razem kilkadziesiąt ludzi pognali przez miasto do okopów, ale hardych młodzieniaszków nie potrafili przestraszyć, bo ci, maszerując, całkiem bez wszelkich skrupułów zaśpiewali sobie znaną piosenkę „Bartoszu, Bartoszu, hej nie traćmy nadziei, Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi“. Szczególnemu na owe czasy pochodowi przypatrywali się przechodnie z bijącem sercem i nie jeden, gdyby śmiał, uściskałby dłoń poczciwą szlachetnych chłopaków, którzy kpić sobie potrafili ze złości nieprzyjaciela, udowadniając równocześnie, czem płacić potrafią przyjacielowi.

Nieustanna kanonada w dalszym ciągu trwożyła ludzi potwornymi hukami i grzmotami przeciągłymi, ale i napełniała nadzieją, że jeszcze „wrócą nasi“. W poniedziałek 7. września rozszerzyły się pogłoski, że Rosyanie ponieśli ogromne straty i, że, jakoby patrzyło się im zabierać się ze Lwowa. W stosunku z tem opowiadano, że wojska austryackie wytopić miały w stawach gródeckich i janowskich mnóstwo nieprzyjaciela. Szeptano między sobą skrycie, że potrzeba przygotować zwłaszcza pożywienie dla naszych, którzy już jutro pokazać się mogą z powrotem we Lwowie. Zaniepokojenie wielkie wywołała jednak wieczorem tego dnia okoliczność, że do zbiorników miejskich przestała dopływać woda ze źródeł w Dobrostanach, gdzie właśnie toczyły się uporczywe walki. Magistrat powiadomił o tem publicznie mieszkańców, podając długi wykaz studni w mieście, które ewentualnie używane być miały do chwili naprawienia wodociągów, ale

na szczęście nie zaszła tego potrzeba, ponieważ już nazajutrz wodociągi pracowały normalnie. Na razie niewiadoma była przyczyna przerwy, bo telefon wodociągowy zerwany został przez wojskowość, ale w kilka dni potem okazało się że maszyny w Dobrostanach zostały nienaruszone dzięki dzielnemu stanowisku ich obsługi, która nie zbiegła, lecz owszem ocaliła je, chociaż chwilowo zastanowić musiała czynność. Skończyło się więc na razie tylko na strachu.

Dnia tego byli Lwowianie świadkami niezwykłej sceny w przestworzach powietrznych, a mianowicie walki aeroplanu rosyjskiego z austryackim. Początkowo nie wiedziano, co właściwie oznaczają te ewolucye karkołomne i przypuszczano, że latawiec austryacki ustrzelił ścigającego go rosyjskiego, który opadł na ziemię, ale niedługo z dzienników rosyjskich dowiedziano się, że w oczach naszych rozegrała się krwawa walka ludzi-ptaków, której ofiarą padli najdzielniejsi lotnicy obu armii. Oto jak opisuje przejmującą tę scenę jeden z tych dzienników:

Dnia 6. września nad naszą linią przeleciały 3 aeroplany austryackie, a jeden z nich rzucił bombę lontową. Latały one bardzo wysoko i strzały do nich nie dały żadnych rezultatów. Po chwili uniosły się rosyjskie latawce i popędziły za nieprzyjacielem. Było to w okolicach Żółkwi. Na latawcu rosyjskim siedział najsławniejszy rosyjski lotnik wojskowy, kapitan sztabowy Nestorow, który na swym latawcu pierwszy przed Pegoudem opisał t. zw. pętlicę. Motor w mąszynie Nestorowa zaczął się psuć, wobec czego musiał on opuścić się na ziemię. Na drugi dzień znów zjawił się bardzo wysoko austryacki aparat i około godziny 12 w południe wracał, lecąc stosunkowo nie wysoko. Nestorow wzniósł się przeciw niemu, podniósł się do wy-

sokości 2000 metrów i leciał już za austryackim latawcem. W pewnej chwili postawił swój aparat prawie prostopadle przodem na dół i wpadł na aparat przeciwnika. W tem aparat jego po zderzeniu się zaczął opuszczać się po linii spiralnej, przeciwnik zaś spadał przodem naprzód na ziemię. Zdawało się, że Nestorow ocalał, kiedy opuszczał się łagodnie, szybując na dół. Następny jednak moment przyniósł co innego — aparat Nestorowa nagle się zawahał, przechylił się nienaturalnie i począł szybko spadać. Po chwili z aparatu wypadł człowiek i mignął w powietrzu, spadając z przerażającą szybkością. Na miejscu katastrofy przedstawiał się następujący widok; motor aparatu Nestorowa leżał osobno, skrzydła i kadłub daleko na boku, a pośrodku Nestorow nieżywy. Widocznie podczas zderzenia, gdy Nestorow pchnął przeciwnika na dół, aparat jego uszkodzony został śmigą latawca drugiego. Podczas zderzenia uderzył prawdopodobnie grzbietem o oparcie z taką siłą, iż złamał sobie stos pacierzowy. Według pism rosyjskich, Nestorow był tym lotnikiem, który ostrzeliwany przez żołnierzy latał bardzo nisko nad Lwowem w środę popołudniu, w dzień opuszczenia miasta przez wojska austryackie (2. września).

Dzień następny 8. września nie inny był od poprzednich. Całą noc słychać było kanonadę doniosłą, a ranek wstał w cudnym słońcu, ale też z strasznymi odgłosami, które chwilami wstrzymywały bicie serca, tłumiły swą grozą oddech żywszy. A był to piękny dzień Matki Boskiej Siewnej! Zaroiły się od tłumów licznych wszystkie kościoły, odwiedzane w tych czasach bardzo przez pobożne niewiasty i dzieci. Niezapomniane wrażenie czyniły rzewne śpiewy i płacze z setek piersi, ludzie, leżący przed ołtarzami, pokorne litanie i głośne modły — kto się temu przypatrzył

nie mogło dlań być tajemnicą, o co te tysiące rozmodlonych proszą, co wyłącznie zajmuje ich serca i dusze. Wrażenie odnieść się musiało, że prośby takie będą wysłuchane, że przecież przyjdzie wyrok sprawiedliwy.

Popołudniu zaludniły się ulice. Spieszyli ludzie ku rogatce Gródeckiej i Janowskiej, by zasięgnąć jakichś szczegółów bitwy, ale po przekonaniu się, że zły to punkt obserwacyjny tłumami całymi dążyli na wynioślejsze miejsca więc przedewszystkiem na Wysoki Zamek, Górę Piaskową, i wzgórza kleparowskie. Dostęp na kopiec zamknęły władze wojskowe — pozostawała więc tylko góra zamkowa. Z cichymi szeptami dzielili się oniemiali obserwatorzy spostrzeżeniami swemi z otoczeniem, które skwapliwie wyczekiwało wiadomości pomyślnych, wyczuwając chwilowo słuchem przybliżające się odgłosy armatnie. Dzięki wspaniałej pogodzie obserwowano poza lasami janowskimi wzbijające się w górę tumany dymów, pędzące chmurami gęstemi ku wschodowi, a od czasu do czasu nawet słupy ognia, podnoszące się gwałtownie ku górze i opadające za chwilę przy akompaniamencie wzmagającej się pod wieczór kanonady. Wieczorem obiecywano też sobie dokładniejszych obserwacyi z myślą, iż wolny już będzie dostęp na kopiec, ale zawód spotkał ciekawych, bo wojskowość nie tylko zamknęła dostęp na kopiec, lecz i na Piaskową górę. Z niezadowoleniem więc przyszło wracać do domów. W mieście roiło się właśnie od pobożnych, wychodzących z kościołów — tłumy w ten sposób na poczekaniu zebrane znalazły się przed rzęsiście oświetloną figurą Matki Boskiej na pl. Maryackim, przed którą już odprawiano modły. I wzruszający był to widok mas całych padających na kolana, by w modlitwie krótkiej znaleść ukojenie zmartwień wszystkich całodziennych, a uprosić

sobie sił na dalsze ciosy i udręki. Chwila była tak podniosła i z tak silnym sentymentem, iż nie znalazł się nikt na ulicy, któryby nie przystanął na chwilę, nie uchylił kapelusza i nie westchnął głęboko z myślą o jutrze. Odśpiewano litanię do Matki Boskiej przy wtórze i nie jednego żołnierza rosyjskiego, Polaka czy Litwina. Przechodzący żołnierze zdejmowali z uszanowaniem czapki, żegnając się nabożnie. Opowiadali też potem o wielkiem wrażeniu, jakie sprawiła na nich podniosła ta chwila, zaimprowizowanego samorzutnie przez tłumy nabożeństwa.

Dzień cały 8. września upłynął na oczekiwaniu czegoś niezwykłego — trzymało się uporczywie twierdzenie, że Rosyanie ponoszą ogromne straty w bitwie na Wereszycy, wobec czego sądzili ludzie, że spodziewać się można wnet odwrotu ich. O aeroplanie austryackim opowiadano, iż zjawia się codziennie nad miastem i rzuca w oznaczonem miejscu bukiet, w którym są papiery jakieś ważne dla osób pewnych w mieście.

Walkę w dniu 9. września zwiastowała już od samego rana nieustająca kanonada. Na rogatkach zachodnich rozróżnić można było dokładnie sznurowy huk armat, od których aż ziemia drżała. Sznur tych strzałów szedł jak grzmoty z piorunami podczas burzy nawalnej, straszliwym i wstrząsającym hukiem na przestrzeni od Gródka w kierunku do Janowa, kończąc się grubym łoskotem potężnym. Ludzie, co rzekomo z Janowa przybyli opowiadali, iż staw tamtejszy wypełniony jest górami trupów potopionych czy zalanych żołnierzy rosyjskich. Z wody jakoby wystawały tylko zatopione ciała, wysterczały karabiny, szable i piki. Jednem słowem, stawy te odegrać miały rolę pułapek na Moskali, jak zresztą sami żołnierze to rozgłaszali, powiadając do Lwowian z goryczą, że oni nie są przecież szczu-

rami ani żabami, by ich zatapiano tak bez litości. Rzeczom tym musiano dawać ogólnie wiarę w mieście, bo też ogólnie słyszano i widziano, co dzieje się z żołnierzem rosyjskim. Setki ludzi świadkami było scen do głębi poruszających umysły — na rogatkach widziano rannych żołnierzy, klękających na ziemi i wyciągających ręce do nieba z prośbą, by już raz pokój przyszedł, by skończyło się piekło na ziemi. Biedni żołnierze, pędzeni wbrew swej woli do walki, za najszczęśliwszych się uważali, jeśli się im udało w jaki sposób wykręcić się od tego nieszczęścia. Postrachem ich było zwłaszcza jakieś „czarne wojsko“, o którem najdokładniej opowiadali między sobą i mieszkańcom Lwowa. Wiadomości o tych „czarnych wojskach“ rozpowiadali ranni żołnierze z takimi szczegółami, iż nawet najbardziej sceptycznie nastrojeni dawali opowiadaniom tym wiarę, chociaż nie umieli sobie w żaden sposób wytłumaczyć, ktoby to być miał w istocie. Najlepszym zaś dowodem, jak głośno było o tych „czornych didkach“ w mieście, służyć może okoliczność, iż nawet dzienniki próbowały rozwiązać tajemniczą tę zagadkę — nie wierzono oczywiście baśniom tym bez zastrzeżeń, ale w każdym razie, wobec kategorycznych oświadczeń żołnierzy, przyznawano im pewną podstawę. Żołnierze rosyjscy twierdzili mianowicie, że największe spustoszenie w szeregach ich sprawiają jacyś dzicy, czarni wojownicy, na pół nadzy, uzbrojeni w dłuższe od kozackich piki, karabiny i puklerze na piersiach; taki czarny, ugodzony pociskiem, podskakiwał wysoko do góry i znowu stawał na ziemi, gromiąc wszystkich nieprzyjaciół dokoła. Pogłoski te tak uporczywie trzymały się między żołnierzami, tak szczegółowo o nich rozprawiali wszyscy, że inteligentniejsi z między Lwowian usiłowali dociec ich źródła. Bardzo szybko jed-

nak wpadli w błędno koło, bo przyjmując, iż są to istotnie Murzyni (analogię widziano w kolorowych wojskach kolonialnych Francyi), musieli mutatis mutandum wyjaśnić, w jaki też sposób sprowadzeni zostali z afrykańskich kolonii niemieckich. Na pomoc odważniejszym przyszła tajemnicza jeszcze podówczas historya z dwoma pancernikami — Goebenem i Breslauem, które według nich przekradły się na wybrzeże afrykańskie przez kanał Suezki, zabrały na pokład dzikich Hererów i przywiozły ich przez morze Adryatyckie do Tryestu, skąd już koleją przywieziono ich na front galicyjski. Inni znów, wychodząc z twierdzenia Rosyan o jakoby niemieckich wojskach, walczących z austryackiemi nad Wereszycą, wyjaśniali, iż czarnymi tymi „didkami" są najpewniej wojska bawarskie, jakoby ubrane w czarne mundury. Wyjaśnienie to znalazło najwięcej wiary, chociaż w rezultacie, zdaje się, iż paniczny ten popłoch między żołnierzami cara sprawiali huzarzy węgierscy, ubrani w ciemne mundury, a i sami ciemni na twarzy. Wnosić tak można i z tego, że żołnierze rosyjscy nie mogli ni słowa zrozumieć z ich mowy, skąd też i poszło, że mieli to być jacyś dzicy ludzie, używający dziwnego języka.

Lwowianie utrzymywali zatem, że wojska rosyjskie ponoszą na każdym kroku olbrzymie straty. Przywożono do szpitali mnóstwo rannych dzień cały. Przed szpitalami odbywały się przejmujące sceny, żołnierze rzucali się na kolana, modląc się już o pokój i żałując, że muszą iść na braci. Jeden z ciężko rannych zobaczył w tłumie niewiastę z małym chłopakiem, przypadł do niej i począł całować dziecko, ponieważ podobne było do jego najstarszego dziecka, które pozostawił z żoną w domu. Wogóle żołnierze rosyjscy, przeważnie Ukraińcy, życzliwie odnosili się

w tym czasie do ludności, która też ze swej strony bardzo z nimi współczuła i na ogół dobrze ich traktowała, pomagając rannym i chorym, odnosząc się do nich z sercem.

Gubernatora nie było w tym dniu w mieście, co ludzi tem bardziej utwierdziło w przekonaniu, że „Moskale będą uciekać“. W przekonaniu tem utwierdził ludność nakaz, wydany jakoby przez Straż obywatelską, by o godzie 6-ej wieczorem zamknięte były wszystkie bramy kamienic i sklepy, a ulice wolne od przechodniów. Polecenie to tłumaczono sobie w danej chwili tem, że albo „Moskale będą uciekać“, albo też zwozić będą mnóstwo rannych i nie chcą, by ludność to widziała, albo też dlatego, że przez miasto podążać będą oddziały rosyjskie. Równocześnie wybębniano, że bezrobotni zgłosić się mają do robót koło Sokolnik. Według domysłów rozchodziło się o sypanie Rosyanom szańców, wobec czego ludzie powiadali, że mogą sobie zdrowo czekać nim im kto pokaże się do roboty — nie chcą ich pieniędzy, ale też i nie myślą o sypaniu szańców przeciw własnym braciom. Wogóle mieszkańcy Lwowa sercem całem stali przy walczących braciach, o których powodzenie drżeli ciągle: na ulicach pocieszali się, że „nie długo już panowania rosyjskiego“. Okrutnie też oburzało ludzi, nawet prostych, bezwstydne zachowanie się dziewcząt i niewiast wobec Moskali, do których się wdzięczyły, a nawet całkiem bez ogródek zbliżały, chodząc pod ramiona, ciągnąc ich po mieszkaniach opuszczonych. Nierzadko też stawiano je pod pręgierz, pokpiwając z ich serca dla braci walczących, którym dni jeszcze temu kilka kwiaty dawały.

Rozeszła się po mieście wieść, że Rosyanie wywożą z ratusza wszystką broń tam złożoną, na kilku automobilach. Srogi nakaz składania jej przedtem tłumaczono sobie

tem, że bali się oni pogromu przez ludność w razie cofania się z miasta. Na dowód, że na wszystko gotowi, wytoczyli na podwórze ratusza armatę, a po rozmaitych miejscach robili rewizye, szukając za ukrytą bronią. Wieczorem np. rewidowali dom przy ul. Staszica, w którym była komenda skautów, ale niczego nie znaleźli, bo zawczasu wszystko stamtąd usunięto.

Dla dobitniejszego nakreślenia nastroju, panującego w dniu tym we Lwowie, przytoczymy prócz powyższych zapisków współczesnych i kilka notatek dziennikarskich o panice wspomnianej, której właściwą przyczyną było przeświadczenie, że Rosyanie cofać się będą ze Lwowa. Kronikarz jednego dziennika („Słowo Polskie" z dnia 10. września) zapisał: „Bezpodstawną panikę" wywołały wczoraj jakieś nieznane indywidua, które polecały rzekomo z rozkazu Straży Obywatelskiej, zamykanie bram i sklepów przed godziną 6 wieczór. Pogłoska o tem rzekomem zarządzeniu rozeszła się lotem błyskawicy po całem mieście, wywołując oczywista niepokojące komentarze. Kiedy wiadomość o tem przyszła do prezydyum miasta, prezydyum rozesłało urzędników i członków Straży Obywatelskiej, aby uspokoili kupców, było to jednak już spóźnione i przed godziną 8 ruch uliczny w mieście ustał. Równocześnie niemal gromada pauprów (kronikarz dodaje, żydowskich) zachowywała się tak wyzywająco wobec patrolu wojskowego pod ratuszem, że żołnierze dobyli broni. Straż Obywatelska uspokoiła żołnierzy i natychmiast rozpędziła tłum"...

W podrażnieniu ogromnem żyli wszyscy w mieście. Coraz to nowe pogłoski, alarmujące wieści, wzrastająca stopniowo kanonada, zbliżanie się odgłosów bitwy okrutnej pod same niemal rogatki, opowiadania żołnierzy,

„kartki z aeroplanów“, zapewnienia jeńców, prowadzonych przez ulice, że „z naszymi dobrze“— wszystko to nastrajało i bez tego wyrównoważonych już mieszkańców na najsprzeczniejsze wrażenia. Atmosfera była tak ciężka i przykra, że byle drobnostka poruszyć mogła na poczekaniu miasto całe, byle szczegół mniej jasny trwożył i niepokoił. Senzacyę też dnia następnego stanowiły dwa nowe ogłoszenia urzędowe, rozlepione na ulicach. Komentując je na najrozmaitsze sposoby możliwe, czytali Lwowianie rano następujące — „Obwieszczenie“:

„Wszyscy austro-węgierscy oficerowie i obowiązani do służby wojskowej mają stawić się między 5 a 6 godziną wieczorem (czas lwowski) dnia 29. sierpnia (11. września) 1914 w Namiestnictwie (ulica Czarnieckiego).

Niestosujący się do powyższego rozporządzenia, będą podlegali surowej odpowiedzialności.

Obwieszczenie to nie dotyczy lekarzy i sanitaryuszy austro-węgierskich, którzy podlegają rosyjskim władzom szpitalnym.

Wojenny Gubernator miasta Lwowa
Pułkownik *Chermeteff*.

M. Lwów 28. sierpnia (10. września) 1914“.

Ogłoszenie powyższe brzmiało tak na plakatach, rozlepionych po mieście, a charakterystycznem było, że tekst jego kazano wydrukować w dziennikach w całkiem odmiennej stylizacyi, co oczywiście także nie pozostało bez odpowiednich komentarzy ze strony ludności. W dziennikach opublikowano rozporządzenie to następująco:

„Wezwanie.

Wszyscy oficerowie i wojskowo obowiązani austro-węgierskiej armii mają się stawić 11. września b. r. do sztabu armii (dom namiestnictwa).

Ktoby się nie stawił, ukarany będzie według prawa wojennego.

Wojenny gubernstor
pułkownik *Cheremeteff.*“

Najogólniejszem przekonaniem było, że wszystkich wezwanych zabiorą do Rosyi jako jeńców, albo też zamkną jako podejrzanych o pozostanie we Lwowie w celach szpiegowskich na rzecz Austryi. Z przyjemnem więc zadowoleniem dowiedziano się, że po stawieniu się aż 150 osób, spisano ich tylko, puszczając na razie do domu. Później dopiero okazać się miały skutki tego spisu.

Za cały czas trwania bitwy w najbliższem sąsiedztwie Lwowa rozciągnęła wojskowość przez główniejsze ulice druty telegrafu polowego i to częstokroć tak nisko i tak słabo wsparte, że np. wyższe wozy naładowane uszkodzić je mogły bardzo łatwo, nie wspominając już o bagnetach na długich karabinach żołnierskich, którymi nawet niechcąco zrywano nieraz druty. Władze więc rosyjskie, wietrzące wszędzie skryte cele i dybanie na całość ich armii, nie omieszkały pogrozić spokojnym Lwowianom i z tej okazyi szubienicą lub kulką w głowę. Czytali więc mieszkańcy, 10. września, rano, następujące w tej mierze

„Obwieszczenie.

Mając na uwadze, że w ostatnich czasach były notowane wypadki zbrodniczego psucia rossyjskich telegraficznych i telefonicznych linii, urządzonych

przez wojskowość dla celów wojennych, niniejszem podaję do wiadomości mieszkańców miasta Lwowa, że odpowiedzialności za zepsucie i niszczenie wyżej wymienionych telegrafów i telefonów podlegają nietylko bezpośredni sprawcy, ale też według prawa wojennego i właściciele realności, obok których przechodzi telegraf lub telefon.

Żądam więc od Pp. właścicieli domów, obok których te linie przechodzą, aby ze względu na ciężką odpowiedzialność zwracali ścisłą baczność i uwagę na całość linii telegrafu i telefonu przy swej realności. W razie spostrzeżenia jakiego zamachu na te linie mają właściciele domów zgłosić się natychmiast do mnie, przytrzymawszy zbrodniarzy.

Sprawcy zbrodniczego uszkodzenia telegraficznych linii, jak wogóle środków komunikacyi, urządzonych dla celów wojskowych, mają być na podstawie prawa wojennego karani śmiercią.

Gubernator wojenny,
Pułkownik *Cheremeteff.*"

(bez daty).

Obwieszczenie to napędziło strachu i tak przepłoszonej ludności, która widziała w niem bardziej „czepianie się płotu", niż potrzebę rzeczywistą i to tem bardziej, że znano kilka wypadków nieumyślnego uszkodzenia drutów właśnie przez żołnierzy rosyjskich. Obawiano się zaś go, ponieważ nic łatwiejszego nie było dla kogoś złośliwego, jak umyślnie uszkodzić przewody przed czyimś domem i następnie posądzić rzekomo winnego o zbrodnię rozmyślną. Sprawa ta dość się ważną zdawała dla mieszkańców w danej chwili, ale nie sposób było odezwać

się, bo za krytykę urzędowego głosu czekała kara dotkliwa. Ponieważ jednak nagabywanie ludności przezierało przez to ogłoszenie wcale wyraźnie, a nie można było dać nań odpowiedzi, zatem jeden tylko z dzienników odważył się w oględny sposób zwrócić uwagę władz na bezpodstawność podejrzeń, nie narażając się równocześnie na konfiskatę. Czytamy następującą notatkę kronikarską (Kuryer lwowski z 11. września): „Wobec skonstatowania złośliwych uszkodzeń rosyjskich przewodów telefonicznych należy stwierdzić, że bywają i uszkodzenia przypadkowe. Doszła nas np. relacya naocznego świadka, że na ul. Pańskiej żołnierz rosyjski, jadący na jakimś furgonie, zerwał przypadkowo drut bagnetem, wzniesionym do góry, a nie zauważywszy zapewne tego, pomknął dalej. Słyszeliśmy i o innym podobnym wypadku“. Notatka ta sprytna okazała się na szczęście nie potrzebną, bo nie zaszło żadne „zbrodnicze“ uszkodzenie przewodów.

W dzień publikowania powyższych odezw wczesnym już rankiem odezwało się potężne granie armat, dochodzące zwłaszcza od Mikołajowa, poczem niedługo poczęto rogatką Stryjską zwozić mnóstwo rannych. Miasto opustoszało z wojska, które całe wyruszyło na zachód. Pozostali tylko saniteci, zajmujący wszystkie niemal wolne budynki na lazarety. Ulokowali się też w ukraińskim „Akademickim domu“, gdzie przed tygodniem nieledwie jeszcze przebywali strzelcy ukraińscy, przygotowujący się do walki właśnie z nimi. Dzień ten upłynął jak poprzedni, na gorączkowem wyczekiwaniu czegoś niezwykłego — spodziewano się nadal odwrotu. Jak zwyczajnie, widać było dwa aeroplany austryackie wysoko nad miastem. Wieczorem wzywał pachołek miejski bębnieniem ludzi do sypania szańców dla wojska rosyjskiego, ale jak od kilku dni, tak

i tym razem spotkał się z wyśmianiem i zapewnieniem, że „niema takich, coby szli na swoich sypać wały“ — nie dano mu dokończyć wezwania, oddalając się z kpinami szybko do domów.

W piątek 11. września bardzo wczesnym rankiem, bo przed godziną 3-cią wypędziły wszystkich w mieście z łóżek okrutne huki, od których aż szyby dzwoniły. Kanonada ta piekielna trwała cały dzień bez przestanku i chwilami się zdawało, że walka toczy się pod samem miastem. Rannych zwożono takie mnóstwo i w tak okrutnym stanie, iż lekarze podołać nie mogli pracy koło nich. Przejmujące sceny odgrywały się w wszystkich lazaretach — jedni błagali, by ich dobić, potruć — inni znów żegnali się z pozostawioną daleko rodziną, biadając w rozpaczy, iż nigdy jej choćby na chwilę nie będą oglądać. Pod wpływem ogromnych strat, żołnierze nie mieli całkiem ochoty do walki — na rogatkach widziano rzucających się na kolana i błagających Boga, by dał ju pokój. Niechęć i obawa przed wojną tak dalece ich przejęła, że sami się kaleczyli, przeważnie obcinając palce u lewej ręki, jak przekonano się z gromnego mnóstwa w ten sposób okaleczonych w szpitalach.

Z wojskiem rosyjskiem było tego dnia na polu bitwy najwidoczniej nie dobrze, bo były chwile, że wypierano je niemal na same rogatki miejskie. Ogólnie też wierzono, że odwrót jego jest nieunikniony — czekano więc nań niecierpliwie. Na odpowiedni też grunt padła wiadomość, co lotem ptaka rozeszła się odrazu po mieście całem, że na Zamarstynowie rzucił lotnik austryacki z aeroplanu jabłek kilka, w które wetknięte były kartki, pisane na maszynie w języku polskim. Aero-telegramy te szczególne, zawierały następujące powiadomienie:

„Bóg z Wami!

Francya prosiła o zawieszenie broni. Włochy i Bułgarya zajęły Serbię, Turcya wypowiedziała wojnę Rosyi. Lewe skrzydło rosyjskie przełamane, zajęte w Sygniówce i idą napowrót. Czekać cierpliwie kilka dni!“

Wiadomość ta sprawiła nie małe wrażenie na mało krytyczne masy i zaraz rozeszła się po mieście całem. Widocznie zaś dojść musiała i do uszu Rosjan, bo pewien oficer w jednym sklepie na Chorążczyźnie, kiedy kupcowa nie chciała mu wydać reszty z banknotu rosyjskiego, powiedział: „nie chcecie przyjmywać naszych pieniędzy, ale one będą miały nawet wartość podwójną — nie prawdą są te plotki z jabłek, my jesteśmy zwycięzcami, bo przyszliśmy tu do naszego starego, rdzennego kraju, do naszej ojcowizny, do starego naszego Lwowa“. Słowa te wypowiedział w wielkiem podrażnieniu i widocznie pod wpływem niepowodzeń.

Kanonada, trwająca bezustanku 30 godzin, zamilkła nagle w nocy około godziny w pół do dziesiątej, dochodząc chwilowo głuchym odgłosem z coraz to większego oddalenia. W pół godziny potem okazały się na horyzoncie zachodnim języki płomieniste, a później całą połać zachodnią nieba zaległy dymy białe. Od tej chwili huki armatnie pożegnały miasto na długo, pogrążając Lwowian w zwątpienie i żal za nadzieją utraconą. Wojska monarchii cofnęły się dalej na zachód, a dla zrozpaczonej ludności znaczyło to zapieczętowanie na długo niewoli ciężkiej.

Nastrój w mieście z sobotą 12. września doznał wielkiego spadku — jak długo słychać było potężną muzykę setek gardzieli spiżowych, żywiono nadzieje najlepsze,

a kiedy od wystrzałów ostatnich w nocy strzelanie ustało, poczęto źle z tego wróżyć. Dla uspokojenia umysłów postarały się władze o odpowiednie zarządzenie, które wprawdzie nie miało tego właśnie celu na myśli, ale tak zrozumiane zostało przez Lwowian, upatrujących najchętniej we wszystkiem dowód niepowodzeń rosyjskich. Wspominaliśmy juz o werbowaniu ochotników do robót koło szańców przy pomocy publicznego wybębniania — sposób ten nie dopisał, bo nikt się nie chciał zgłaszać, wobec czego prez. Rutowski podał do wiadomości mieszkańców następujące:

„Obwieszczenie.

Zarząd wojskowy ogłasza za pośrednictwem Magistratu m. Lwowa, że potrzebuje do robót ziemnych w najbliższej okolicy Lwowa robotników w ilości przeszło tysiąca ludzi. Płaca 3 korony dziennie.

Należy się zgłaszać na miejsce roboty wprost do oddziału saperów w Brzuchowicach, Grzybowicach, Sokolnikach, Zubrzy, Skniłowie i Białohorszczy.

Rutowski".

(Bez daty).

Efekt powyższego obwieszczenia był chyba taki, że ludzie, widząc tak gwałtowną potrzebę robotników i zestawiając to z widocznemi stratami Rosyan, utwierdzili się w przekonaniu, iż ci jednak będą się musieli cofać, dlaczego też na gwałt się okopują w dawnych fortach austryackich. Dobrej myśli byli ludzie jeszcze i z innych względów, które same dla siebie niezbyt może doniosłe miały znaczenie, ale w ówczesnym, rozgorączkowanym nastroju umysłów jednak za takie uchodziły. Przywieziono mianowicie z pola walki pod miastem do szpitala dwu

rannych ciężko generałów rosyjskich, którzy tego samego jeszcze dnia obydwaj umarli. Okoliczność ta, zdaniem ludzi — stwierdziła niepomyślny stan sprawy Rosyan, którzy przy tak wielkich stratach ponieść musieli jeszcze i podobny cios bolesny. Co zaś znaczenie faktu tego mocno zwiększało to szczegół, iż jednym z tych generałów był nie kto inny a tylko ów pierwszy dowódca rosyjski, który pamiętnego dnia 3-go września z rogatki Łyczakowskiej przemówił do mieszkańców Lwowa znanym już nam rozkazem złożenia wszelkiej broni. Generała-lejtnanta von Rode'go, komendanta 42 dywizyi piechoty, znali z nazwiska chyba wszyscy bez wyjątku Lwowianie. On to właśnie zmarł od ran w sobotę 12. września w wojskowym szpitalu we Lwowie. Dowodził wojskami w bitwie pod Janowem, gdzie na samym froncie wydawał rozkazy pod ogniem armat — odłamek kartacza austryackiego zranił go w pierś, poczem przewieziony został przez sanitaryuszy do Lwowa i tu ulokowany w hotelu Krakowskim Mimo starań kilku lekarzy zmarł generał w sobotę. Zwłoki złożone w metalowej trumnie, przewieziono do grecko-oryentalnej cerkwi przy ul. Franciszkańskiej. W niedzielę rano duchowny prawosławny odprawił żałobną mszę śpiewaną za duszę zmarłego, a następnie panachidę nad zwłokami z asystą improwizowanego chóru żołnierzy. Po dokonanych modłach trumnę zalutowano w obecności przedstawiciela wojskowości i na zwykłej furze, przybranej gałęziami smereki przewieziono na cmentarz Łyczakowski. Ostatnie honory oddał zmarłemu oddział piechoty z swoimi oficerami.

Równocześnie prawie odbył się dnia tego z cerkwi prawosławnej pogrzeb drugiego generała, poległego w bojach pod Lwowem, szefa sztabu 14. dywizyi piechoty, Iwana

Trofimowa. Przed pogrzebem odbyło się nabożeństwo, trwające 2 godziny, a wzięło w niem udział wielu wyższych oficerów i mnóstwo żołnierzy. Po nabożeństwie niklową trumnę ze zwłokami zalutowano i złożono na zwykłym wozie, ozdobionym zielenią. Na tym samym wozie złożono duży krzyż, wyciosany z surowego drzewa, opatrzony tablicą z napisem, że Trofimow poległ w boju 28. sierpnia st. st. Zwłoki jego przywiózł z pobojowiska w Suchej Woli miejski zakład pogrzebowy, który się zajmował też całym pogrzebem, na cmentarz Łyczakowski.

Pocieszali się ludziska, wobec cofnięcia się wojsk austryackich dalej na zachód, przynajmniej tem, że drogo Rosyan kosztował taki wynik wielkiej walki na Wereszycy, a zresztą, mimo ogromnego upadku ducha, nie chcieli jeszcze całkiem tracić nadziei. Oczekiwano też, co dalej będzie. Zrezygnowano na razie z kombinacyi strategicznych, poświęcając się bardziej ciężkim warunkom życiowym, które coraz więcej stawały się dla wszystkich ciaśniejszymi.

Przy wszystkich przedmiotach zainteresowania nie brakło go też dla nowego ogłoszenia urzędowego, w którem widziano dalszy ciąg przytoczonego już przez nas rozporządzenia w sprawie rzekomo zbrodniczo niszczonych przewodów telegraficznych w mieście. Zawiłe określenia jego prawnicze nie zrażały ciekawych przed odczytywaniem, ale zapewne nie wielu tylko było aż tak zaciętych, by lekturę tę niestrawną cierpliwie do końca doprowadzić. Opiewała zaś ona następująco:

„Obwieszczenie.

Stosownie do Najwyżej zatwierdzonej ustawy ust. 1328 rozdział IV Sądów wojennych „o sądach w cza-

sie wojny" mieszkańcy dzielnic Galicyi, zajętych przez Rosyjskie cesarskie wojska — na podstawie ust. 1328 tejże ustawy podlegają sądom wojennym: a) uczestnicy przestępstwa popełnionego przez osobę sądom wojennym podlegającą, b) w razie popełnienia jednego z przestępstw wyszczególnionych w dodatku IX ust. 1328, a mianowicie:

1. za wystąpienie przeciw Zwierzchnemu Głównokomenderującemu armiami, przeciw Głównokomenderującemu armiami frontowemi i Komenderującemu armią (oddzielną i nieoddzielną), któremu miejscowość podlega lub przeciw ustanowionym przez nich czasowym władzom i ich członkom, a również za wszelkie nieposłuszeństwo i sprzeciwianie się im (ust. 262—273 Ustawy karnej i Rozp. Wyk. (Zb. Praw tom XV wyd. 1885 r. oraz dod. 1912 r.) i punkt 3 ust. 78 Wojsk. Ust. Karn. (Zb. P. 1869 r. t. XXII wyd. 4);

2. za szpiegostwo (ust. 271 Ust. Wojsk.);

3. za rozmyślne podpalenie lub w inny sposób rozmyślne zniszczenie lub doprowadzenie do stanu niezdatności (nieużyteczności) przedmiotów wojskowych, przyrządów, broni i wogóle wszystkiego, co może służyć tak do ataku jak i obrony — a również zapasów żywności i furażu (ust. 270 Ust. Wojsk. karnej);

4. za rozmyślne zniszczenie lub poważne uszkodzenie na terenie działań wojennych: wodociągów, mostów, tam (grobli), pomostów z chrustu, szluz, wodospadów, studzien, dróg, brodów i innych środków przeznaczonych dla przetransportowania, przeprawy, spławu, zapobiegania powodziom lub niezbę-

dnych do zaopatrywania w wodę (ust. 270 Wojsk. Ust. karnej);

5. za rozmyślne zniszczenie lub poważne uszkodzenie istniejących na terenie działań wojennych dla celów rządowych a) aparatów telegraficznych i telefonicznych lub innych używanych dla podawania wiadomości i b) linii kolejowych, ruchomego taboru, sygnałów ostrzegawczych przeznaczonych dla bezpieczeństwa ruchu kolejowego i spławnego (ust. 270 Ust. Wojsk. karn.) i

6. za napaść na warty i straże wojskowe, za zbrojne wystąpienie przeciw warcie wojskowej i członkom wojskowej i miejskiej policyi, jak również za morderstwo warty i członków straży i policyi, a także za następujące przestępstwa: a) rozmyślne morderstwo, b) rozbój, c) rabunek, d) rozmyślne podpalenie lub zatopienie i e) gwałt.

Niniejsze obwieszczenie nabiera mocy z chwilą opublikowania go.

Wojenny Gubernator
Pułkownik *Cheremeteff.*

M. Lwów, 29. sierpnia (11. września) 1914".

Ostre te przestrogi dyktowano ludności w chwili rozszerzonego terytoryalnie władztwa rosyjskiego w zajętym kraju, po cofnięciu się wojsk austryackich z linii Wereszycy. Z ustaniem gry armat pod Lwowem uznali Rosyanie stolicę za swoją już niepodzielną własność i stosownie do tego poczęli w niej gospodarować. Dla mieszkańców Lwowa był to cios ogromny, a cały upadek ducha z tego powodu ocenić można należycie, jeśli się weźmie pod uwagę tempo, w jakiem przyszło przyjmować jeden wy-

padek pod drugim i to, jeden donioślejszy w skutkach od drugiego. Na najmniej się tego spodziewające głowy walić się poczęły takie ciosy dotkliwe i oszałamiające, iż wielkiego trzeba było hartu ducha, by się nie tylko nie złamać, ale i nie ugiąć choćby. Ludzie, gruntujący siłę ducha swego w wiedzy i wykształceniu, na nich opierali stanowczą swą wiarę i przekonanie, ale dla maluczkich potrzeba było prócz ich naiwnej wiary — w chwilach tak krytycznych — także jakiegoś bardziej dla nich namacalnego argumentu. I dziwna rzecz, że tak się składało, iż sądzić można było o istnieniu we Lwowie człowieka jakiegoś czy nawet ludzi, którzy dbali o to, by pokrzepić maluczkich w wierze ich, chwiejącej się chwilowo. Wspomniane już „kartki z aeroplanu“ odgrywały właśnie rolę jakby pigułek na pokrzepienie zgnębionych umysłów prostych, zjawiając się — rzecz dziwna — w chwilach naj bardziej ku temu stosownych. Zjawiły się wobec tego, oczywiście, i w chwili tak przełomowej! W niedzielę 13 września żegnały się aero-telegramy ze Lwowem, ale z wyraźnem zastrzeżeniem, że pożegnanie to tylko czasowe „Autentyczny“ tekst ich brzmiał następująco: „Do widzenia! Lwów z nami“, co znaczyło, iż wojska cofnęły się ale wrócą jeszcze do Lwowa. I czy nie miały racyi?

Dla uzupełnienia obrazu nastrojów chwili pozwolimy sobie dosłownie przytoczyć notatkę z kroniczki poufnej zapisaną pod dniem 13. września: — Nastrój w mieście przypomina stan człowieka, który błąkając w pustce, sądził chwilami, że już trafił na ślad dobry, ale odrazu się przekonał zniechęcony, iż brak mu najprostszych sposobów oryentacyi. Zdawałoby się i jakoby wszystko za tem przemawiało, że wojska austryackie górą — ogólnie tak myślano — a tu odrazu huk dział urywa się, odwrotu spo-

dziewanego wojsk rosyjskich nie widać, a dzienniki niektóre pospieszają z zapewnieniami, że wojsko austryackie cofa się. Brak najprymitywniejszych wskazówek oryentacyjnych, nie daje się wiary senzacyom dziennikarskim, które przedtem z własnej pilności kazały Austryakom bić setki tysięcy Rosyan, a teraz na odmianę tym każą bić Austryaków. Kto raz poparzył się, dmucha na zimne — publika lwowska mocno nie wierzy senzacyom dziennikarskim tego rodzaju, ale też i widać, że jest jak okręt bez steru".

* *
*

Fakt opuszczenia przez wojska austryackie linii Wereszycy przełomowym był dla Lwowa okupowanego, albowiem do chwili tej nietylko ludność jego sama, ale nie mniej i sami Rosyanie nie uważali miasta za pewną swą własność. Wszystko, co tu zarządzili dotychczas, nosiło widoczne cechy doryweczości, brak było jeszcze pewności siebie i konsekwencyi w działaniu. Dowodem zaś niejako, iż z chwilą ucichnięcia w mieście odgłosów wojennych, uznano je za „rosyjskie", może być okoliczność, że dopiero 14. września zajęli się Rosyanie powszechnem ogłoszeniem znanego manifestu do Polaków. Wprawdzie zaraz pierwszego dnia przybycia do Lwowa rozrzucili po mieście odezwy te drukowane, ale działo się to całkiem nie oficyalnie, z własnej pilności kilku oficerów. Urzędowne zaś podanie do wiadomości społeczeństwa manifestu tego nastąpiło dopiero teraz i to w dwojaki sposób — przez rozlepienie na ulicach niepokaźnych karteczek drobno zadrukowanych, tudzież z pomocą dzienników, którym nakazano w dzień oznaczony wydrukować tekst dosłowny odezwy według przesłanych egzemplarzy. Tekst ten prze-

drukowano, ale w wszystkich prawie dziennikach bez żadnych komentarzy lub wyjaśnień. Od zarządzenia tego poczęła się na dobre gospodarka rosyjska we Lwowie, od chwili tej dostał się on pod „opiekuńcze" skrzydła oswobodzicielskiego orła rosyjskiego.

Dodawać, oczywiście, nie trzeba z jakiem uczuciem przyjęte zostały pierwsze te kroki, ale i wyjaśnień chyba nie wymaga zachowanie się na zewnątrz ludności prawie całej wobec nich. O jakiemś, choćby najniewinniejszem manifestowaniu prawdziwego swego przekonania o nich, ani mowy być nie mogło, a rozczulać się nad nimi — bo to tylko można było — tylko kołom pewnym zdawało się potrzebne. Wyrazem opinii publicznej powinny być w takich razach — jak to wszędzie i zawsze bywa — dzienniki, ale o tem to już i marzyć nie można było pod oswobodzicielskim reżimem carskim! Dzienniki służyć miały tylko do bezpłatnego publikowania rozkazów i powiadomień urzędowych, a przy tem wolno im też było bawić się w anegdoty n. p. o zjadaniu przez żołnierzy tureckich mundurów własnych z głodu, tudzież w głoszenie sławy oręża „porozumionych". Najodważniejsze zdobywały się w chwilach najważniejszych na powiedzenie czegoś od siebie, ale na jakie to wówczas sposoby trzeba się było zmagać, by swoje powiedzieć, a nie dać się ubić chytremu cenzorowi!

Z chwilą wstąpienia Rosyan do Lwowa wychodziły tu następujące dzienniki: 1. „*Kuryer Lwowski*", 2. „*Gazeta Wieczorna*", 3. „*Słowo Polskie*", 4. „*Wiek Nowy*", 5. „*Dziennik Polski*" i 6. „*Gazeta Codzienna*". Trzy pierwsze drukowały do chwili przed okupacyą dwa wydania dziennie, ale następnie tylko jedno „*Słowo polskie*" zachowało wydanie poranne i popołudniowe; reszta wychodziła tylko

raz dziennie i to przeważnie w różnych godzinach. Wszystkie jednak zmniejszyły odrazu znacznie swą objętość. Poranne „Słowo Polskie“ miało jedną kartkę, a popołudniowe dwie, od 23. września naodwrót, poranne dwie, a popołudniowe jedną, niedzielny numer miał zawsze dwie kartki. Następnie jednak i poranne i popołudniowe wydanie miało po dwie kartki. *„Kuryer Lwowski“* wydał 3. września o godz. 7. rano znaną już nam odezwę przed wkroczeniem wojsk rosyjskich, a w południe zwykły numer z wielkim nagłówkiem nad naczelnym artykułem: „Bunt floty czarnomorskiej w Odessie“, tudzież artykułem fejletonowym, jak to nasi mazurzy „Moskali pod Kraśnikiem sprali“. Nazajutrz wyszedł numer jednostronicowy, a po nim nastąpiła przerwa do 8. września — wydawnictwo dziennika wahało się, czy nadal w zmienionych warunkach kontynuować swą pracę. Poczucie jednak obowiązku wytrwania na posterunku i ochrony stanu posiadania przezwyciężyło wahania te. W numerze z 8. września zapowiada redakcya zawieszenie regularnego wydawania dziennika, a tylko w miarę możności wydawanie dla miejscowych czytelników numerów luźnych, ale już od dnia następnego podejmuje regularne wydawanie numerów rannych, zrazu jedno- przeważnie, a następnie dwukartkowych, w dnie powszednie i niedziele, jak wszystkie zresztą pisma wtedy.

„Gazeta wieczorna“ z wkroczeniem do miasta Rosyan przestała chwilowo wychodzić, ale już 7. września doniosła; wypadki ostatnich dni spowodowały cały szereg przeszkód formalnej natury, skutkiem czego pismo nasze nie mogło ukazywać się z dotychczasową regularnością. Nie oznaczało to jednak bynajmniej zawieszenia pisma, jak z kilku stron gorliwie rozgłoszono. Po usunięciu wspo-

mnianych przeszkód, „Gazeta Wieczorna“ podjęła z dniem dzisiejszym napowrót służbę publicystyczną i ukazywać się będzie — na razie — raz dziennie, w porze południowej“. Od dnia tego wychodziła też regularnie przeważnie na dwu kartkach, w dnie powszednie i niedziele.

„*Wiek Nowy*“ wychodził regularnie w południe w zwykłym formacie, na czteru zawsze kartkach, w dnie powszednie i niedziele, z zwykłą ilustracyą na przodzie.

„*Dziennik Polski*“ wychodził codziennie, zrazu na jednej, a potem na dwu kartkach.

„*Gazeta Codzienna*“ wychodziła codziennie, naprzód na jednej, następnie na dwu kartkach.

Wydawano za czas okupacyi z dzienników miejscowych tylko polskie. Ukraińskie „*Diło*“ chciało wydawać kilka osób, nie biorących dawniej udziału w życiu politycznem, a pozostałych wobec tego we Lwowie; okazał się też numer jeden jego z datą 5. września 1914 r., podpisany przez dra Ilaryona Święcickiego, jako redaktora odpowiedzialnego, ale był to pierwszy i ostatni za czasów rosyjskich we Lwowie. Następnego dnia przedstawiła się gubernatorowi Szeremetjewowi deputacya kulturalno-ekonomicznych towarzystw ukraińskich, która usłyszała odeń, że nie czas na zajmowanie się ich sprawami. Po oddaleniu się deputacyi gubernator poszukiwał jej członków i wezwał ją jeszcze raz do siebie. Ponieważ jednak wszyscy się już oddalili, więc dopiero nazajutrz jawić się mogli ponownie. Gubernator na widok ich obruszył się niepomiernie i z ogromną irytacyą pokazał im egzemplarz odezwy, którą Ukraińcy z początkiem wojny wydali do ukraińskiej ludności w Rosyi z podpisami wybitnych osobistości Galicyi. Odezwę tę wydrukowano w milion egzemplarzach, ale nie zdołano jej usunąć przed wkroczeniem Rosyan do Lwowa;

palono ją na gwałt, lecz za mało czasu było na zniszczenie całej olbrzymiej ilości. Egzemplarz jeden dostał się w ręce gubernatora, który też nie omieszkał uczynić zeń użytku, zapytując, czy na odezwie tej niema podpisu którego z obecnych; zwrócił się przedewszystkiem do prof. Szuchiewicza, który jakoby miał podpisać odezwę, ale na wyjaśnienie, że więcej jest ludzi tego nazwiska, wyraził się gubernator całkiem nie parlamentarnie i zakończył monolog ostrzeżeniem, by się na baczności miano, bo z Ukraińcami całkiem nie myśli się długo zabawiać. W dowód zaś, że dochowa przyrzeczenia, posłał swego pomocnika do redakcyi „Diła“ w budynku „Proświty“, celem zamknięcią wydawnictwa. Wysoki ten dygnitarz zjawił się istotnie w lokalu redakcyi, zastając w nim podeszłego już w latach ś. p. Mich. Pawłyka, dra Ilaryona Święcickiego i jeszcze kogoś. Nie bawiąc się w żadne grzeczności, z epitetami w rodzaju „paszoł won“, zasypał redaktorów wyzwiskami i kategorycznie oświadczył, że mowy być nie może o jakimś wydaniu dziennika ukraińskiego. Przy sposobności nadmienił, że jeśli natychmiast na gmachu „Proświty“ nie pokaże się chorągiew rosyjska, to za kilka godzin i śladu po nim nie zostanie, bo z ziemią go zrównać każą. Oczywiście, na taki „oswobodzicielski“ gest nie mogło być innej odpowiedzi, jak zastosowanie się do polecenia, wobec czego „Diło“ przestało po jednym numerze wychodzić.

Z kilkunastu zatem pism lwowskich pozostało tylko sześć wymienionych. Skład redakcyjny wszystkich, z wyjątkiem „*Słowa Polskiego*“, uległ znacznym redukcyom, względnie zmianom w personalu. „*Kuryer Lwowski*“ podpisywał nadal red. Bol. Wysłouch, a jako współredaktorowie pracowali: B. Janusz, R. Antonik i dr. Mikołajski.

„Gazetę Wieczorną“ wydał w kilku początkowych numerach W. Dąbrowski, który, po kilku z kolei zmienianych oryentacyach, z nastaniem Rosyan uczuł się odrazu ich zwolennikiem, ale rów..ocześnie znalazł się w *„Wieku Nowym“*. Po nim ster „Gazety wiecz.“ objął W. Tranda z współpracownictwem K. Szydłowskiego, Maryana Olszewskiego i H. Bukowskiej. *„Wiek Nowy“* podpisywał L. Szenderowicz, a redagowali: W. Dąbrowski, J. Rozwada, N. Kosacz i dr. M. Borowski. *„Dziennik Polski“* redagował E. Kolbuszowski, N. Daniluk i dr. St. Zdziarski, a następnie w miejsce tego S. Twerdochlib.

Co do kierunku ideowego tych pism, to według utartego w mieście podziału reprezentował „Kuryer Lwowski“ oryentacyę polską, „Gazeta Wieczorna“ austryacką, zaś „Słowo Polskie“, „Wiek Nowy“ i „Dziennik Polski“ przechylały się sympatyami w stronę przeciwną, markując to swoje stanowisko mniej lub więcej, albo i całkiem otwarcie. Do trzech ostatnich przyłączyła się następnie i *„Gazeta Narodowa“*, która zawiesiła wydawnictwo nie długo przed zajęciem Lwowa przez Rosyan, ale po wielu zabiegach uzyskała pozwolenie na okazywanie się, chociaż zrazu władze rosyjskie oświadczyły, iż pisma takiego nie znają we Lwowie,. bo z wkroczeniem doń nie zastały go między innemi. W rezultacie, od 15. stycznia 1915 r. poczęła „Gazeta Narodowa“ wychodzić codziennie w dwu kartkach i mimo braku poparcia zdołała przetrwać do 15. maja t. r. Podpisywał ją jako redaktor L. Świerzawski, a współpracownikami byli: dr. J. Koller, J. Porandowski, dr. A. Skałkowski i dr. C. Sobolewski.

Dla uzupełnienia kompletu dzienników polskich w czasie okupacyi we Lwowie wspomniemy jeszcze o *„Heroldzie Polskim“*, wydawanym przez St. Brandowskiego, jako ilu-

strowany dziennik popularny od 17. października 1914 r. Pozwolenie na wydawanie otrzymał wydawca po wielu staraniach, zastrzeżeniach i przyrzeczeniach, ale pismo okazało się w kilku ledwie numerach, ponieważ redaktor puścił się w drogę na Wiedeń.

W nadzwyczaj ciężkich warunkach znalazły się dzienniki te z chwilą zajęcia miasta przez nieprzyjaciela. Już kilka dni przedtem poczęły się urywać źródła wiadomości, przerwano telefony, zawieszono telegrafy, zwinięto filię biura korespondencyjnego, a przedstawić można sobie w jakiej sytuacyi znaleść się musiały od dnia 3. września. Wiadomości z dziedziny najwięcej w danej chwili zajmującej ogół, nie posiadały zupełnie, a i sposobu nie miały na ich zdobycie. Z konieczności więc wypełnić się musiały rejestrowaniem przejawów życia chwili w mieście, dzięki też czemu wcale ciekawy zamknęły na swych kartach obraz stosunków jego ówczesnych. Oczy wszystkich zwrócone były na władze miejskie, a zatem i dzienniki w tę stronę patrzyły przedewszystkiem; drugiem przedmiotem zainteresowania byli nowi panowie i nimi też zajęły się dzienniki. Dwa te względy wybiły swe piętno na pismach z pierwszych tygodni okupacyi, stojących pod znakiem układania się nowych chwilowych warunków istnienia. Na plan drugi zejść musiały z konieczności wiadomości wojenne, bo o tych, prócz baśni niewiarygodnych, nic innego nas dochodzić nie mogło, przynajmniej do chwili, w której dotrzeć mogły do Lwowa dzienniki z Warszawy, Kijowa, Petersburga i Moskwy, a może i Paryża, lub Londynu. Zanim jednak do tego przyszło źródłem wszelkich nowości był przedewszystkiem Magistrat, z pomocy którego i władze rosyjskie korzystały, a pozatem pomysłowość reporterów, którzy też długo prym wieść mieli

w przełomowych tych chwilach dziennikarstwa lwowskiego Cały też charakter jego określić można jako reporterski przedewszystkiem. Wynikało to z warunków chwili, a i odpowiadało jej najzupełniej; uznanie znajdował przedewszystkiem dziennik, pomieszczający jak najwięcej wiadomości lokalnych, bo te najbardziej zajmowały umysły wszystkie. Wiarygodnymi też były tylko one, bo wszystkie inne opierały się na mniej lub więcej podejrzanych informacyach rozmaitych „kompetentnych“ osobistości.

Po ocknięciu się z kilkudniowego egoistycznego zajmowania się swojemi tylko osobami wzbudziło się u kół szerszych zainteresowanie i dla rzeczy dalszych, dla wielkich wypadków, rozgrywających się na kilku odrazu terenach wojennych. Największą więc ambicyą dzienników miejscowych było wystaranie się codziennie o skromną choćby wiązankę nowości z tej dziedziny, a że nie należało to bynajmniej do rzeczy łatwych, więc pomagano sobie na wszelkie możliwe sposoby, zależne od stopnia, jeśli nie uczciwości, to w każdym razie przyzwoitości, danych kierowników gazet. Sumaryczne zaś wrażenie czytelników po tego rodzaju lekturze porównaćby można z ździwieniem, jakie okazuje się po przekonaniu, iż białe jest czarnem, a czarne białem. Do ugruntowania przekonania podobnego u ludzi przyczyniły się pogromy, urządzane przez niektóre dzienniki armiom, które na szpaltach ich ledwie dni temu jeszcze kilka osiągały sukcesy niesłychane, oraz zwycięstwa, o które nawet nie chciały ich podejrzewać przedtem.

Zwykłem źródłem wojennych wiadomości dzienników w pierwszych dniach września były prywatnie otrzymywane od oficerów rosyjskich informacye o stanie działań wojennych na rozmaitych frontach, tudzież fantastyczne

interwiewy z osobistościami pewnemi, które „wprawdzie nie zajmują oficyalnych jeszcze stanowisk, ale z pewnością są na nie przeznaczone“. Zwłaszcza jeden dziennik obficie sypał podobnemi rewelacyami tych osobistości, któremi poprostu byli nasi domorośli Rosyanie w rodzaju pp. Dudykiewiczów, Bendasiuków i Kołder. Dla przykładu, jakiemi to informacyami służyli ci kandydaci na wysokie godności, pozostający na razie bez teki, pozwolimy sobie przytoczyć jedną z takich wiadomości, od których aż się roi w dziennikach niektórych z tych czasów. Czytamy tam taką np. wiadomość („Wiek Nowy“ z 21. września 1914): „Prywatne wiadomości donoszą, że wojska rosyjskie z zewnętrznych fortów Przemyśla zajęły już trzy i że cała jedna dywizya wojsk austryackich jest odcięta i skazana na zatratę“ (!). I pomyśleć, że tego rodzaju brednie powtarzało się ledwie kilka dni po bitwie nad Wereszycą! Nie dość jednak było senzacyi, bo o to jaki dodatek znajdujemy w dalszym ciągu — „P r z e d s e n z a c y j n e m i z d a r z e n i a m i. Wczoraj mieliśmy sposobność rozmawiać z jedną osobistością cywilną, jednakże ze względu na swe stanowisko mającą dokładne wiadomości wojskowe (mowa w tym wypadku o Dudykiewiczu). Kiedyśmy jej zakomunikowali powyżej przytoczoną wiadomośś, otrzymaliśmy wiadomość: — To jeszcze nic — dowiecie się wkrótce o czemś naprawdę senzacyjnem, na całą Europę senzacyjnem... — Jakiego rodzaju będzie ta wiadomość? — Czytał pan o odcięciu niemieckiej armii następcy tronu we Francyi — w lesie Argońskim? Owóż niech pan sobie wyobrazi, że w tej armii jest 192.000 ludzi z oficerami i całym materyałem i że armia ta nie jest dopiero „odcięta“, a potem niech pan to przeniesie bliżej, znacznie

bliżej, całkiem blisko... — Więc to jest rzecz zupełnie przygotowana? — Nie przygotowana, ale dokonana“!...

Fantastyczny ten interwiew jest jedyny w swoim rodzaju i prócz beznadziejnej naiwności podziwiać w nim chyba można monumentalny, istotnie, rozmach, ale sam Pan Bóg wie tylko zapewne, co też ów kandydat na ekscelencyę mógł rozumieć pod apokaliptycznemi przenośniami swemi. Czy może wieszczym duchem przepowiedział sukcesy armii Radki Dmytriewa pod Gorlicami? W każdym razie, jeśli nie podziwiać rozmachu informatora, to nie z byle uznaniem wyrazić się trzeba o zmyśle dla senzacyi u owego dziennikarza, notującego wieszcze te słowa dla potomności. Podobnie ciekawych rzeczy więcej dałoby się znaleźć w niektórych dziennikach ówczesnych, co w ten sposób nawoływały do zachowania godności, przestrzegały przed panikami i upadkiem duchów. Przeciwstawiały się zaś im inne, które uznały doniosłość prawdy, iż złotem bywa nieraz milczenie — te ograniczały się przeciwnie na tępieniu senzacyi, a notowaniu mniej radykalnie pojętych wieści.

Po kilku dniach pobytu Rosyan we Lwowie otworzyło się nowe źródło zdobywania pożądanych informacyi, a mianowicie z dzienników i pism, otrzymywanych za pośrednictwem i przez grzeczność oficerów lub żołnierzy rosyjskich. Najczęściej nie łatwo z tem było, bo pism tych ledwie kilka dostawało się do Lwowa, a i te, co tu doszły przechodziły do rąk wyższych oficerów, do których znów przystęp był trudniejszy. Na wszystko jest jednak sposób. Podziwiać należało pomysłowość niektórych z dziennikarzy w zdobywaniu sobie tego żeru. Odznaczył się w tym kierunku zwłaszcza jeden, który nieraz kilka godzin z rzędu w nocy czychał na dworcu kolejowym na człowieka, któ-

remu by z kieszeni, czy torby wyzierała jakaś gazeta lub coś podobnego, a kiedy uszczęśliwił tym widokiem oczy swoje, to już z pewnością znalazł sposób, by pożądany papier dostał się mu w ręce. Jeśli nie pomogła prośba, próbowało się dźwiękiem monety, a kiedy i w takim razie nie było skutku, poprzestawało się z konieczności na przeglądnięciu choćby i wypisaniu na poczekaniu ciekawszych jakichś rzeczy, a zapamiętaniu innych. Ile dreszczy pożądania wzbudzał w człowieku w tym czasie widok pliku gazet w czyjemś ręku? Ryzykowało się wtedy nie mało, ale trudno było oprzeć się pokusie zagadnięcia owego szczęśliwca, którym był albo oficer, albo służący jego. Jeśli posłyszało się rozmowę polską to z większą śmiałością przystępowało się do oficerów, przedstawiało się, proponując czy to pożyczenie, czy ofiarowanie, o ile dzienniki były już przeczytane. Bywało, że prośbę wieńczył skutek pomyślny, ale trafiało się i inaczej. Sprytniejsi wpadli na lepszy koncept, a mianowicie zgłaszali się do służby w większych hotelach i od niej odkupywali wszelkie możliwe pisma, które przejezdni oficerowie porzucali jako już im nie potrzebne. W wypadkach niektórych bywało i tak, że adresat otrzymywał zamiast dzienników same tylko opaski, a dzienniki dostawały się komuś innemu — o tem mogli by coś powiedzieć ordonansi i służba wojskowa. Nie rzadko zaś trafiało się i tak, że przed adresatem zostały pisma jego najdokładniej przewertowane przez kogo innego; kosztowało to nieraz i rubla całego, ale dziennik nazajutrz mógł przynieść coś nowego swym czytelnikom! Zapobiegliwy dziennikarz wykorzystać potrafił nawet oczekiwanie na ocenzurowanie swego numeru, kiedy mu w oczy wpadł czasem numer „Armiejskiego Wiestnika“ lub „Russkiego Inwalida“, które przewertował dokładnie

i przekopiował, a nawet potrafił się postarać, by pisma te nie dostały się tego samego dnia w ręce jakiegoś konkurenta z innej redakcyi! I jakich to sposobów nie używało się, byle tylko na dzień następny mieć coś nowego w swym dzienniku? W jakich nieraz strzępach przynosiło się do redakcyi w tryumfie numer „Kijewskiej Myśli“, „Kijewlanina“ lub „Dziennika Kijowskiego“, nie mówiąc już o „Kuryerze Warszawskim“, lub — co już szczytem marzeń było — starego zeszytu „Tygodnika Ilustrowanego!“ A jak troskliwie obchodziło się z byle świstkiem zadrukowanym, żeby za godzinę lub dwie zwrócić go bez śladu użycia właścicielowi, który nie zawsze musiał wiedzieć jakich to krętych wędrówek dokonywała własność jego? Wtedy dopiero uczył się dziennikarz szanować pracę swoją!

Najpomyślniejszym wypadkiem było, kiedy olbrzymia płachta zadrukowana na własność dostawała się do redakcyi. Do najbliższego numeru dawało się sam wybór, ale nazajutrz w braku innego materyału wyszukiwało się dalsze „nowości“ i tak do skutku, dopóki się nieraz nie zreprodukowało całego niemal pisma w tłumaczeniu polskiem. W czasach tych nawet ambitniejsi dziennikarze zrezygnować musieli z oryginalności, a w miejsce jej podziwiać jeden u drugiego sposoby, jakimi przychodziło się w posiadanie białych kruków — dzienników polskich czy rosyjskich. Uznanie zaś koleżańskie spotykało bez kwestyi każdą lepszą notatkę, wygrzebaną w jakimś dzienniku rosyjskim, bo skrupulatnie przedrukowywana była ona w wszystkich pismach lwowskich po kolei, jakby na specyalne zamówienie z starannem, oczywiście, zawsze zamilczeniem źródła. Życzliwość podobna sprawiała, że kilka dzienników jednak mogło się utrzymać mimo kompletnego

braku oryginalnych źródeł informacyjnych, a czytająca publiczność miała sposobność przekonywać się jak bezprzykładnie zgodnemi stały się odrazu tak niesforne dawniej pisma lwowskie. Słyszało się wprawdzie i pewne głosy niezadowolenia z tego tytułu, ale to nie przeszkadzało w rezultacie dziennikom wszystkim bić dziennie nawet do 8—10 tysięcy egzemplarzy, rozchodzących się niemal wyłącznie w samym tylko Lwowie, ponieważ na prowincyę nie było żadnego dostępu.

W warunkach takich cudów dokazywać nieraz trzeba było, by módz wypuścić w zwykłej porze gazetę. Na artykuły naczelne forowało się takie np. rzeczy jak: „Nie brak wody we Lwowie“, „Pomoc dla rannych“, „W sprawie pensyi urzędników państwowych“, „Sprawy zdrowotne“, „W sprawie drobnej monety“, „Moratoryum“, „Towary z Kijowa i Odessy“, „Bezpłatne kuchnie“, „Brak opału“ itp. Następnie szła partya „własnych telegramów“ z terenów wojennych, jak nazwał jeden z bardziej pomysłowych dzienników — „własnemi depeszami“, (tłumaczonemi słabo z starszych już nieco zazwyczaj dzienników rosyjskich, albo komponowanych w wspomniany już wyżej sposób). Najpozytywniejszą wartość przedstawiały kroniki, zestawiane na podstawie informacyi z Magistratu względnie Prezydyum, z policyi miejskiej, z relacyi Straży Obywatelskiej, z rozporządzeń urzędowych i wreszcie bardzo rzadko z własnych obserwacyi i pomysłów. Lukî — jak zwyczajnie — wypełniało się fejletonami i rozmaitemi bajeczkami w rodzaju: „Przyjęcia u papieża“, „Wnętrzności papieży“, „Straż papierzy“, „Proroctwo Tołstoja“, „Proroctwo św. Malachjasza“, „Groby papieży“, „Szaty papieża“ — jednem słowem, materyałami, pozostałymi z sezonu ogórkowego, lub tłumaczonymi z leksykonu

Brockhausa. W redagowaniu fejletonów przyszła moda na hurtowne przekłady literatury rosyjskiej, uskuteczniane dla przystępności języka z tłumaczeń niemieckich: na wyuczenie się rosyjskiego jeszcze nie było czasu. Modne też były przekłady z serbskiego, bułgarskiego, czeskiego, również z dostępniejszych przekładów niemieckich lub francuskich. Całość dziennika wypełniało kilka anonsów, przedstawiających też nie najgorszy materyał faktyczny dla ewentualnych studyów moralności, etyki, kupieckich aspiracyi u urzędników i podlotków, propozycyi zwracania zgubionych rzeczy itp. Domyślać się można, że ciekawa ta, chociaż uboga rubryka znajdzie też kiedyś swego pamiętnikarza.

W połowie października 1914 r. poczęły się układy dzienników lwowskich z reprezentantem Petersburskiej Agencyi Telegraficznej, która postanowiła otworzyć filię swą we Lwowie. Stanęło na tem, że każdy dziennik, któryby chciał otrzymywać telegramy, miał miesięcznie płacić 75 rubli; podawane były one w języku rosyjskim, z którego dopiero trzeba było je tłumaczyć na polski. Po raz pierwszy okazały się depesze Pet. Ag. Telegr. dnia 23. października 1914 r., odkąd też dzienniki lwowskie stanęły mniej więcej na dawnej podstawie swego istnienia, zwłaszcza, że już 1. października pokazały się na mieście kolportowane dzienniki z Rosyi, a mianowicie: „Kijewskaja Myśl“, „Kijewlanin“, „Gazeta Podolskaja“ i „Dziennik Kijowski“. O pisma te postarał się jakiś żydek, który następnie wysyłał je przez chłopaków na miasto i do redakcyi, każąc sobie za to sporo płacić. Przywitano je jednak z nie małem zadowoleniem, bo w każdym razie otwierały możność oryentowania się w ciemnych dotychczas sprawach strategii ogólno-europejskiej. Wprawdzie

nie ze wszystkiem dawano wiarę ich wiadomościom, ale w zestawieniu z relacyami, zaczerpniętemi z dzienników krakowskich i wiedeńskich, zdobywanych zagadkowymi sposobami, rozświetlały one nie najgorzej stan faktyczny. Wogóle zaś nie można powiedzieć, by dzienniki z Rosyi dawały same bezpodstawne informacye, bo kto umiał krytycznie je czytać mógł nie najgorzej oryentować się w wypadkach, a w każdym razie wiedział w główniejszych zarysach, co się na świecie dzieje. Senzacyę zaś pierwszego stopnia stanowiły pojedyncze numery wiedeńskiej „Freie Presse", „Zeit" lub innego jakiegoś dziennika z tamtej strony linii bojowej, które nie wiedzieć jakimi sposobami docierały do Lwowa, cenione tu dosłownie na wagę złota, bo za samo przeczytanie płaciło się właścicielowi koronę lub dwie. Ważniejsze wiadomości przepisywało się na maszynie i w takiej formie rozszerzało się w największej tajemnicy po mieście, względnie między najzaufańszymi. Jeden numer „Freie Presse", choćby z przed dwu i więcej tygodni, przedstawiał tak wielką atrakcyę dla spragnionych czegoś „prawdziwego", że celem zaznajomienia się z treścią jego zbierały się prywatnie kluby całe ipmrowizowane, złożone z akcyonaryuszy o wkładkach jedno lub dwu koronowych. Przedsięwzięcia takie liczyć się musiały z wielkiemi niebezpieczeństwami, bo trafiało się, iż między spiskowców wkraść się zdołał jakiś „ochrannik", który całe towarzystwo oddawał odrazu na łup policyi. Mimo wszystko jednak przemysł ten nie tylko istniał, ale i rozwijał sie, bo w rezultacie doprowadzono do takiej sprawności sztukę zdobywania dzienników niemieckich, że w ostatnich zwłaszcza czasach mieliśmy je nawet z przed 4—5 dni od wydania w Wiedniu. Największe zasługi w informowaniu na tej drodze Lwowian o zajściach najbardziej

ich zajmujących ponosiła — oczywiście w swoim przedewszystkiem interesie — „czarna giełda“, normująca na tej podstawie karkołomny kurs rubli i koron. I to był chyba jedyny grzech, z którego ją rozgrzeszano, chociaż mocno urągano na konsekwencye jego.

O prawdę zawsze jest najtrudniej, ale chyba nigdy nie przekonano się o tem tak dobitnie, jak właśnie w tych kilku miesiącach niewoli. Jeśli nie o ukrycie jej to przynajmniej o zmącenie zabiegała zazdrośnie słynna i przysłowiowa cenzura rosyjska, rozporządzająca ku temu setką najrozmaitszych pomysłów, jeden chytrzejszy i bezwzględniejszy od drugiego. Na straży jej stał zaraz od pierwszych dni cenzor surowy, przed którym nic mądrzejszego ostać się nie mogło, którego ołówek czerwony tak znęcać się umiał wymyślnie nad dziennikami, iż były chwile w których naprawdę odchodziła ochota do ich wydawania. O ile zaś wytrzymało się na stanowisku, to chyba tylko dla tego, by w decydującej chwili nie można się było spotkać z zarzutem nieobecności. Ciężkie też przychodziło ponosić konsekwencye tego upartego postanowienia!

Znajdujemy w jednym z dzienników z początku września 1914 r. następującą notatkę odnośnie do wspomnianej cenzury („Kuryer Lwowski“ z 4. września): „Od dnia dzisiejszego obowiązuje dzienniki nowa cenzura wojskowa. Przedwczoraj (2. września) zakończyła swoją czynność cenzura austryacka. Jedynie wczoraj wydany przez nas dodatek był wolny od cenzury“. Pierwszych jednak dwu czy trzech numerów dzienników nie cenzurowały jeszcze władze rosyjskie, lecz sam prez. Rutowski, do którego wskazówek stosowały się pisma bez zastrzeżeń wszelkich. Następnie zaś ustanowiono już osobnych cenzorów, a mianowicie naprzód mianowano na ten urząd pensyonowanego

profesora gimnazyalnego, dyrektora biblioteki Narodnego Domu, Filipa Swistuna, który jednak w kilka dni potem ustąpił. Miejsce jego zajął, też na bardzo krótko, Bruno Filipowski, a po nim podpułkownik Fatjanow, pomocnik gradonaczelnika Lwowa, a następnie gradonaczelnik Sambora. Z ustanowieniem generał-gubernatorstwa z końcem września 1914 r. zarząd cenzury objął kapitan N. F. Narkiewicz, który z dniem 9. października zaczął wydawać we Lwowie pierwszy dziennik rosyjski: *„Lwowskoje Wojennoje Słowo“*. Po nim urząd cenzuralny powiększono, włączając w zakres jego działalności i nadzór nad drukarniami i księgarniami. Zamianowani zostali cenzorami wojennymi; rotmistrz Suszkow, kornet Suchotin, asesor kolegialny Mogiła i dr. Zawadowskij. Dzienniki cenzurował Suchotin i Zawadowskij, suplent gimnazyum lwowskiego który wsławił się w całym Lwowie nikczemnem swem służalstwem dla nieprzyjaciela, co go też w rezultacie odpowiednio do podłości jego na końcu traktował. Miejsce korneta Suchotina zajął następnie praporszczyk Bętkowski, ale Zawadowskij sprawował swe funkcye do końca, starając się za wszelką cenę okazać się więcej Moskalem, niż sam Moskal jest nim w istocie. Wszelkie też szykany i trudności, doznawane przez dzienniki lwowskie w cenzurze, jego wyłącznie były sprawką, bo jako na znającego stosunki miejscowe, na niego przedewszystkiem zdawali się cenzorowie rosyjscy, a on już potrafił wykorzystać tę sytuacyę dla celów partyi domorosłych Rosyan galicyjskich, którzy na gwałt musieli się dopiero uczyć języka rosyjskiego i w rezultacie bynajmniej się nie nauczyli. P. Zawadowskij nie poślednią grał rolę w tej partyi, jako że współredaktorem był osławionej „Prykarpatskiej Rusi“ i w najzażylszych żył stosunkach z Dudykiewiczami i Bendasiukami. Przedstawić

też można sobie jak ktoś podobny sprawować mógł bezstronnie urząd objektywnego cenzora! Tępił więc p. Zawadowskij najzacieklej najdrobniejszy choćby ślad dawnych stosunków, a zaciekłość swą doprowadził do tego, że nawet na klepsydrach nie pozwalał na zaznaczenie, iż zmarły był np. c. k. woźnym sądowym: napisać można było tylko w najlepszym razie — „były woźny sądowy“ o ile nie skreślono całkiem tego dodatku. Z zdziwieniem też oglądali ludzie karty pośmiertne, na których pod nazwiskiem prawie zawsze skreślone były jakieś „zbrodnicze“ słowa, zagrażające całości potężnego władztwa cara! W rezultacie doszło do tego, że i mowy nie było o drukowaniu kartek pośmiertnych, bo prócz tego, że przetrzymywano je umyślnie, by dostać łapówkę (stale 2—3 ruble), kłopoty się miało najcięższe z cenzurą, która wszędzie wietrzyła zbrodnie zagrażające państwu. O ile zaś ktoś postawić chciał na swojem wówczas zyskiwał tyle, że klepsydra okazywała się po tygodniu na mieście i pokiereszowana pod nazwiskiem zmarłego. W rezultacie zaś doszło do tego, że ludzie zrezygnowali ze zwyczaju kulturalnego i nie starali się całkiem o kartki pośmiertne, a Rosyanie tryumfowali, że pod ich rządami jest we Lwowie tak dobrze, iż ludzie prawie przestali umierać. Znaleziono jednak w końcu sposób na te dziwne praktyki cenzorskie, a mianowicie poczęto stale odtąd w dziennikach drukować zawiadomienia o pogrzebie, ponieważ dzienniki musiały być ocenzurowane, a zatem i zawiadomienia te mogły się w czas okazywać, oczywiście, także ze zwykłemi skreśleniami.

Każdy dziennik przedkładano cenzurze w odbitce szczotkowej w dwu egzemplarzach; jeden potwierdzano dla drukarni, drugi zachowywano dla kontroli, czy skreślenia uwzględnione zostały w numerze wydanym. Do cenzury

przynosić także trzeba było wszystkie możliwe druki i gazety, z których korzystało się przy ułożeniu numeru a to dla wygody p. Zawadowskiego, żeby sprawdzić mógł zawsze, czy wiadomości dane są istotnie „błagonadiożne“; w dzienniku także podane być musiało pod artykułem źródło, skąd został wzięty, a to znów dla Petersburga, gdzie jeszcze raz badano poprawność wyrażania się przez dzienniki lwowskie. Kiedy już po długich targach, interpelacyach i dowodzeniach numer został ocenzurowany, t. zn. pokreślony cały, wówczas nie koniec jeszcze było pretensyom cenzora, bo o ile niekulturalnie postępował bez liczniejszych świadków, to na zewnątrz pysznić się chciał wspaniałomyślną tolerancyą, każąc dla zmylenia czujności czytelników wykreślone miejsca — nieraz szpalty całe — wypełniać zadrukowaniem. Ponieważ zaś i te nowe wstawki musiały być ocenzurowane, zatem przynosić trzeba było ze sobą przygotowane już w tym celu artykuły i notatki, które o ile uznane zostały przez p. Zawadowskiego, mogły być użyte do wypełnienia luk, sprawionych barbarzyńskim ołówkiem jego. W ten sposób publiczność dostawała zawsze do rąk całkiem czysto zadrukowany dziennik i nie rzadko słyszeć można było zdziwienie, że jeśli cenzura jest tak wyrozumiała, to dlaczego gazety tak oględnie o rzeczach niektórych się wyrażają, nie korzystając ze swobody. Podobnie też wyrażały się niejednokrotnie dzienniki rosyjskie, konstatujące z pewnego rodzaju zdziwieniem fakt, iż pisma lwowskie nie posiadają miejsc pustych, a tak trudno spotkać się w nich z jakimś artykułem programowym, oryginalnym, a nie tylko referującym, powtórzonym za innymi. Zdziwienie to ich możnaby odrazu rozprószyć, gdyby p. cenzor pozwolił wyjaśnić publicznie

metody i praktyki swoje barbarzyńskie, godne średniowiecza. O tem jednak i myśleć nie można było.

Miarę taką przykładało się tylko do dzienników polskich, bo w interesie p. cenzora leżało, by na zewnątrz czyniły one wrażenie, iż lepiej są traktowane, niż np. przez władze poprzednie. Kiedy jednak zatargi poważne między Rosyanami a miejscowymi rusofilami odbijać się poczęły fatalnie na nielitościwie kreślonej „Prykarpatskiej Rusi", wówczas obserwować można było całkiem co innego, a mianowicie gazeta ta formalnie błyszczała pustemi kolumnami i to w stopniu, który nigdy może nie trafił się dziennikom polskim. Tendencya tego była całkiem jasna, „Prykarpatską Ruś" czytał nie Zawadowski, lecz ktoś inny z cenzorów Rosyan, który kreślił wszystkie napaści redakcyi na Polaków, „Mazepińców" i żydów, których wreszcie dość było nawet samym Moskalom, jako że widzieli w tem tylko osobiste lub partyjne porachunki. Prześladowana „Prykarpatskaja Ruś" musiała krzywdy swe okazać publicznie, a zatem p. Zawadowski nie miał nic przeciw temu, by wszystkie te skreślone szpalty widniały białemi plamami na dowód jak to uciskani „Galiczanie" i od opiekunów swych cierpieć muszą — trzeba się było poskarżyć przed archirejem Eulogiuszem! Rosyanom było to obojętne, bo nie od nich wyszedł nakaz wypełniania miejsc pustych w dziennikach po skreśleniu w nich artykułów pewnych — był to pomysł „rodzimego" Rosyanina, który umiał grać na poglądach i zapatrywaniach ludności miejscowej. Kiedy się jednak rosyjscy urzędnicy cenzury zoryentowali w metodach p. Zawadowskiego wówczas już nie mieli nic przeciw temu, że z kolei wzięli się Moskale na ostro i do tutejszych nieprawnych Rosyan, przekonując się naocznie z kim właściwie mają do czynienia — zna-

czenie tych ostatnich straciło całkiem na kursie, uwieńczone w końcowym rezultacie całkowitem prawie fiaskiem. O tem jednak na innem miejscu!

Zarządził p. Zawadowski jeszcze i inne poufne przepisy dla redaktorów, wyszukując codziennie coraz to nowe, zamiast odrazu podać je do wiadomości wszystkich drukiem. Jak jednak urządził się chytrze ze skreśleniami, tak i w tych przepisach przeświecała mu myśl podobna — zdawał sobie sprawę, iż kompromitują one człowieka cywilizowanego, uznającego prawa drugich, i dlatego wolał o nich mniej otwarcie decydować, wolał, by na nieświadomych rzeczy czyniły wrażenie dobrowolnego skłaniania się przed potęgą cara. I istotnie, oburzyło wszystkich niemal w mieście, kiedy razu pewnego u nagłówków dzienników zauważyli obok daty kalendarza zwykłego także i datę rosyjską, a następnie datę naszą w nawiasie, a rosyjską bez. Wielu wzięło to na karb dobrowolnej uległości wobec Rosyan, nie wiedząc, że stało się na mocy kategorycznego rozkazu, jak z rozkazu używało się terminu „ruski“ zamiast rosyjski (najczęściej skreślał p. cenzor termin „russki“, jeśli przez dwa ss był pisany, ponieważ odczuwał w tem demonstracyjne odróżnianie pojęcia „ruski“ — inaczej ukraiński — od „russki“, inaczej rosyjski), lub z rozkazu kładło się u końca dziennika sakramentalne „dozwolone przez cenzurę wojenną“. Rozkaz też specyalny normował używanie nowego miana dla dawnego Petersburga, a już bardzo ostro przestrzegano pomieszczanie rozkazów, obwieszczeń, doniesień urzędowych na samym czele pisma, choćby to nawet była tak ważna wiadomość, jak np. że pomocnikiem jakiegoś innego pomocnika p. gradonaczelnika został pan X. Nie wiedzieli też ludzie, dlaczego nawet poważniejsze dzienniki używały skandalicznej

polszczyzny w owych obwieszczeniach, a szkoda że nie dowiedzieli się w czas, iż bezwarunkowo nie można było w nich niczego zmieniać, chociaż błąd był najwidoczniejszy, a co lepsze, nawet uznany przez panów z urzędu. Cierpieć wszystko to trzeba było, celem dokładnego przekonania się jak potężną jest i wszechmocną Rosya, jak dalekosięgłą jest kompetencya jej czynowników, poprawiających gramatykę.

Obowiązki prasy określało kilka rozporządzeń specyalnych, wydanych naprzód przez gubernatora Szeremetjewa, a następnie ściśle ujętych w „Postanowieniu obowiązującem". Już 10. września 1914 r. na konferencyi redaktorów pism lwowskich u hr. Szeremetjewa, podano urzędownie do ich wiadomości następujące rozporządzenie, normujące w głównych zarysach zachowanie się dzienników:

> „Winni wydrukowania w wydawanych pismach wiadomości albo rysunków pomimo zakazu wojennej cenzury, karani będą grzywną od 500 do 10.000 rubli, albo aresztem w więzieniu od 2 miesięcy do 1 roku. Prócz tego, przy powtórzeniu się podobnych występków, wydawnictwo pisma ma być wstrzymane na cały czas cenzury wojennej. Winni wydrukowania w wydawanych pismach wiadomości lub rysunków bez pozwolenia wojennej cenzury, karani będą grzywną od 100 do 2.000 rubli".

W kilka zaś dni potem uzupełniono to rozporządzenie następującymi przepisami szczegółowymi, zabraniając prasie ogłaszanie:

„1. Wiadomości o organizacyi, składzie i liczebności wszelkiego rodzaju oddziałów wojskowych, również o dyslokacyi tych oddziałów.

2. O uzbrojeniu, wyekwipowaniu, umundurowaniu, zaopatrzeniu w żywność, stanie sanitarnym, wartości bojowej i o wszelkiego rodzaju szczegółach o zaopatrzeniu technicznem armii i floty i oddziałów poszczególnych.

3. O stanie obecnym uzbrojenia i organizacyi, o zaopatrzeniu we wszelkiego rodzaju zapasy i o znaczeniu w razie wojny twierdz, fortyfikacyi i punktów obrony (podstaw i portów wojennych), również o planowaniu, budowie nowych fortyfikacyi i rozszerzaniu lub znoszeniu już istniejących, o liczebności i składzie ich garnizonów.

4. O miejscach przebywania oddziałów i o ich przemarszach oraz o urządzeniach dobrowolnej pomocy sanitarnej.

5. O dokonaniu wszelkiego rodzaju robót w twierdzach, fortyfikacyach i miejscach obronnych (podstawach, fortach wojennych i na okrętach wojennych), o przygotowaniu pozycyi.

6. O zdolności przewozowej, stanie technicznym kolei żelaznej i o robotach, mających na celu wzmocnienie tej zdolności przewozowej; również o działalności kolei w sprawie przewozu wojsk i ładunków wojskowych.

7. O stanie technicznym, liczbie, długości i kierunku istniejących, oraz o budowie nowych linii i stacyi telegraficznych, o stacyach telegrafu bez drutu.

8. O podróżach i przejazdach komendantów poszczególnych oddziałów i wojskowych wyższego stopnia.

9. O manewrowaniu bojowem i strzelaniu.

10. O manewrach i koncentrowaniu wojsk.

11. O zarządzeniach wojskowych i dotyczących floty.

12. O wnioskach z powodu akcyi wojennej armii i floty.

13. O wszelkiego rodzaju przygotowaniach i składach na potrzeby wojska i marynarki.

14. O schwytaniu szpiegów, sądzeniu ich i wykonywaniu nad nimi wyroków.

15. O zdjęciach fotograficznych, sztychach, rysunkach i t. p. reprodukcyach, któreby mogły dać informacye, nie kwalifikujące się do publikacyi według wykazu niniejszego".

Z racyi tych postanowień nie można było wspominać w pismach o cholerze grasującej wśród żołnierzy rosyjskich we Lwowie i innych miejscowościach, a raz nawet skreślono notatkę o cholerze, niszczącej ludność w Mikołajowie nad Dniestrem. Autor notatki tej apelował do lekarzy lwowskich, by zechcieli z pomocą przyjść biednej ludności, ale w cenzurze nie pozwolono pomieścić artykułu, ponieważ Mikołajów to twierdza, a w twierdzy nie może być cholery, chociaż może ona nawet trzydzieści osób dziennie zabierać. Przy wyliczaniu zmarłych na tę chorobę nie można było podawać, iż są to żołnierze z tego lub owego oddziału, a później skreślano nawet, że zmarły był wogóle żołnierzem. Podobnie, pisać nie wolno było o żołnierzach jako rabusiach we Lwowie, a że zajścia takie miejsce miały

codziennie, zatem mówiło się o nich jako o dokonanych „przez nieznanych sprawców“, albo przez nieznanych ludzi przebranych w mundury żołnierskie! Określenia te dystyngowane prędko przyswoiła sobie publika czytająca, wiedząc doskonale kogo należy rozumieć pod nieznanymi owymi sprawcami. Bez specyalnego porozumienia się dzienników z czytelnikami potrafili ci odrazu zoryentować się w podobnych przenośniach, a policya tryumfowała, że opryszkami są tylko ludzie miejscowi, chociaż bliżej nieznani. Nie cierpiała też cenzura choćby najdrobniejszych wzmianek o współczuciu i dobrem sercu, okazywanem przez Lwowian jeńcom austryackim lub inwalidom, a z całą bezwzględnością skreśliła raz w jednym dzienniku dłuższy artykuł na temat wspomnianych już przez nas prac młodzieży z Łyczakowa, około uporządkowania grobów na cmentarzu żołnierzy austryackich. Samo zaś przez się rozumiało się, że nawet słówkiem jednem nie można było wspomnieć o grabieniu mieszkań prywatnych przez oficerów i urzędników, ponieważ grabież taka była — nawet na podstawie ogłoszenia gubernatora — zwykłą zbrodnią, a zbrodni dopuszczać się mogą oficerowie i urzędnicy rosyjscy w praktyce, ale nie w teoryi. W teoryi też, t. zn. w dziennikach, mieli oni miejsce z konieczności całkiem przyzwoite, ale w oczach ludności bynajmniej nie bez ale. Na straży bowiem dobrego ich imienia stał nie honor, lecz troskliwa cenzura, a ta w Rosyi jest wszechpotężna.

Uzupełnienie powyższych rozporządzeń okazało się następnie pod datą 2. października (now. st.) Podajemy je w tekście dosłownym:

„Postanowienia obowiązujące.

Wojenny General-Gubernator General-Lejtenant Hrabia Bobryńskij na mocy p. p. 1., 2. i 3. artykułu 19, prawa o miejscowościach ogłoszonych na stopie wojennej

Postanowił:

1. Zabrania się we Lwowie we wszystkich wydaniach druku, bez poprzedniego wojennego cenzurowania, umieszczać jakichkolwiek wiadomości dotyczących się działań wojennych i działań rosyjskich władz rządowych, a także i osądzania zagadnień wojskowych, politycznych i ogólno-państwowych.

2. Zabrania się drukowanie i rozpowszechnianie afiszy, ogłoszeń, wszelkiego rodzaju dodatków, rysunków, bez poprzedniego pozwolenia miejscowych władz policyjnych.

3. Zabrania się wydawnictwa drukarniom, litografiom itp. przedsiębiorstwom wszelkiego rodzaju przedmiotów druku bez oznaczenia nazwiska właściciela firmy i podania jego adresu.

4. Zabrania się sprzedawania w księgarniach, kioskach, jak również wydawanie z bibliotek książek do czytania w języku rosyjskim i mało-rosyjskiem narzeczu, jeżeli takowe wydane były nie w granicach Państwa Rossyjskiego. Wszystkie książki tego rodzaju powinny być złożone w oddzielnem miejscu, wskazanem przez władze miejscowe.

5. Zabrania się sprzedaży książek i wydawania takowych do czytania, z bibliotek we wszelkich innych językach i narzeczach, jeżeli treść książek jest wrogą rossyjskiemu rządowi i rossyjskiemu narodowi.

6. Zabrania się przedstawień na scenach sztuk i repertuarów zabronionych przez rossyjską cenzurę, również urządzanie koncertów i wszelkiego rodzaju lekcyi, bez poprzedniego zezwolenia miejscowych władz policyjnych.

7. Zabrania się przedstawień kinematograficznych bez poprzedniego ocenzurowania film przez miejscową policyę.

Winni przekroczenia niniejszego postanowienia, karani będą w drodze administracyjnej do trzech miesięcy, albo też karą pieniężną do trzech tysięcy rubli.

Wykonanie niniejszego postanowienia poleca się Gubernatorowi i Lwowskiemu Gradonaczelnikowi z urzędu, przyczem, stosowane na winnych kary wykonują się niezwłocznie.

Lwów, dnia 19-go września 1914 roku.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Lejtenant
Podpisał: Hrabia *Bobryńskij*".

Niektóre punkty tego postanowienia były specyalnie doniosłe w znaczeniu dla ówczesnego życia we Lwowie, a mianowicie ucierpieli przez nie ludzie którzy korzystając z sposobności, oddać się chcieli pracy naukowej, względnie umysłowej, do czego, oczywiście, potrzebowali bibliotek otwartych. Biblioteka Ossolińskich, Uniwersytecka, Baworowskiego, Pawlikowskich, Tow. im. Szewczenki, Narodnego Domu i inne musiały być zamknięte dla czytających, ponieważ na propozycyę, by z zbiorów swych wyłączyły wszystkie książki ukraińskie, a także i polskie, nie cenzurowane w Rosyi, nie mogły nic innego zrobić

jak wogóle zamknąć dostęp do książnic swych, chroniąc w ten sposób od rujnowania porządku, a zapewne i od stracenia na zawsze części wielkiej skarbów. W ten sposób stworzono mimo swej woli ogromną w pracy przeszkodę, którą tylko wielkimi zabiegami omijać trzeba było, ale nie zawsze ominąć się dawało.

Księgarnie urządziły się w ten sposób, że zakazanych książek nie wydawały, ale sprzedaży nie zawiesiły; zamknąć tylko musiano całkowicie księgarnię Tow. im. Szewczenki i zdaje się, że o nią to najwięcej chodziło władzom, ponieważ wielu żołnierzy i oficerów zaraz po wkroczeniu do Lwowa zgłaszało się do niej, pytając przedewszystkiem za książkami, nietolerowanemi w Rosyi, co oczywiście nie mogło się podobać przełożonym.

Z chwilą upewnienia się po bitwie pod Wereszycą co do stałego już rzekomo zdobycia Galicyi ze Lwowem poczęto się w Petersburgu krzątać koło wprowadzenia w zajętym kraju nowych porządków z pomocą rozległego aparatu administracyjnego. Przejściowy rząd wojskowy ustąpić musiał bardzo szybko miejsca cywilnemu, o większym zakresie działania, tudzież o innych środkach i celach tego działania. W połowie września doniosła Petersburska Agencya Telegraficzna z Kijowa, że wódz naczelny Mikołaj Mikołajewicz rozkazał utworzyć na teatrze operacyi wojennych w granicach Austro-Węgier osobne generał-gubernatorstwo, podlegające główno-dowodzącemu armiami południowo-zachodniego frontu. Pierwszym generał-gubernatorem Galicyi wschodniej zamianowany został wobec tego Jerzy hr. Bobrińskij, bratanek osławionego protektora „Rosyan“ galicyjskich i posła do Dumy hr. Włodzimierza Bobryńskiego. W obrębie generał-gubernatorstwa galicyjskiego zarządzono utworzenie czterech guberni, a miano-

wicie lwowskiej, halickiej, przemyskiej i czerniowieckiej, ustanawiając dla dwu pierwszych gubernatorami — radcę stanu M. Mielnikowa i ks. Czartoryskiego. Gubernator lwowski Mielnikow przybył już 4. września do Brodów, mając ze sobą urzędników kancelaryi gubernialnej i naczelników powiatowych, z którymi zjechał następnie do Lwowa. Gubernator Czartoryżskij urzędował w Tarnopolu.

Do Lwowa przyjechał generał-gubernator Georgij Bobryński 18. września i odrazu ulokował się w pałacu namiestnikowskim. Z przybyciem jego ustał urząd gubernatora wojennego, którym był pułkownik Szeremetjew, a funkcye jego przeszły na gradonaczelnika, postanowionego w osobie generała Eichego, który znów zajął gmach Banku austro-węgierskiego. Pomocnikiem jego mianowany został podpułkownik Fatjanow. Nowy gradonaczelnik złożył wizytę prezydentowi Rutowskiemu, a następnie odbył z trzema członkami prezydyum miasta dłuższą konferencyę. Zaznaczył on podobnie jak gubernator Szeremetjew, że nie przybył robić polityki i wyraził się, że nie chce żadnej polityki w mieście, ale rząda od rządu miejskiego trzech rzeczy: 1. spokoju w mieście, 2. zachowania czystości i dobrege stanu sanitarnego, 3. zapobieżenia brakowi żywności.

O zajściach tych w administracyi zawiadomiono ludność za pomocą następującego komunikatu, przesłanego do wszystkich dzienników dnia 22. września 1914 r.:

„J. E. hr. Bobriński objął rządy kraju jako Generał-Gubernator.

Z przybyciem Generał-Gubernatora urząd Gubernatora Wojennego miasta Lwowa, którym był J. E. pułkownik Cheremetjew, ustaje.

Funkcje Gubernatora Wojennego przeszły na Generała-Gubernatora, który zamianował Grado-Naczelnikiem (prefektem) miasta generała Eiche, który urzędować będzie w Banku austro-węgierskim.

Generał Eiche wprowadza Komisyę aprowizacyjną, do której wchodzi dwóch delegatów m. Lwowa.

Na czele całej służby sanitarnej, szpitali i baraków stoi generał bar. Knorring, który zamieszkał w gmachu Namiestnictwa.

Sprawy kolei żelaznych podlegają inżynierowi Budowiczowi, który urzęduje na dworcu głównym".

Z objęciem rządów w zajętym kraju przez generał-gubernatora, jako najwyższego przedstawiciela władz rosyjskich, spadł na reprezentantów społeczeństwa i ludności Lwowa ciężki obowiązek przedstawienia się mu oficyalnego. Z radością i gorliwością największą pospieszyli z tem naprzód przedstawiciele „prykarpatskich Rosyan", którzy jeszcze w czasie ostatniego procesu Bendasiuka zapewniali święcie, iż najlojalniejszymi są obywatelami Austryi, a tylko kulturalnie skłaniają się ku Rosyi. Dowód zaś tego złożyli niezwykły przy tej właśnie — chociaż nie tylko przy tej jednej — sposobności.

We wtorek dnia 22. września 1914 r. zgłosiła się u Bobryńskiego deputacya „prykarpatskich Rosyan", złożona z przedstawicieli 19 jakoby towarzystw kulturalnych, oświatowych i ekonomicznych, o których wprawdzie nikt przedtem nie słyszał, ale które na zamówienie odrazu się zjawiły, chociaż dziwnie się jakoś składało, że tych samych kilkunastu ludzi członkami było wszystkich tych organizacyi odrazu, stanowiąc równocześnie i reprezentacyę ich. Charakterystyczne jest, że nawet „Prykarpatska Ruś", tak

pilnie zawsze zabiegająca o uwiecznienie „swoich ludzi“, uważała za stosowniejsze nie wyliczać tych 19 towarzystw, ani ich reprezentantów, bo dziwnie monotonnie lub nic nie mówiąco brzmiały te wszystkie miana. Liczba jednak była, a o nią przedewszystkiem chodziło. O 10. godzinie rano poczęli się jawić w wielkiej sali przyjęć w pałacu namiestnikowskim, witani przez starszego urzędnika do specyalnych poleceń przy generał-gubernatorze, Husarskiego, — jak notuje „Prykarpatskaja Ruś“ — pozostali przy życiu i na wolności członkowie Narodnej Rady Gal. Rusi i przedstawiciele innych organizacyi. „Narodnij Sawjet“ składał się w tym czasie z kilkunastu osób, które równocześnie reprezentowały sobą wszystkie wogóle towarzystwa rusofilskie, a równocześnie ich skład w komplecie. Przewodniczącym Rady był dr. Wł. Dudykiewicz, zastępcą jego dr. I. Dobryański, a sekretarzem dr. M. Sochocki. Członkami zaś byli: dr. A. Aleksiewicz, M. Hnatyszak, dr. M. Głuszkiewicz, ks. I. Dawydowicz, dr. I. Zawadowski, W. Kołdra, ks. I. Kostecki, ks. I. Krasicki, S. Łabenski, dr. W. Łahoła, E. Łużecki, J. Łucyk, dr. O. Markow, ks. M. Pakiż, ks. W. Swaryczewski, F. Swistun, dr. J. Siokało, N. Tretiak, K. Tychowski, Z. Filipowski, dr. J. Jaworski. Wszystkich ich przyjął ge...-gub. Bobryński, stając w otoczeniu wojskowych i cywilnych przed zebranymi z Wł. Dudykiewiczem na czele. Na niskie ukłony odpowiedział podaniem ręki Wł. Dudykiewiczowi, który zwrócił się doń z przemową.

Po przemówieniu w te słowa zbliżył się hr. Bobryński ku drowi Dudykiewiczowi i objąwszy go, pocałował trzykrotnie, na co ten oświadczył, iż przyjmuje pocałunek, jako bratni dla swojej ojczyzny i prosi o pozwolenie przedstawienia gubernatorowi członków deputacyi. Po odbytem przedstawieniu przesłuchanie zostało skończone.

Na życzenie deputacyi wystosował gubernator wiernopoddańczą depeszę do cara:

W mieście przeszła ta cała historya u gubernatora bez najmniejszego wrażenia — wszyscy aż nadto wiedzieli, co o sprawach podobnych myśleć, a dla nikogo wątpliwem nie było, jak przy sposobności tej zachowają się „prykarpatscy Rosyanie“, słabo obznajomieni z językiem rosyjskim, ale mocno uważający się za „istynnych“ Rosyan. W prasie zaś rosyjskiej rozczulano się najbardziej nad mową dra Dudykiewicza z racyi jej taktu, a to dlatego,

że mowca wspominając o armii austryackiej nazwał ją — jako nieprzyjaciel — „mężną armią austryacką“. Równocześnie jednak jako rzecz najzupełniej naturalną przyjmowano perfidne zapewnienia Dudykiewicza o sumiennie zawsze spełnianych wobec Monarchii obowiązkach, o całkowitej niewinności „russkich ludzi“, (których Bogu ducha winnych ciągano po sądach za takie drobnostki, jak n. p. szpiegowanie w całym kraju przez szereg lat długich) itp. naiwności w „politycznej i taktownej“ mowie dra Dudykiewicza.

Nazajutrz po przyjęciu deputacyi rusofilskiej odbyło się przedstawienie się hr. Bobryńskiemu reprezentantów duchowieństwa (polskiego, ukraińskiego i ormiańskiego), miasta, sądu i prokuratoryi. Imieniem miasta przybyli: prez. dr. Rutowski, wiceprezydenci dr. Stahl i dr. Schleicher, wreszcie, jako delegaci radnych miejskich, pp.: Schneider, dr. Dylewski, dr. Chlamtacz, dr. Pieracki, dr. Starzewski, dr. Obmiński, Ihnatowicz, Włodzimirski, Halski, Lewicki, Wczelak, ks. Szydelski i dr. Stesłowicz. Duchowieństwo rzym.-kat. reprezentował arcyb. Bilczewski, ormiańskie arcybiskup Teodorowicz, gr.-kat. ks. mitrat Bielecki. Gminę żydowską reprezentował ortodoksyjny rabin dr. Braude i postępowy dr. Hauser. Na czele reprezentacyi sądownictwa i prokuratoryi jawili się pp. Przyłuski i Barth. Stawili się też wszyscy zakładnicy miasta, których po posłuchaniu uwolnił gubernator od odpowiedzialności.

Przyjęcie odbyło się rano o godzinie 10-tej w wielkiej sali przyjęć w pałacu namiestnikowskim. Do generał-gubernatora zwrócił się imieniem delegacyi prez. dr. T. Rutowski z następującem przemówieniem w języku polskim:

„Mam zaszczyt przedstawić W. E. prezydyum stoł. król. m. Lwowa, oraz grono wybitnych przedstawicieli Rady tego miasta.

„Nie bez przyczynienia się naszego — wojska Monarchii austryacko-węgierskiej ustąpiły ze Lwowa bez wystrzału — gród nasz nie był przedmiotem walki.

„Ludność tego prastarego słowiańskiego i polskiego grodu, przyjęła zwycięzką armię ze spokojem, godnością i ufnością. Pewni jesteśmy, że W. E. jest powiadomioną, że przechodzące i okupujące wojska znalazły tu w niemałej mierze nie jedną ulgę i ułatwienie.

„Niech mi wolno będzie przy tej sposobności, wyrazić wdzięczność miasta byłemu gubernatorowi wojennemu, który umiał łagodzić najcięższe chwile.

„Obejmujesz Ekscelencyo, Dostojny Panie Gubernatorze, ster rządów w okupowanym kraju i jego stolicy, gdy zaledwie przed niewielu dniami słychać było grzmoty dział nieopodal naszego miasta.

„Pozwól Ekscelencyo, że w tak ciężkiej chwili, u progu Twoich rządów — już nie wyłącznie wojskowych, wyrazimy nadzieję, że ta stolica, ten królewski gród o wielkiej dziejowej przeszłości, — a zarazem żywe, wielkie nowoczesne miasto, w którem dopiero co straszna wojna przerwała bujne życie, kulturalną pracę na wszystkich polach, postęp i pełny rozwój, znajdzie w W. Eksc. zrozumienie i życzliwą opiekę.

„Dochodzą nas zewsząd wieści, — tuszymy prawdziwe, że w wysokiej kulturze, szlachetności uczuć i doświadczenia W. Eksc. Panie Gen. Gubernatorze, znajdziemy orędownika, któremu też z ufnością oddajemy losy naszego miasta.

„W tej chwili i na tem miejscu, zanosimy do Ciebie Dostojny Panie Gen. Gubernatorze gorącą prośbę, ażebyś umożliwił co rychlej prawidłowe funkcyonowanie Zarządu miasta i jego gospodarczych, kulturalnych i humanitarnych zakładów, — administracyi, która jedyna przetrwała ostatnie przesilenie, gdy zawiodły wszystkie inne, kraj i państwo.

„Prosimy też, Ekscelencyo, Dostojny Panie Gubernatorze, abyś raczył przyjść z pomocą gminie miasta i jego mieszkańcom, gdzie siły nasze wobec ogromu konieczności spadłych na miasto w zastępstwie innych czynników do tego normalnie obowiązanych, sprostać nie mogą.

„O to Cię prosimy w imieniu król. miasta Lwowa, stolicy tego kraju".

Przemowę tę całą wygłosił prez. Rutowski w języku polskim, wobec czego musiał ją tłumacz przełożyć na rosyjski, poczem dopiero hr. Bobryński odpowiedział (po rosyjsku) w dłuższej mowie, którą cytujemy według urzędowego przekładu, opublikowanego za pomocą plakatów. Nadmienić jednak musimy przy sposobności, że istnieją dwie publikowane afiszami redakcye, odmienne nieco, tego przemówienia gen. gubernatora; obydwa plakaty nie były wcale rozlepiane we Lwowie i zdaje się, że przeznaczone były tylko dla prowincyi. Jeden plakat większych rozmiarów, drukowany — zdaje się — tylko dla redakcyi dzienników ma tytuł: „Mowa Wojennego Jenerał Gubernatora Galicyi Jaśnie Wielmożnego Pana Hrabiego Bobrińskiego wygłoszona 9. września (22.) 1914 roku przy przyjęciu Deputacyi". Dalszy tekst wyraża się o hr. Bobryńskim jako osobie wygłaszającej przemowę (Jaśnie Wielmożny Pan

Hrabia dziękuje Panom... itd.) i ta właśnie forma polecona była do publikowania w dziennikach. Zwrócić zaś jeszcze należy uwagę na błąd w tytule, a mianowicie na mylną datę przyjęcia, które odbyło się nie 22., lecz 23. września (10. września st. st.) 1914 r.

Tytuł innego wydania tej samej mowy (plakat wielkich rozmiarów w dwu kolumnach: rosyjskiej i polskiej) opiewa następująco: „Mowa wojennego Jenerał Gubernatora Galicyi, wygłoszona 10. września (23.) 1914 roku przy przyjęciu Polskiej Deputacyi“. Pomyłka wspomniana w dacie została tu już poprawiona, a przy deputacyi, nadmienione jest, iż była ona polską, czego niema w plakacie poprzednim. Zresztą, treść dalsza przytoczona jest wprost. Plakat ten drukowany był — zdaje się — dla prowincyi, bo we Lwowie nie rozlepiano go. Na jego też podstawie przytaczamy zatem odpowiedź hr. Bobryńskiego, który przemówił następująco do deputacyi:

„Dziękuję Panom za porządek i spokój w mieście. Chętnie wierzę, że i nadal znajdę ze strony Panów zupełną i szczerą pomoc w nadchodzącej pracy. Od Was Panowie zależeć będzie utwierdzić zaufanie moje do Was, gdyż bezeń żadna wspólna praca nie jest możliwa i pożyteczna.

„Uważam za niezbędne zapoznać Was Panowie z kierunkami obecnej mej działalności.

„Przedewszystkiem wschodnia Galicya i Łemkowszczyzna z dawien dawna stanowiły rdzenną część jedynej wielkiej Rusi. Na tych ziemiach rdzenna ludność zawsze była russką, a zatem układ na tych ziemiach powinien się zasadzać na pierwiastkach russkich. Będę tu wprowadzać russki język, prawo

i urządzenie państwowe. Pierwiastki te rozumie się będą wprowadzane z pewną stopniowością, gdyż uważam za potrzebne w interesach ogółu ludności nie gwałcić normalnego biegu życia w kraju.

„Wobec tego na początek ograniczę się na mianowaniu russkich gubernatorów, russkich naczelników powiatów i russkiej policyi. Wszelkie zaś organy miejscowego samorządu, jak: magistraty, włościańskie gminy i t. p. dopuszczę do pełnienia obowiązków, rozumie się pod warunkiem, że organy te okażą się wiernymi dla rossyjskiej władzy. Sejm nie będzie zwołany. Posiedzeń Rad powiatowych, Rad miejskich i Rad gminnych zabrania się. Działalność wszelkich stowarzyszeń, zgromadzeń, związków społecznych na cały czas akcyi wojennej zawiesza się. Otwarcie działalności tychże towarzystw może nastąpić jedynie za szczególnem mojem pozwoleniem i to w każdym osobnym wypadku.

„Wszystko wyżej wypowiedziane odnosi się wyłącznie do rdzennej russkiej ziemi.

„Historyczna przeszłość zachodniej Galicyi zupełnie inna. Ludność jej — polska. Kiedy wojska nasze oswobodzą tę część Galicyi, to z radością zastosuję tam zasady wyrzeczone w wezwaniu Najwyższego Głównodowodzącego Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza do polskiego narodu, rozumie się, oczywiście pod warunkiem, że polski naród okaże dla wojsk rosyjskich i władzy russkiej życzliwość. Jestem pewny, że polski naród powołany przez Rosyę do nowej jasnej przyszłości, zrozumie pełnię znaczenia dlań obecnej dziejowej chwili.

„Zwracając się do Przew. Księży Biskupów zaznaczam, że nie czynię żadnych różnic w kwestyi religijnej między obydwiema częściami Galicyi. Hasłem mojem jest: zupełne uszanowanie wszelkich wyznań i zupełna tolerancya. Duchowieństwo chwała Bogu ma ogromny wpływ na naród i dlatego od duchowieństwa zależeć będzie wpłynąć na duchowy spokój narodu, silnie wstrząśniętego klęskami. Żadnych zaś jawnych lub skrytych wystąpień skierowanych przeciw prawosławnej wierze niedopuszczę.

„W obecnym czasie mam do spełnienia włożone dwa zadania: pierwsze z nich wszelkiemi środkami zabezpieczyć byt naszej armii, aby wojska nasze zwycięsko postępowały naprzód, nie oglądając się wstecz, a druga — to troska co do urządzenia zajętych przez nas części Galicyi i troska co do potrzeb spokojnej ludności. Rozumie się, że z tych dwóch zadań główną jest pierwsza. W miarę sił i możności zajmę się i drugą kwestyą.

„Praca twórcza szczególnie w obecnych warunkach wymaga czasu, dlatego też wzywam Panów zachować konieczną cierpliwość. Pod tym względem pomoc tak Wasza Panowie, jak zarówno pomoc ze strony ludności, będzie dla mnie nadzwyczaj cenną i dodatnią, pozwoli mi pracować dla dobra kraju. Korzystam ze sposobności widzenia się z Panami, aby stanowczo zaznaczyć i za pośrednictwem Panów przestrzedz wszystką ludność Galicyi, że najmniejszy zamiar sposobem tajnym lub jawnym przeciwdziałania rządowym rozporządzeniom, będę karać, stosując wszelki rygor wojennego czasu i polowego sądu, nie

bacząc ani na stanowisko ani na stan i nie ustępując przed żadnymi ubocznymi względami.

„Wiadomym jest Panom szeroki zakres udzielonej mnie władzy dla ukrócenia przestępstw przeciw russkiej państwowości, jednakże mam nadzieję, że nie będę zmuszony uciekać się do takowych. Do tych zaś, którzy okażą działalności mej szczere współczucie i współdziałanie, odniosę się z pełnem zaufaniem i z gotowością zadośćuczynię wszelkim rozumnym życzeniom.

„Biedna ludność Galicyi wiele ucierpiała z powodu wojny. Daj Boże, ażebyśmy wspólnemi siłami jak najprędzej uspokoili ludność i dali jej dobrobyt, na który mają prawo liczyć wszyscy wiernopoddani Najjaśniejszego Pana Cesarza Rossyi".

Po tej mowie gen. gubernatora prez. Rutowski przedstawił mu wszystkich z osobna członków deputacyi, z którymi hr. Bobryński zamienił słów kilka, oświadczając zakładnikom, że uwalnia ich od wszelkiej odpowiedzialności. Na tem skończyła się cała ceremonia.

Kiedy mieszkańcy Lwowa zaznajomili się przez dzienniki z tekstami obu przemówień, wrażenie bezsprzecznie największe sprawiła rzecz prez. dra Rutowskiego, który zaskarbił też sobie nią największe zaufanie u wszystkich, wdzięcznych mu za nieugięte stanowisko bezkompromisowe. Co do mowy hr. Bobryńskiego, to ile napomykała ona coś o jakichś obietnicach, przyjęta została zupełnie obojętnie, bo nikt na nic nie liczył i niczego się nie spodziewał dobrego, ale zawarte w niej zapewnienia o traktowaniu ruskiej i polskiej części kraju, zabronienie posiedzeń rad powiatowych i miejskich, zawieszenie wszelkich towarzystw

organizacyi, a wreszcie wzmianka o sejmie, tudzież o rzekomej tolerancyi religijnej (potrzeba zapewnienia której już sama najlepiej świadczyła, czego się po niej będą mogli spodziewać unici) najzupełniej wystarczająco pouczyły wszystkich o przyszłych „przyjaznych" stosunkach, zwłaszcza, że w ślad za mową hr. Bobryńskiego poszły i jej zapowiedzie najrozmaitsze. Jednem słowem, widziano błahe obietnice, a równocześnie dwuznacznie wypowiedziane zapewnienia tępienia polszczyzny. Wystarczało to najzupełniej, by odpowiednio ustosunkować się do enuncyacyi hr. Bobryńskiego.

We Lwowie ujemne wrażenie sprawiła mowa Bobryńskiego, a z niezadowoleniem spotkała się w Rosyi mowa dra Rutowskiego, której zarzucono to, dlaczego się ona właśnie ogólnie podobała we Lwowie. Czarnosocinny „Kijewlanin" (nr. 256 z 25. września) tak się o niej wyraża: „rzecz ta, całkiem możliwie, — nowy dowód tego nastroju Polaków austryackich, na krańcowym biegunie którego stoją sokolskie drużyny, strzelające do wojsk rosyjskich kulami eksplodującemi... W zawojowanym kraju pozostały niewątpliwie bardziej umiarkowane elementy, albo ci, którzy nie mogli uciec. Rutowski, naturalnie, mógł mówić i mówił w imieniu pozostałej na miejscu ludności polskiej Lwowa"... W innem miejscu powiada tensam „Kijewlanin": „Być może, po tak płomiennym i szczerym apelu do uczuć bratnich narodu polskiego, rozbrzmiewającym w odezwie Naczelnego Wodza, mieliśmy prawo spodziewać się czegoś bardziej szczerego i serdecznego niźli ta ostrożna i wymijająca mowa, z którą wystąpił na audyencyi u hr. Bobryńskiego prezydent lwowskiego zarządu miejskiego dr. Rutowski. Przedstawiciel polskiego samorządu we Lwowie w chwili znamiennej, przeżywanej przez stolicę Galicyi,

nie znalazł dla swego krasomówstwa innego zastosowania, oprócz wytrwałego podkreślania okoliczności, iż Lwów jest austryackim grodem stołecznym i że Galicya jest krajem zdobytym, odwołującym się do uczuć humanitarnych, wspaniałomyślności i szlachetności zdobywców... charakteryzuje mowę dra Rutowskiego chłodna ostrożność, oględność, nieufność i ukryta niechęć, potwierdzająca te informacye o zajętem w wojnie obecnej przez Polaków galicyjskich stanowisku, które dochodzą do nas"... (porówn. „Dziennik Kijowski", nr. 247 z 30. września 1914).

Był jeden moment w całej tej uroczystości, na pozór bardzo drobny, ale w kilka dni potem dość roztrząsany, a mianowicie zwolnienie przez hr. Bobrińskiego wszystkich zakładników od odpowiedzialności. Z chwilą tą nie ręczyli już oni swojemi głowami, a dziwnie w czas się to stało, bo w kilka dni potem zaszedł wypadek, który mógłby kosztować życie czterech zakładników żydowskich. Zanim przejdziemy do wyjaśnienia niejasnej tej sprawy opowiedzieć ją musimy tak, jak miejsce miała w niedzielę dnia 27. września 1914 r. W tym celu posłużymy się opisem z poufnej kroniczki współczesnej pod datą wspomnianą.

Niedziela, smutna jak kilkanaście ich oddawna — czytamy tam — przyniosła przykrą niespodziankę. Zaczęło się to od ostrej strzelaniny między 3—4 godziną popołudniu, słyszanej w śródmieściu. Już na ul. Akademickiej wyczytać można było z zaniepokojonych twarzy ludzkich, iż stało się coś niezwykłego. Istotnie u wylotu ulicy — na placu Halickim — pędzili kozacy, zamykając ulice w stronę ku ul. Wałowej. W ulicy tej rozlegały się coraz gęstsze strzały karabinowe, za którymi w ślad poczęli ludzie na gwałt uciekać, chroniąc się do kamienic. Strzały rozlegały się bez przestanku w licznych równocześnie punktach miasta

Nikt nie wiedział, co się to ma znaczyć, ale podawano sobie wnet z ust do ust, iż na Krakowskiem jakiś żyd strzelał do żołnierzy rosyjskich, na co ci odpowiedzieli karabinami. Mówiono też o jakimś złodzieju, który jakoby porwać miał żołnierzowi pieniądze, a schwytany w pościgu w jakiejś kamienicy strzelił do goniących go żołnierzy, na co ci położyli go trupem. Zarekwirowane zaraz wojsko urządziło strzelaninę po ulicach i do kamienic, strzelając do okien. Szczególne zaś było, iż równocześnie miał rzekomo jakiś żyd strzelać z rewolweru przez okno do budynku Komendy placu przy ul. Wałowej, za co też i na tej ulicy urządzili kozacy strzelaninę. Jak dalece operetkowo wyglądało to „powstanie“ ludności miasta, przed którem bronili się biedni, napadnięci kozacy, służyć może okoliczność, iż przypatrujący się bezmyślnej i bezcelowej strzelaninie ludzie cywilni i starsi oficerowie rosyjscy, zgromadzeni przed Żorża hotelem, wypatrywali na niebie nieprzyjacielskiego aeroplanu, sądząc, że do niego to skierowana jest ta cała strzelanina w oczach najzupełniej poważnie i spokojnie zachowującej się ludności. Ludzie zwracali się z zapytaniami, coby się to znaczyć miało wszystko, do oficerów, otaczając ich całymi tłumami, ale oni sami wyrażali chęć dowiedzenia się czegoś o tem od mieszkańców, bo ani rusz nie mogli się w tem wyrozumieć. Człowieka chyba jednego nie było w całym Lwowie, któryby wiedział o co chodzi właściwie rozhukanym kozakom, co jak szaleńcy pędzili na koniach wobec ludzi najniewinniej chcących się przypatrzeć ich karkołomnym ewolucyom na koniach z karabinami, wymierzonymi ku górze. Wyglądało to np. na walkę z wiatrakami, bo oglądać można było broniących się, ale ani rusz dopatrzeć się napastujących: dzielni kozacy staczali krwawe walki z urojonym,

dla nich tylko widocznym nieprzyjacielem w obliczu opustoszałych ulic i kamienic.

Ofiarą jednak tych manewrów szalonych, czy ćwiczeń wojskowych, paść musiało kilka osób, przypadkiem zbłąkanych na ulicy i w poczuciu swej niewinności mających odwagę spieszyć do domów. Jak doniesiono na stacyę ratunkową, paść miało kilka, czy nawet więcej trupów i rannych — wysłany wóz ratunkowy z chorągwią Czerwonego Krzyża musiał się wrócić, bo nie mógł puścić się przez świstające kule. Strzelanina trwała do samej nocy, bo coraz to odzywały się po mieście pojedyncze strzały — do godziny mniej więcej 7-mej rozlegały się salwy całe, potem zaś pojedyncze wystrzały.

Awanturę tę tłumaczono sobie w rozmaity sposób — przypuszczano, iż celem jej było sprowokowanie ludności do zamieszek orężnych, albo też urządzenia żydom pogromu, a nie brakowało początkowo domysłów, że Moskale opadnięci zostali niespodzianie pod miastem przez wojska austryackie i niemieckie. Powszechnie zaś nikt nie wątpil ani na chwilę, by prawdą być mogło, iż żyd jakiś zdobyć się miał na strzelanie do żołnierzy i by wogóle się ktoś do tego porywał i to — co najszczególniejsze — odrazu w kilku punktach miasta, jakby na zamówienie. Faktem jest, iż trupy padły w odległych od siebie punktach, coby wskazywać miało na jakąś umówioną awanturę. Na to zaś nie zdobyłby się nikt w całym Lwowie, bo i dziecko rozumiałoby całą bezcelowość czegoś podobnego, nie mówiąc już o tem, iż byłoby to nawet fizyczną niemożliwością. Wskazywano też na okoliczność, że właśnie kilka dni temu uwolnił gubernator zakładników od ich odpowiedzialności dotychczasowej, a wkrótce potem przytrafiło się coś podobnego. Jednem słowem, sprawa jes

niejasna, i opowiadają, że zajście całe sfabrykowane zostało w jakiś niejasnych jeszcze celach, być może dla nałożenia na miasto kontrybucyi.

Wieczorem sprowadzono do gradonaczelnika sporo żydów i zamówiono na dzień następny dwóch rabinów. Żydów tych aresztowano w ten sposób, że wpadano do domów, wmawiano w nich, że mają przy sobie rewolwery i jako niebezpiecznych rewolucyonistów brano masami do aresztu, gdzie nie po ludzku znęcano się nad Bogu ducha winnymi. W nocy strzelanina nie ustawała, a w kilku miejscach dzielni pogromcy urojonych „buntowszczyków" raczyli się beczkami wódki, którą dostali w całkiem prosty sposób, rozbijając kilka szynków w rynku i przy dalszych ulicach".

Krótką notatkę o zajściach tych pomieścił kronikarz „Kuryera Lwowskiego", ale skreślona została ona wieczorem tej samej niedzieli w cenzurze z nadmienieniem, iż nie wolno nic o tem pisać. Ponieważ przedstawia ona wiernie i pod bezpośredniem wrażeniem niezapomniane te przez Lwowian chwile, podajemy ją w całości, jako inny jeszcze głos w tej sprawie, która tak poruszyła w swoim czasie umysły nie tylko tu na miejscu, ale i w całej Rosyi, a nie mniej i po drugiej stronie ówczesnej linii bojowej. „Błaha sprawa — czytamy tam — sprowadziła wczoraj na miasto nasze niezwykłą panikę. Oto na pl. Krakowskim w chwili gdy jeden z żołnierzy rosyjskich czynił zakupy, indywiduum jakieś usiłowało ukraść mu pugilares z pieniądzmi. Spostrzegłszy to żołnierz, począł ścigać uciekającego, który skrył się do jednego z domów. Indywiduum owe widząc się w niebezpieczeństwie, dało do ścigającego kilka strzałów z rewolweru. Powstało zamieszanie i niebawem zarekwirowano oddział wojska, który otoczył dom na placu

Krakowskim, skąd bandyta ów strzelał. Do domu tego i okolicznych dano kilkadziesiąt strzałów. Po ulicach rozstawiono patrole. Przez dwie godziny ulicy były puste, mieszkańcy bowiem zaalarmowani strzałami, schronili się do bram obcych domów. Około godziny 6 wieczorem ulice poczęły się powoli zaludniać na nowo, jednak nie na długo. Skutki strzałów, które słyszano w rozmaitych punktach miasta, były fatalne. Do godziny 6 popołudniu opatrzyło pogotowie ratunkowe 8 osób, które zostały zranione zbłąkanemi kulami. W trzech wypadkach stwierdzono śmierć. Wypadki te zdarzyły się na ul. Krasickich, Wałowej, Zamarstynowskiej, Gródeckiej i pl. Krakowskim. Przy ulicy Pod Dębem zraniona została w głowę kulą karabinową pewna kobieta w chwili, gdy stała w oknie. Jak opowiadają, wielu rannych znajduje się w domach prywatnych. Z tego też powodu ucierpiały przewody elektryczne, które w kilku miejscach zostały przerwane. Sprowadzono też na policyę 29 osób za nieusłuchanie rozkazu rozejścia się do domów".

Dla uzupełnienia opisu wydarzeń tej niezapomnianej niedzieli na podstawie zeznań świadków ich, przytaczamy jeszcze relacyę o nich, zamieszczoną w „Prykarpatskiej Rusi", której nikt chyba nie mógłby podejrzewać o zbytnie sympatye dla mieszkańców Lwowa. Dowiadujemy się z niej, że „sprawcami tej trwogi okazała się, według zeznań świadków naocznych, czerń żydowska, która ważyła się strzelać z okien na placu Krakowskim, a następnie i w innych miejscach, do spokojnie przechodzących i kupujących na placu żołnierzy rosyjskich, którzy, zrozumiałe, odpowiedzieli wystrzałami do okien. Zastosowane przez władze wojskowe stanowcze zarządzenia szybko ukróciły powstańczą próbę żydowstwa tak, że już wieczorem miasto

przybrało zwykły swój wygląd spokojny. O wynikach przeprowadzonego śledztwa doniesie się w swoim czasie bardziej szczegółowo". („Prykarp. Ruś." z 29. września).

W trzech przytoczonych relacyach uderza okoliczność, że zgodnie łączą one tę zagadkową sprawę z żydami, że jako na miejsce zaczątku jej wskazują na dzielnicę żydowską i że wreszcie w żadnej nie jest wyraźnie powiedziane, jak właściwie przedstawił się ten rzekomy w niej udział żydów. Zgodnie natomiast konstatują notatki te, że sprawcami rozlegających się salwami całemi wystrzałów byli żołnierze rosyjscy. Wynika z tego — zresztą dla naocznych świadków wcale nie ulegające wątpliwości — stwierdzenie faktu, że okazał się skutek, ale bez najmniejszej przyczyny uprzedniej; widziano szalejących kozaków, ale ani rusz nie mógł się nikt dopatrzeć winowajców. Ogólnie też wyrobiono sobie wnet przekonanie o celowo zainscenizowanej przez władze awanturze całej, której celem miało być ewentualne sprowokowanie mieszkańców Lwowa do zbrojnych jakichś przedsięwzięć. Dziennikom nie pozwolono w cenzurze wspominać nic o tem wszystkiem rzekomo dlatego, iż przeprowadzone śledztwo wyjaśni dopiero jak sprawa się przedstawia w rzeczywistości. Cierpliwie więc oczekiwano tych urzędowych wyjaśnień i to bynajmniej nie dlatego, by ktoś nie miał sam dobrze wiedzieć, co o tem myśleć, lecz przedewszystkiem na to, żeby się dowiedzieć, jaki cel miały w tem wszystkiem władze rosyjskie. I oto w tydzień po tej strzelaninie ogłoszono publicznie przez dzienniki i plakaty, co następuje:

„Od Gradonaczelnika miasta Lwowa

Ogłoszenie.

Śledztwo szczegółowe stwierdziło, że 14-go b. m. z domów Nr. 9, 11 i 11a, na ulicy Wałowej w mieście Lwowie strzelano.

Wobec tego Wojenny Generał-Gubernator Galicyi rozkazał te domy skonfiskować z pozostawieniem mieszkańcom ich miesięcznego terminu na wyprowadzenie się. Dochody z wyżej wspomnianych domów do czasu opuszczenia takowych przez mieszkańców powinny być wniesione do Gradonaczalstwa.

4. października 1914 r. m. Lwów“.

Przedstawić można sobie zdumienie wszystkich w mieście na taki wynik „szczegółowego śledztwa!“ W dzielnicy żydowskiej rujnowali kozacy domy, stamtąd dziesiątkami całemi wyciągano Bogu ducha winnych i pod razami nahajek pędzono do aresztu, tam jakoby, według przekonania władz samych, zaczął się bunt „czerni żydowskiej“, a tymczasem w samem śródmieściu skonfiskowano trzy wspaniałe, niedawno wzniesione budynki! Teraz dopiero zrozumiano, o co chodziło przezacnym władzom! I nie tylko tę jedną pieczeń usmarzyły one przy sposobności, bo chodziło jeszcze o rzecz inną, a mianowicie przez prowakacyę tę wybadano grunt we Lwowie pod ewentualne zbrojne rozruchy, których się początkowo bardzo tu obawiano, a zyskano też pretekst do ostrych zarządzeń i prześladowań. Jednem słowem, rzecz zainscenizowano, przeprowadzono i wykorzystano w klasyczny dla Rosyi sposób, wykorzystując podstęp swój jeszcze i do oczernienia niewinnych.

Nie skończyło się bowiem na owej konfiskacie. Prócz władz czynowniczych postanowili na tej awanturze zrobić interes jeszcze i czarnosocińcy. Dziennik „Odesski Nowosty“ z 13/X. 1914 r. (Nr. 9488) informował naiwnych swych czytelników, że przyczyną strzelaniny były „znalezione proklamacye“, w których mówi się, że Lwów zostanie przez władze rosyjskie rozgrabiony, pogromiony i zrównany z ziemią, że zostanie wprowadzona przez nie wnet kara cielesna dla małoletnich przestępców a nawet kobiet. W związku z tem krążyły po mieście w ciągu dwu dni słuchy, jeden gorszy od drugiego. Mówiono, jakoby męską ludność miano brać do wojska, że w ciągu 5-ciu dni, kiedy odbywać się będzie branka, nie będzie można wychodzić z domów i dlatego należy zaopatrzyć się w wodę i zapasy żywności na 5 dni, że bramy domów zamykać będzie się o 6 godzinie wieczorem, a w tymczasie wszyscy powinni być w domu itp. Pogłoski te niepokoiły w dwu dniach ludność spokojną, uspokojoną wreszcie oficyalnemi zapewnieniami, iż wszystkie pogłoski pozbawione są podstawy“. Powiada następnie autor tej korespondencyi ze Lwowa, że podejrzenia padłe na żydów i Polaków okazały się nieprawdziwe, ale równocześnie podaje takie przyczyny strzelania, nie zadając sobie trudu wyjaśnienia, kto w takim razie strzelał właściwie. Na pytanie to odpowiedziały „Poslednija Nowosti“ z 26/IX. (9. października) nie mniej ani więcej tylko wyjaśnieniem, iż była to prowokacya austryacka! Górę zaś nad wszystkimi wziął chytrością swą korespondent petersburskiego dziennika „Nowoje Wremja“ (Nr. 13841), który awanturę całą wykorzystał dla nagonki na Polaków. W dowód sympatyi polskich wybitnego tego organu nie od rzeczy będzie przytoczyć tę arcyciekawą korespondencyę nie byle jak poinformowanego dziennika.

„Zaczynając od godziny 3-ej popołudniu — czytamy tam — do późnego wieczora w różnych dzielnicach miasta rozlegały się nieprzerwane wystrzały. W mieście wszczął się niepokój, ludność rosyjska (kto, czy może kozacy?) przeżyła popłoch okropny. Uspokojono się tylko wieczorem, gdy na rogach domów rozlepiono przepisy obowiązujące, podpisane przez wojennego generał-gubernatora. Przepisy te zakazywały ukazywanie się na ulicach bez specyalnego pozwolenia po godzinie 9-ej wieczorem do rana, oraz zabraniały przechowywania wszelkiego rodzaju broni, która powinna była w ciągu doby być doręczona naczelnikowi miasta.

„Tysiące najróżnorodniejszych pogłosek zaczęło kursować w mieście w związku z tymi wypadkami. Zoryentować się w nich niema możliwości i wątpić należy, czy władzom uda się znaleźć sprawców i osiągnąć jakiekolwiek stanowcze wyniki, na skutek zarządzonych niezwłocznie rewizyi i wdrożonego śledztwa. Za najbardziej zbliżone do prawdy, można uważać zdanie, utrzymujące się w rosyjskich kołach wojskowych. Rosyjska ludność Lwowa przed kilku już dniami zwracała uwagę na pewne artykuły w gazecie lwowskiej „Wiek Nowy“, która do zdobycia Lwowa była organem legionistów polskich. W artykułach tych w języku Ezopa, mówiono o tem, że szczęście jest zmienne, że czasami wybawienie przychodzi zupełnie niespodziewanie, przyczem wszystko to było ilustrowane legendami historycznemi. Strzelaninę w dniu Podwyższenia św. Krzyża łączą z tymi artykułami. Oświadczają, że tylko przedwczesny wybuch buntu, wywołanego na gruncie kłótni naszego żołnierza z jakimś żydowskim handlarzem uprzedził wielkie nieszczęście.

„Życie we Lwowie po wejściu wojsk rosyjskich, rychło powróciło do normy zwykłej. Zadziwiała jednakże zbyt wielka liczba rannych w szpitalach, pozostających pod dozorem lekarzy austryackich z prof. Ziembickim na czele. Dozoru rosyjskiego nad tymi rannymi nie było. Wynikło podejrzenie, iż wśród nich mogli być symulanci, należący do polskich legionów. Oni swobodnie opuszczali szpitale i im przypisywane jest rozmieszczenie broni i złożenie i ustawienie kartaczownic w domach, sąsiadujących z koszarami rosyjskiemi. Co do broni ludność ją posiadała, ponieważ na skutek zapewnień prezydenta miasta p. Rutowskiego, który zapewnił, iż porządek będzie zachowany, władze rosyjskie zgodziły się i na zorganizowanie milicyi z jakichś weteranów austryackich. Ilu było tych milicyantów i jakim był ich nastrój nikogo to nie interesowało. Zadawalano się słowem honoru prezydenta miasta i prof. Ziembickiego. Tylko po strzelaninie zaczęto odbierać broń od ludności. Prawdopodobnie sprawdzono chorych w szpitalach. Przecież i pomocnik pełnomocnika „Czerwonego Krzyża" poseł do Rady państwa p. M. Stachowicz, dziwił się, iż chorzy spacerowali po mieście i wałęsali się około dworca".

Wierzyć się nie chce, by wszystkie te nikczemnie skomponowane oszczerstwa nawet wydrukowane być mogły, ale istotnie artykuł powyższy uwieczniony został na łamach słynnego „Nowoje Wremja", a odpowiedź nań dał „Dziennik Kijowski" z 9/X. 1914 (Nr. 256), bo lwowskim dziennikom nie pozwalała cenzura na tyle swobody. Czy nie napełnia oburzeniem nikczemne kłamstwo o jakichś wyimaginowanych celowo kartaczownicach, jakoby ustawionych przez polskich legionistów w domach koło kasarń?

Czy nie przeziera poprzez te oszczerstwa wyraźna tendencya kompromitowania sprawy polskiej? I pomyśleć, że kilka zamówionych godzin strzelaniny tylu odrazu interesom ciemnym posłużyło tak wspaniale — i nie podziwiać tu pomysłowości „ochranników“?

Wszystkie przytoczone relacye o strzelaninie tej, mimo całej rozbieżności swej w sądach, w tem jednem są tylko zgodne, że nie wyjaśniają całkowicie przyczyny i sprawców jej. Zdawałoby się wobec tego, że owe szczegółowe dochodzenia urzędowe powinny zupełnie rozpröszyć niejasności i to tem bardziej, że na ich rzekomo wyniku oparły władze zarządzenie konfiskaty, ale tymczasem tak nie było, bo właśnie fakt skonfiskowania kamienic sprawę do reszty zawikłał, a względnie całkowicie wyjaśnił. Wypowiedzenie zaś odrazu mieszkańcom ich mieszkań, okoliczność, że kamienice te należą do wspanialszych we Lwowie, tudzież wzgląd na położenie ich na pryncypalnem miejscu — dopowiedziały resztę.

Mimo znanych sobie doskonale celów prowokacyi władze rosyjskie postanowiły konsekwentnie komedyę doprowadzić do końca i jeszcze tego samego wieczora nakazały wydrukować następujący rozkaz:

> „Z powodu wynikłej strzelaniny z okien, ogłaszam wszystkim mieszkańcom miasta Lwowa co następuje:
>
> 1. Zabrania się wychodzić na ulice bez specyalnego pozwolenia właściwej władzy od 9 godziny wieczorem do wschodu słońca.
>
> 2. Zabrania się przechowywać i nosić przy sobie broń palną i sieczną. Posiadający takową złożyć powinien w przeciągu doby w kancelaryi gradonaczelnika Lwowa.

3. Za niewykonanie punktu pierwszego kara do 3.000 rubli z zamianą na 3 miesięczny areszt.

4. Za niewykonanie punktu drugiego oddanie wojenno-polowemu sądowi.

Lwów, dnia 14. września 1914.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Lejtnant hrabia *Bobrińskij*".

Nazajutrz zażądały władze zakładników od ludności żydowskiej, wobec czego gmina zgłosiła jako takich — dra Hausnera, Dawida Goldberga, dra Fr. Landaua i Meszulem Salata. Pozostawali oni internowani dni kilka, poczem puszczono ich na wolność jednak z odpowiedzialnością i nadal. Wydano też nakaz zamurowywania okien strychowych i piwnicznych w przeciągu dni pięciu i to wyłącznie cegłami. W wielu domach pozostały okna mieszkań otwarte, pozostawione tak przez opuszczających Lwów mieszkańców. Zamknięcie tych okien zarządzono przy pomocy straży pożarnej. Okna otwarte znajdujące się na wysokich piętrach zamykano od frontu za pomocą drabin składanych.

Prócz tych zarządzeń wyszedł jeszcze następujący:

„Rozkaz Gradonaczelnika Lwowa.

Wszystkim mieszkańcom miasta w razie powtórzenia się jakichkolwiekbądź nieporządków, jak to już miało miejsce 15. b. m., podać do wiadomości,

1. „Dla uniknięcia nieszczęśliwych wypadków na ulicach i w pobliżu rozstawionych wojsk natychmiast

rozchodzić się do domów, przerywając wszelki ruch w mieście.

2. Natychmiast zamykać wszystkie sklepy i handle, żeby ludzie złej woli i złodzieje nie mieli możności w zamieszaniu kraść i rabować.

3. Właścicielom domów i lokatorom przedsięwziąć wszelkie środki, aby w ich domach i mieszkaniach nie mogli znaleść opieki lub ukrywać się ludzie podejrzani lub złej woli, a dlatego wszystkie bramy domów i ogrodzeń powinne być natychmiast zamknięte.

4. Dozorcy domów powinni być z kluczem przy drzwiach wchodowych, żeby je otwierać mieszkańcom domu i na żądanie policyi.

Niestosujący się do powyższego rozkazu, będą pociągnięci do surowej odpowiedzialności.

Lwów, 20. września 1914".

Przed wydaniem tych przepisów zachowania się na ulicach, ogłosił jeden z dzienników z własnej gorliwości wskazówki, jak należy zachowywać się pod opiekuńczemi skrzydłami policyi rosyjskiej, rekomendując je czytelnikom pocieszeniem, iż podobnie oddawna już postępują w Warszawie. „W obecnych czasach — czytamy tam — gdzie stosunki jeszcze się nie ustaliły i nie mało na wszystkich polach zamieszania, należy zachowywać ostrożność nawet przy wychodzeniu na ulicę. Otóż nie należy ze sobą brać wiele pieniędzy lub kosztowności. Po drugie należy chodzić szybko bez zatrzymywania się i gapienia się po wystawach. Po trzecie unikać trzeba skupiania się czy to dla rozmówki towarzyskiej, czy to dla przypatrzenia się życiu ulicznemu. Są to główniejsze z przepisów, które od dawna stosuje się w Warszawie". („Wiek Nowy", 1/X. 1914).

Sprowokowany popłoch wydał pożądane dla władz następstwa. Niedzielna strzelanina, zaopatrzona w podobne komentarze urzędowe, nauczyła swobodną, na konstytucyi wychowaną ludność, chodzenia już odtąd „na palcach“ po mieście, znikania z ulic na każde nieoficyalne polecenie władz, krycia się po kątach i wogóle zachowywania sympatycznych zwyczajów „stosowanych oddawna w Warszawie“. Hr. Bobryński w mowie swej do deputacyi polskiej wskazywał na to, że nowy układ na ziemi naszej powinien się zasadzać na pierwiastkach rosyjskich, które przyrzekł też wprowadzać tu stopniowo, żeby „nie gwałcić normalnego biegu życia w kraju“. Wprowadzanie właśnie tych nowych pierwiastków zainicyowane zostało w podobnie oryginalny sposób, przeznaczony dla steroryzowania ludności i przygotowania jej następnie na inne z kolei „pierwiastki“; uzyskano w ten sposób grunt podatny pod wszelkiego rodzaju eksperymenta wiwisekcyjne, które też poczęły się sypać jak z rogu obfitości. Działo się zaś to wszystko z zapewnieniem naprzód Szeremetjewa, a potem Bobryńskiego, iż starać się będą o zachowanie normalnego życia, bez gwałcenia normalnego biegu jego w mieście i kraju.

Już hr. Bobryński zapowiedział zawieszenie działalności wszelkich stowarzyszeń, zgromadzeń i związków, z wyjątkiem, oczywiście, rusofilskich, jak np. Dom Narodny, Narodnij Sawjet, Instytut Stauropigijski, Tow. im Kaczkowskiego. Wszystkim innym zapowiedział zamknięcie niechybne, zdaje się, dla stwierdzenia szczerości swych intencyi zachowania normalnego biegu życia w stolicy. Po zapowiedzi przyszedł nakaz kategoryczny, w postaci następującego polecenia:

„Postanowienia obowiązujące.

Wojenny Generał Gubernator Galicyi Generał-Lejtenant Hrabia Bobryńskij na podstawie p. p. 1, 2 i 3 artykułu 19 prawideł o miejscowościach ogłoszonych na stopie wojennej

Postanowił:

1. Zabrania się funkcyonowanie wszelkiego rodzaju klubów, związków i towarzystw bez otrzymania przez każdego z nich na to osobnego zezwolenia Generał-Gubernatora.

2. Zabrania się funkcyonowanie wszystkich istniejących w Galicyi zakładów naukowych, internatów, kursów, za wyjątkiem szkolnych warsztatów, do czasu mego specyalnego zarządzenia.

3. Winni przekroczenia niniejszego postanowienia, karani będą w drodze administracyjnej więzieniem do trzech miesięcy lub karą pieniężną do trzech tysięcy rubli.

4. Wykonanie niniejszego postanowienia poleca się Gubernatorom Galicyi i Lwowskiemu Gradonaczelnikowi z urzędu, przyczem nałożone na winnych kary natychmiast się wykonają.

Lwów, dnia 20-go września 1914 roku.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Lejtenant
Hrabia *Bobryńskij*".

Nawiasowo zaznaczamy, iż data rozporządzenia tego jest mylnie podana, ponieważ w równoległym tekście rosyjskim czytamy 18-ty września co rozumieć należy, jak

zwyczajnie, w starym stylu. Według zaś nowego stylu dzień wydania tych „Postanowień“ przypada na 1. października, jeśli za podstawę obliczenia przyjmiemy datę oryginału rosyjskiego (18. września), a nie przekładu polskiego, równolegle z nim wydanego (20. września).

Rozporządzenie to sprawiło niezwykle deprymujące wrażenie u ogółu i można powiedzieć, że poruszyło umysły więcej, niż się to powiodło wielu innym bez końca „ukazom“. Dotknęło zwłaszcza wszystkich boleśnie zamknięcie szkół, które z takimi trudami udało się choć w części uruchomić. Na widok tego, co przynosić zaczęło ze sobą ogromne rozsprzężenie życia publicznego, zadrzeć musiał każdy o los młodzieży, która kupić się zaczęła coraz bardziej na ulicy, pozbawiona w ten sposób nie tylko opieki, ale i narażona do tego na najfatalniejsze wpływy i przykłady. I nie brak też było mnóstwa całego faktów, zatrważających nawet najniepoprawniejszych optymistów — ludzie .przewidujący zawczasu pragnęli zapobiedz nieszczęściu, nawołując do rozpoczęcia za wszelką cenę naukę, choćby w kilku tylko zakładach. Trudności były bardzo wielkie, ale nie brak było chęci do pokonania ich. Rok szkolny z rozporządzenia ministerstwa odroczony został, wobec czego Rosyanie zastali szkoły zamknięte, co znacznie utrudniło podjęcie nauki. Szybko jednak zoryentowano się i by nie zwlekać przystąpiono do dzieła.

Ujemne wyniki braku zajęcia czemś młodzieży nie dały długo na siebie czekać. Przedsiębiorczy młodzieńcy z załków biorąc przykład ze starszych, bez najmniejszego wstydu oddali się pokątnemu handlowi wódki (sprzedając żołnierzom nie rzadko w zakorkowanych i zapieczętowanych flaszkach wodę zwykłą, zamiast wódki lub wina), pośrednictwu w orgiach oficerów, ciceronowaniu im po

„najweselszych“ lokalach wesołych dziewic lwowskich, a w końcu nawet bezwstydnemu nagabywaniu oficerów najniemożliwszemi propozycyami, jak n. p. w owej znanej i głośnej we Lwowie sprawie, która skończyła się tem, iż jakiś zacniejszy oficer rosyjski w oczach setek ludzi na ul. Karola Ludwika przeciągnął dobrze trzciną draba w mundurku uczniowskim, nie znając lepszego sposobu na ukaranie go za wstrętny proceder jego. Zły przykład — jak wiadomo — cuda działa i nie dziw też, że metody podobne coraz bardziej rozwielmożniać się poczęły, ogarniając szybko coraz szersze koła młodzieży. Przeciwdziałać temu trzeba było koniecznie.

Jeden z profesorów gimnazyum trzeciego (p. Bol. Czuruk) samorzutnie pomyślał o tem i za staraniem swojem i kilku uczniów zdołał zgromadzić kilkadziesiąt ich z klas różnych, spędzając kilka godzin dziennie na kollokwiach swojego rodzaju. W dzienniku jednym, który specyalnie szlachetną życzliwością otoczył sprawy uruchomienia szkół we Lwowie, zwrócono uwagę na ten dobry przykład, wyrażając przytem zapatrywanie jakby należało pojąć naukę w chwili danej. Nauka dzieci obarcza pracą nie tylko je same, ale w wielkiej mierze i rodziców i w tem kłopot, bo od tych nie bardzo można było tego wymagać; ojca najczęściej nie było w domu, a matka z trudem największym radę dać mogła potrzebom najważniejszym. Wobec tego dzieci należało przedewszystkiem zrzeszyć w szkole i trzymać je tam pod moralnym bardziej nadzorem, niż czysto szkolnym. Na naukę z podręczników nie pora była, bo zarówno nauczycieli, jak i uczniów absorbowało wszystko, co się dokoła nich rozgrywało, co jak bałwany spiętrzone przewalało się jedno przez drugie, jedno potężniej przejmując od drugiego. Trudno przedstawić sobie

było wówczas chłopca, wykuwającego formułki gramatyki łacińskiej czy greckiej, uczącego się wiersza na pamięć, lub rozwiązującego zawiłe zadania matematyczne. Chwila nastręczała natomiast mnóstwo tematów pierwszorzędnej wartości pedagogicznej, które umiejętnie oświetlone dużo więcej pouczyćby mogły młodzież, niżby to zdołały kiedyindziej połknięte tomy całe. Młodzież wiele, ale nie wszystko potrafi zrozumieć odpowiednio — objaśnić jej to, uprzystępnić oryentacyę w chaosie, wyciągnąć wskazania moralne, pouczyć na ten temat, oto wdzięczne zadanie chwili (Kuryer Lwowski, 13. września 1914).

Nad uruchomieniem szkół ludowych obradowała 3. września konferencya kierowników zakładów lwowskich w Tow. Pedagogicznem pod przewodnictwem dyr. Piórkiewicza. Postanowiono wysłać do prez. Rutowskiego deputacyę, która prosiła go o zajęcie się rozpoczęciem nauki oraz losem nauczycielstwa. Prezydent zwrócił uwagę na trudności, wynikające choćby z tego, iż budynki szkolne zajęte są na szpitale, nie mówiąc już o decyzyi gubernatora w tej mierze, ale przyrzekł wszystko uczynić, byle tylko dzieci zajęte być mogły. Istotnie zabiegi niestrudzonego prezydenta uwieńczone zostały pewnymi wynikami. Dnia 13. września zaprosił inspektor szkolny M. Nowosielski wszystkich dyrektorów szkół lwowskich do biura Rady szkolnej okręgowej i zawiadomił ich, że na podstawie zezwolenia gubernatora Szeremetiewa rozpocznie się nauka we wszystkich szkołach pospolitych lwowskich. Dyrekcye ogłosić miały wpisy i przeprowadzić je 17., 18. i 19. września, nauka zaś podjęta być miała z dniem 22. września.

Sprawą szkół średnich zajęła się konferencya nauczycielstwa 11. września 1914 r. Zgromadzili się członkowie

Rady szkolnej, dyrektorowie i nauczyciele gimnazyów, szkół realnych, seminaryów, przemysłowej i handlowej — omawiano potrzebę i możliwość zajęcia młodzieży, tudzież zastanawiano się nad bytem nauczycielstwa pozostałego we Lwowie. Uchwalono jednogłośnie uprosić wszystkich przebywających we Lwowie członków Rady szkolnej i dyrektorów, aby utworzyli stałą komisyę, któraby zajęła się ewentualnem uruchomieniem szkół lwowskich i czuwała nad zapewnieniem bytu nauczycielstwu lwowskiemu.

Nauczycielstwo nasze wykazało wielką obowiązkowość i poczucie swej działalności obywatelskiej, bo mimo sytuacyi swej beznadziejnej i warunków wprost nie do przezwyciężenia, niemniej nieustraszenie wzięło się do pokonywania trudności wszelkich. Nie w jego jednak mocy było przeciwstawić się przemocy. Po zezwoleniu Szeremetiewa na częściowe przynajmniej otwarcie szkół, przyszedł do głosu następca jego hr. Bobryńskij, który już w przemówieniu swem, przytoczonem poprzednio, zapowiedział wprowadzanie „nowych pierwiastków", a nie długo potem podpisał ukaz, zamykający wszystkie szkoły nie tylko we Lwowie, lecz i w kraju całym. I winy najdrobniejszej nie można przypisać czynnikom miejscowym, że tak się stało, bo z dumą skonstatować musimy fakt zgłoszenia podjętej nauki przez wszystkie prywatne zakłady w liczbie dwudziestu kilku, a prócz tego przez kilka możliwych do zajęcia szkół miejskich. Wszystkie te instytucye rozpisały wpisy, oznaczyły datę rozpoczęcia nauki, ale i na tem się skończyło ku ogromnemu smutkowi ogółu dobrze myślącego. Wyszedł bezwzględny ukaz, na który nie było najmniejszego sprzeciwu — urągać mu można było, ale tylko „palcem w bucie". Zdobył się jednak dziennik pewien na protest przeciw tej złośliwości nieprzyjaciela, któ-

rego uwadze uszedł szczególnie wyrażony ten sprzeciw, doskonale jednak zrozumiany przez publiczność czytającą. W fejletonie „Kuryera Lwowskiego" (z d. 6. października 1914) znajdujemy słynną nowelę Alfonsa Daudeta p. t. „Ostatnia lekcya", w której z ściskającem za serce uczuciem opisuje autor ostatnią lekcyę języka francuskiego w Alzacyi. Przebiegła cenzura przepuściła ten tyle wymowny protest albo wskutek przeoczenia, albo też wskutek swej gruboskórności, która nie pozwoliła barbarzyńcom zrozumieć, czem dla narodu kulturalnego jest własna szkoła. Oryginalna to forma wyrażenia swego bolu, ale z zrozumieniem całem przyjęta przez bardzo licznych czytelników, z których nie jeden zapewniał o łzie, co się sama jakoś w oku zakręciła.

W ukazie, zamykającym wszystkie szkoły, wzmianka była o jakichś, później mających nastąpić, specyalnych zarządzeniach. Nie dały też one zbyt długo na siebie czekać. Plakaty na ulicach i przedruki ich w dziennikach doniosły 17. grudnia 1914 co następuje:

> „Podaję do wiadomości obwieszczenie P. wojennego generał-gubernatora Galicyi.
>
> Podaję do wiadomości mieszkańców, że uznałem za możliwe pozwolić na otwarcie zakładów naukowych w Galicyi i na Bukowinie z dniem 1. (14.) stycznia 1915 r. pod następującymi warunkami:
>
> 1. Osoby, pragnące otworzyć zakłady naukowe, powinny odnieść się do mnie z odpowiednią prośbą i otrzymać osobne pozwolenie na otwarcie szkół. Do podania powinien być dołączony spis personalu nauczycielskiego.

2. Wszelkie zmiany w personalu nauczycielskim mogą być przeprowadzone tylko za moją wiedzą i pozwoleniem.

3. Na żądanie moje albo osób, działających z mego pełnomocnictwa, nauczyciele muszą być przez właścicieli szkół usuwani od pełnienia obowiązków.

4. Na żądanie moje albo osób działających z mego upełnomocnienia, muszą być usunięte z używania w zakładzie naukowym podręczniki szkolne, książki do czytania i inne książki szkolne.

5. Nauce wszechrosyjskiego literackiego języka w zakładzie szkolnym musi się poświęcić nie mniej niż pięć godzin w tygodniu w każdej klasie.

6. Historya, geografia, język polski i historya literatury polskiej mogą być wykładane tylko na podstawie podręczników, dozwolonych w Cesarstwie Rosyjskiem, albo dopuszczonych specyalnem pozwoleniem mojem, albo osób, przezemnie upełnomocnionych.

7. Religia powinna być wykładana przez katechetów tych wyznań, do których należą uczący się.

8. W zakładach naukowych, utrzymywanych przez zakonników lub zakonnice rzymsko-katolickich klasztorów, uczniowie i uczennice nie muszą uczyć się prawosławnej i grecko-katolickiej wiary.

Naruszenie jednego z tych rozporządzeń pociągnie za sobą zamknięcie zakładu naukowego.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-lejtnant hr. Bobryńskij.

4. (17.) grudnia 1914 r., we Lwowie.

Zgodnie z oryginałem:
Gradonaczelnik Pułkownik Skałłon".

Zanim więc można było rozpocząć naukę na mocy zezwolenia przez Szeremetiewa, zamknąć przyszło szkoły z rozkazu Bobryńskiego. Termin rozpoczęcia nauki według nowych warunków wyznaczono na 1. stycznia 1915 roku, ale tylko dla zakładów prywatnych, bo co do szkół miejskich i rządowych to o nich miano zadecydować później. Gdyby mityczni Rosyanie, mieszkający jakoby we Lwowie (według twierdzenia czarnosecińców i naszych domowych „Rosyan"), nie byli tylko fantazyą, to z pewnością wszystkie szkoły średnie i ludowe otwarteby zostały dla ich dzieci, ale ponieważ tych Rosyan sprowadzić trzebaby było dopiero z Moskwy, a na razie nie było czasu na to, więc kwestyę otwarcia publicznych szkół odłożono na lepsze czasy. Pozwolono zaś na podjęcie nauki tylko w tych prywatnych zakładach, które dobrowolnie zechciałyby przystać na ciężkie istotnie warunki, dyktowane przez przytoczone rozporządzenie. Bo że ciężkie były one do przyjęcia, mimo wcale skromnego na pozór warunku nauczania języka rosyjskiego i używania w geografii, historyi, języku i literaturze polskiej podręczników przepisanych w Królestwie, zdawał sobie każdy sprawę, co choć nieco zoryentował się w metodach rosyjskich. Nic więc dziwnego, że szanujące się zakłady prywatne wolały zawiesić naukę, niż iść na jakieś kompromisy, ubliżające szkole polskiej i to tem bardziej, że z konieczności mogłyby istnieć dla nielicznej młodzieży majętniejszej, podczas gdy rzesze całe reszty uczniów musiałyby trawić czas z dala od szkoły, na opłacenie której nie mieliby rodzice funduszów. Względy te tak dalece zaważyły, iż na dwadzieścia kilka szkół prywatnych ledwie kilka zdobyło się na paktowanie z p. Bobryńskim.

Z woli własnej, a za zgodą rządu rosyjskiego, podjęły z nowym rokiem działalność szkoły: im. Mickiewicza (ponad 300 uczniów), Krasińskiego (150 uczniów), Jordana (około 100 uczniów), Niedziałkowskiej, Strzałkowskiej i SS. Urszulanek. Dla tych kilku szkół i dla kursów języka rosyjskiego ustanowiły władze rosyjskie przełożonych w postaci: szefa szkolnictwa w zajętej części Galicyi, D. N. Czichaczewa, członka Dumy państwowej z godnością koniuszego carskiego, dyrektora B. W. Plesskiego, tudzież inspektorów: A. P. Juszkiewicza, W. P. Owsiewskiego, P. D. Feszczenka, W. Ł. Siedleckiego, A. A. Justynowa i N. Mizołubowa. Pod ich to nadstawnictwem „istinnorusskiem" — czego gwarancyę wystarczającą dawał słynny czarnosociniec Czichaczew — pobierała młodzież polska naukę nierzadko ze zdekompletowanych podręczników (wrażliwi byli opiekunowie na wzmianki o monarsze, o konstytucyi 3-go maja, o wspominkach narodowych itp.), albo też i w niektórych działach całkiem jej nie pobierała, nie uwzględniając istniejących dotychczas przepisów. W niektórych z tych szkół poszło kierownictwo posłusznie za wskazówkami z góry, w innych zaś usiłowało wykrętnymi sposobami zmylić czujność nieproszonych opiekunów, a w jeszcze innych zadowolone było, iż zrezygnowało z przyjemności tych obu, nie otwierając szkół całkiem. Działo się to jednak wszystko zgodnie z trzema naówczas sposobami ustosunkowywania się ogółu do Rosyan.

Na chlubę nauczycielstwa naszego, a nie mniej i części pewnej społeczeństwa, zapisać musimy nadzwyczaj ujmujący fakt, wspaniale świadczący o zdrowym w gruncie rzeczy duchu, ożywiającym, zwłaszcza młodsze nauczycielstwo. Nie wiele zapewne było ludzi we Lwowie, którzy wiedzieli, lub choćby przypuszczali istnienie dobrze zorga-

nizowanej szkoły średniej we Lwowie w oczach setek „ochranników“, narażoną wiecznie na szpiegowanie, a co zatem niechybnieby poszło, i na dotkliwe kary w razie odkrycia. A jednak szkoła taka nie tylko istniała, ale i odznaczała się nie byle jaką frekwencyą młodzieży! Pod kierownictwem dwu młodych profesorów, których nazwiska na innem zapewne miejscu zasłużenie będą wymienione razem z całem gronem, zawiązała się wcale regularna szkoła wędrująca, złożona z klas tylko wyższych, liczących po kilkanaście, a nawet i więcej uczniów. W największej tajemnicy, wiążącej tak profesorów jak i uczniów, odbywały się lekcye w coraz to innych miejscach, w domach nauczycieli i uczniów, z zastosowaniem wszelkich środków ostrożności, zmieniano „szkoły“, przynoszono ze sobą książki i wogóle realizowano odważnie zakreślony plan. Chłopcy uczyli się bez wyjątku bardzo pilnie, a rodziców nie obarczało to zbytnio, bo opłata za naukę wynosiła ledwie kilka reńskich. W rezultacie starania te wszystkie okazały się tak pozytywnemi, iż uczniowie klasy najwyższej mogli zdawać nawet egzamin dojrzałości w lipcu, po odbiciu Lwowa. W ten sposób sprawdziło się przysłowie, iż „znajdzie kija, kto psa chce uderzyć“ — nie trzeba było kłaniania się przed obcymi, by na swojem postawić. Wielka reszta młodzieży pobierała też naukę prywatnie, zdając następnie egzamina do klas wyższych.

Warstaty szkolne wolne były od wglądania w nie władz rosyjskich i w nich też znalazło zajęcie nieco młodzieży. Szkoły ludowe usiłowano na wszelki sposób zastąpić czemś, ale wobec podejrzliwości władz, wietrzących wszędzie niebywałe zbrodnie i zamachy, powiodło się ledwie i to za staraniem prezyd. Rutowskiego, założyć t. zw. gniazdka, w których nauczycielki miejskie zajęły się dziatwą naj-

młodszą, dbając o opiekę i pożywienie dla niej. Staraniem zaś niektórych księży odbywały się lekcye religijne dla dzieci, które istotnie potrzebowały w tym czasie energiczniejszej opieki, narażone zewsząd na mnóstwo wpływów najgorszych.

Ukaz, zamykający szkoły, dotknął też jeszcze ludzi i zawieszeniem działalności wszelkich towarzystw i klubów, które musiały się rozwiązać. Wprawdzie życie towarzyskie rozbite zostało zajściami wojennemi, ale nie można powiedzieć, by nie istniało i nie było odczucia braku jego. Najlepszy dowód w tem, że kiedy po wielu staraniach udało sie zyskać u władz pozwolenie na otwarcie działalności naukowego towarzystwa przyrodniczego im. Kopernika, posiedzenia jego odbywały się przy bardzo licznej obecności nie tylko członków, ale i ciekawych słuchaczy odczytów. Było to jedyne towarzystwo, które otrzymało zezwolenie na odbywanie posiedzeń naukowych, oraz na urządzanie odczytów po uprzedniem, oczywiście, zgłoszeniu ich u władzy, tudzież w obecności oficera policyjnego, który najczęściej zasypiał z nudów u końca, a wcale często nie zjawiał się nawet. Towarzystwo im. Kopernika wydało za czas okupacyi Lwowa zeszyty publikacyi swojej, znanego chlubnie „*Kosmosu*"; posiedzenia odbywały się w Muzeum im. Dzieduszyckich. Przyrodnicy wogóle nie dali się wytrącić z prac swych, odgrywającym się dokoła nich wypadkom, bo prócz Tow. im. Kopernika wydało i Muzeum im. Dzieduszyckich dwa zeszyty poważnej swej publikacyi „*Rozprawy i wiadomości z Muzeum im. Dzieduszyckich*" (Tom I. zeszyt 3—4, 1915). Ponieśli jednak dotkliwą stratę przez śmierć prof. dra Karola Hadaczka, a po nim prof. Włodzimierza Szuchiewicza. Ś. p. Hadaczek, pod wpływem ogromnego rozstroju nerwowego, spowodowa-

nego pesymistycznem zapatrywaniem się na ciężką w istocie sytuacyę naszą w zimie, targnął się na młode swe jeszcze życie i dnia 19. grudnia 1914 r. przeniósł się do wieczności. Śmierć jego niespodziewana sprawiła ogromne wrażenie w całem mieście i żal też wielki towarzyszył mu do grobu na cmentarz Łyczakowski, gdzie spoczął w południe dnia 21. grudnia. Pośrednią też ofiarą wojny, względnie inwazyi rosyjskiej, był ś. p. Szuchiewicz, także zasłużony a skromny współpracownik Muzeum im. Dzieduszyckich, który zmarł 5. kwietnia 1915 r., odprowadzony na cmentarz Łyczakowski przez poważne grono uczonych lwowskich.

Życie naukowe za czas okupacyi ucierpiało we Lwowie od rozporządzeń rosyjskich, ale bynajmniej nie przerwało swego wątka, chociaż bardzo cieniutką tylko nicią przewijało się poprzez trudności wielkie, kłopoty codzienne, a nierzadko i niedostatek środków do istnienia. O korporatywnej jakiejś działalności i mowy być nie mogło, ale potworzyły się pewnego rodzaju ośrodki, znajdujące oparcie w dawnych ogniskach pracy w tym kierunku. Na czele stał zawsze Zakład im. Ossolińskich, który jednak przez zakaz wydawania książek „niebłagonadiożnych“, musiał w tym czasie zamknąć swoje, zazwyczaj gościnne podwoje dla nielicznej nawet garstki pracujących umysłowo, ograniczając się do urzędowania wewnętrznego. Ze składu jego współpracowników kilku pracowało nad dawniej zaczętemi pracami, a staraniem jednego z nich, dra Adama Fischera, wyszedł w marcu 1915 r. pokaźny zeszyt „Ludu“, organu Tow. ludoznawczego we Lwowie (Tom XIX. zeszyt 1—4), składający dodatnie świadectw poważnej działalności naszych uczonych nawet w tak niesprzyjających temu czasach wojennych. Kiedy też w przyszłości

wrócą wszyscy do dawnych swych zajęć, to niezawodnie miłą dla wielu będzie pamiątką książka, czy inna jakaś publikacya z dopiskiem sakramentalnym „dozwolone przez cenzurę wojenną“, którym zaopatrywać srogo poleciła rosyjska cenzura nawet najdrobniejsze świstki zadrukowane. Odnośnie do pokaźniejszych publikacyi pamiątkowość ta wzrasta o tyle, że ledwie kilka ich okazało się we Lwowie za czas jego niewoli, a do najpokaźniejszych należą właśnie wspomniane wydawnictwa lwowskich towarzystw naukowych.

Czas jakiś z początku okresu okupacyjnego nie wydawano niczego prócz wspomnianych już dzienników, ale wnet poczęły ochłaniać z chwilowego odrętwienia coraz to inne pisma. Na chlubę myśliwstwa naszego zaznaczyć musimy, że pierwsze hasło do objęcia straży opuszczonych chwilowo stanowisk — w myśl znanej prawdy, iż łatwiej jest ścieśnić się, by potem znów przy lepszej sposobności rozwinąć dawną żywotność, niż opuścić ręce i potem zaniechać z musu pracy — wyszło od wydawnictwa *„Łowca“*, organu Galic. Tow. Łowieckiego, który od września nieprzerwanie wychodzi do chwili obecnej. Dobry przykład zrobił wnet swoje, bo uwaga raz rzucona, podjęta została i przez innych. Prócz wspomnianych wydawnictw przygotowywało jeszcze Tow. historyczne druk tomu organu swego *„Kwartalnika Historycznego“*, a niewiele przed odbiciem Lwowa wyszedł numer *„Czasopisma Technicznego“*, oraz ciekawy zeszyt *„Miesięcznika Tow. Ochrony Zwierząt“*. Wspomnieć zaś jeszcze należy o wydawnictwie *„Dźwigni“* *„Śmigusa“*, kalendarza Wieku Nowego, kilku podręczników języka rosyjskiego, tudzież miesięcznika *„Zjednoczenie“*, redagowanego przez prof. St. Grabskiego, który zdołał wydać tylko trzy numery jego.

Wcale żywe tętno życia naukowego biło w skromnej pracowni Archiwum miejskiego, które ani na dzień jeden nie zawiesiło swej czynności pod ręką dyr. Al. Czołowskiego. Zwrócono tam specyalnie uwagę na gromadzenie najrozmaitszych druków z chwili, dzienników, pism, książek, ogłoszeń, rozporządzeń, ilustracyi, fotografii, medali, odznak, itp., odnoszących się do historyi Lwowa współczesnego. Prócz tego dr. Czołowski, jako konserwator, interweniował u władz rosyjskich w wielu wypadkach zagrożenia zabytkom lub zbiorom naukowym; jego staraniom powiodło się uratować cenną bibliotekę Gazety Lwowskiej i ukryć ją w czas przed drapieżcami, jak również ocalić księgozbiór Kasyna wojskowego, w części już nadwerężony przez barbarzyńców. Po przydzieleniu do ochrony zabytków w Galicyi, delegata petersburskiej Akademii nauk, Eksc. prof. Eugeniusza Szmurły, dyrektora Instytutu rosyjskiego w Rzymie, zyskał dr. Czołowski dzielnego i istotnie zacnego opiekuna pamiątek i zabytków, z którym zwiedził zrujnowane w kraju miejscowości, znane z cennych swych skarbów architektonicznych, artystycznych, bibliotecznych, archiwalnych, galeryjnych itp. i nie jedną cenną rzecz zdołał dzięki uczynności prof. Szmurły uratować od niechybnego zaprzepaszczenia. Dzięki poparciu prof. Szmurły udało się drowi Czołowskiemu ulokować bezpiecznie we Lwowie, zagrożone zbiory z Kalnikowa pod Przemyślem, wywiezione formalnie w ogniu kul na kilku zwykłych wozach. Z pomocą delegata Akademii, człowieka o wielkiej kulturze naukowej i osobistej, typowego przedstawiciela nauki europejskiej, interweniował dr. Czołowski i w wielu innych razach: był np. w Boryniczach, Chodorowie, Rozdole, Magierowie itd. Prof. Szmurle zawdzięcza też ks. Sapieha z Krasiczyna uratowanie przed

zagrabieniem bardzo cennego depozytu ze skarbca kapituły przemyskiej obrz. łac. Po upadku Przemyśla przywieziono do Lwowa pięć skrzyń zabytków, które po komisyjnem spisaniu i opieczętowaniu (prof. Szmurło, dr. Czołowski i B. Janusz) oddano jako depozyt ks. Sapiehów do Zakładu Ossolińskich. Znikome to wprawdzie było wszystko wobec ogromu szkód i zniszczenia w całym kraju, ale ile zabiegów kosztowało zacnego prof. Szmurły, który z boleścią wizytował, niestety już zapóźno, znikome resztki dawnych skarbów, biadając nad nieoględnością władz, co tak po niewczasie pomyślały o ratunku?

W Archiwum miejskiem, rzec można,ześrodkowała się najżywsza działalność naukowa okupowanego Lwowa, bo prócz tego z zbiorów jego korzystał dyr. F. Bostel, pracujący nad monografią kościoła Bernardyńskiego we Lwowie, B. Janusz, opracowujący historyę epidemii i urządzeń sanitarno-hygienicznych w starożytnym Lwowie, J. Chołodecki, katalogujący zbiór rycin archiwalnych, tudzież ś. p. Franciszek Kowaliszyn, przygotowujący do wydania album starożytnych fortyfikacyi Lwowa. Tego ostatniego chwyciła śmierć niespodziewana dnia 12. czerwca 1915 r. kilka dni przed tak gorąco przezeń oczekiwanem uwolnieniem Lwowa. Nie mało też osób innych korzystało w sprawach naukowych z pomocy Archiwum miejskiego, ale nie obeszło się też bez pogróżki ze strony władz rosyjskich, które 20 maja przeprowadziły u dra Czołowskiego rewizyę, aresztując go rzekomo z powodu jakichś stosunków z Austryą. Dnia tego samego jeszcze wywieziony miał być do Rosyi, ale dzięki niestrudzonym zabiegom prez. Rutowskiego tudzież wstawiennictwu prof. Szmurły i innych uwolniony został już z pociągu kolejowego na dworcu i puszczony na razie wolno — na razie, ponieważ w mie-

siąc potem pod innym znów pretekstem wywieziony został jako zakładnik do Rosyi.

Ci z piszących, którzy pozostali we Lwowie, zajęli się prawie wszyscy pracami jakiemiś naukowemi: wielu śledziło wypadki rozgrywające się dokoła i notowało je w dziennikach szczegółowych, zbierając też i inne materyały naukowe, jak np. ciekawe ogłoszenia władz rosyjskich, dzienniki, książki rosyjskie o Lwowie i Polsce, druki ulotne, karty, fotografie, aktualne widokówki i portrety i wogóle rzeczy, mające wartość naukową czy pamiątkową. Bojaźliwsi, niechcący ryzykować wywiezienia do dalszych gubernii rosyjskich, ograniczali się do kontynuowania zwykłych swych prac i studyów. Uniwersytet nie otrzymał pozwolenia na wykłady, ale dopuszczalne były egzaminy, zwłaszcza doktorskie dla słuchaczy z ukończonemi studyami, wobec czego wielu, wykorzystując wolny z konieczności czas, przygotowywało się i zdało egzaminy, przeważnie na wydziale prawniczym.

Niepoślednia rola w kulturalnem życiu Lwowa okupowanego przypadła w udziale założonej w tym czasie bibliotece publicznej „Lektor“, która wspaniałym swym doborem usiłowała choć w części wypełnić brak bibliotek zamkniętych. Jak wszystko w mieście, tak i biblioteka „Lektor“ zawdzięczała prez. Rutowskiemu swe powstanie przez silne poparcie inicyatora jej dra St. Lewickiego przed władzami. Biblioteka ta jest też pięknym przykładem żywotności poczynań kulturalnych u nas i to tem cenniejszym, że w tak ciężkich chwilach dokonanym.

Prócz szkół, towarzystw i pracy publicznej poruszył hr. Bobryński w programowej swej mowie jeszcze jedną kwestyę ważną, a mianowicie tolerancyę rzekomą wszystkich wyznań bez wyjątku. Co do obrządku rzymsko-kato-

lickiego, to ufać jeszcze można jej było przynajmniej na czas trwania wojny, podobnie jak i co do religii żydowskiej, ale jak się ta tolerancya przedstawiać miała wobec cerkwi unickiej, o tem najlepiej zaświadczyło postąpienie władz rosyjskich z metropolitą ks. Szeptyckim w kilkanaście dni po zajęciu Lwowa, a w dalszym ciągu i inne jeszcze zarządzenia i kroki, zmierzające bardzo szybko do gruntownego wytępienia unii. Koło 15. września rozeszła się po mieście wiadomość o internowaniu ks. metropolity Szeptyckiego, ale nikt nie potrafił podać przyczyny dlaczego to zostało zarządzone — wszystkich tylko dotknęło to bardzo dotkliwie, bo ogólnie podobało się, że metropolita, mimo pewności, iż nie uniknie prześladowań, nie wahał się pozostać na odpowiedzialnem stanowisku, by bronić trzody swej przed napaścią nieprzyjaciela.

Wiadomość o internowaniu metropolity spróbował podać „Dziennik Polski“, ale cenzura skreśliła notatkę, nie pozwalając na jej wydrukowanie. Na drugi dzień czytelnicy niektórzy tego dziennika zauważyli na białem, wypuszczonem miejscu coś jakby ślad słabo odbitych wierszy kilku, które zwrócone pod światło dały się z trudnością odczytać: widzieć można było na ulicach pod latarniami ciekawych, którzy za wszelką cenę dowiedzieć się pragnęli, co też to tajemniczego skreśliła cenzura w tem miejscu, a niejednemu udało się nawet z ogromnym tryumfem odcyfrować hieroglify. Z ust do ust poszła szybko wieść o aresztowaniu ks. metropolity, a do cenzury doniesienie na podstęp „Dziennika“. W „Kuryerze Lwowskim“ z 18. września skreśliła cenzura krótką notatkę o tem, umieszczoną na samym czele numeru, chociaż całe miasto już dobrze, nawet w szczegółach, poinformowane było o losie, który spotkał metropolitę. Pierwszą wiadomość

doniosła dopiero „Prykarpatskaja Ruś“, a po niej wolno było zamieścić ją i dziennikom polskim.

Według „Prykarpatskiej Rusi“ (nr. 1420. z 2. X. 1914) która z prawdziwą rozkoszą opadała wszystkich, co się tylko bronić nie mogli, przyczyną aresztowania ks. metropolity było to, że w „niedzielę po przejściu Lwowa w ręce rosyjskie, hr. Szeptycki wygłosił w katedrze św. Jura kazanie, w którem wyraził się dosłownie następująco: „Kordon upadł, złączyliśmy się z naszymi braćmi. Wyznają oni tę samą wiarę co i my i ten sam obrządek. Nazywają oni siebie prawosławnymi, a i my jesteśmy prawosławnymi. Ich jednak prawosławie państwowe, synodalne, rządowe, a nasze lepsze i wyższe, ponieważ myśmy katolikami, uznającymi zwierzchnictwo papieża. Obowiązkiem naszym jest dać im wszystko nasze najlepsze, obowiązkiem naszym walczyć za naszą religię do ostatniej kropli krwi“. W słowach tych dopatrzyli się Rosyanie prowokacyi swych uczuć religijnych i wobec tego zarządzone zostało aresztowanie ks. Szeptyckiego. Pierwszego października pisała o nim „Prykarpatskaja Ruś“ jako o „byłym galicyjskim metropolicie unickim“, którego 19. września wywieziono w głąb Rosyi. W dzienniku zaś „Birżewija Wiedomosti“ z 22. września czytamy o charakterze aresztowania jego co następuje: „Z zupełnie wiarygodnego źródła dowiadujemy się, iż galicyjsko-lwowski metropolita unicki Andrzej hr. Szeptycki został przewieziony do Rosyi nie jako jeniec wojenny, lecz wysłany został z Galicyi w charakterze przestępcy administracyjnego za czyny, szkodliwe dla interesów Rosyi, popełnione przez niego już po okupacyi Lwowa przez wojska rosyjskie. Różnica między deportacyą a niewolą wojenną polega w tem, że Andrzej hr. Szeptycki może być zatrzymany w Rosyi po wymianie jeńców“.

„Now. Wremia" z 24. września podaje o przymusowej podróży metropolity, co następuje: „Galicyjsko-ruski unicki metropolita Andrzej hr. Szeptycki przywieziony został pod konwojem ze Lwowa do Kijowa. W tym wypadku przybył on do Rosyi drogą legalną i z wymaganymi przez prawo dokumentami. A ile razy, bywało, dawniej przyjeżdżał on do Rosyi z podrobionymi paszportami, to jako handlarz wełny, to jako komiwojażer firmy wiedeńskiej. Jezuickiej jego przewrotności udawało się wprowadzać w błąd władze pograniczne i swobodnie zajmował się propagandą unicką wśród rosyjskich staroobrzędowców. W Moskwie osadził znanego jezuitę i niemieckiego szpiega Wiercińskiego, w Petersburgu — niemniej słynnego Deubnera, postarał się też o unicką kaplicę w okolicy petersburskiej i wszędzie mącił wśród prawosławnych. Raz w czasie jego przyjazdów do Rosyi można go było pojmać w 1910 r. Poznano go w Witebsku i tylko wspaniałomyślność czy obawa przed komplikacyami ówczesnego dyrektora departamentu wyznań zagranicznych ocaliła go przed więzieniem rosyjskiem. Los przywiódł go wreszcie w to miejsce, dokąd oddawna zdążał. Nie w roli więźnia jednak marzył o przybyciu do Kijowa.

Z Kijowa przewieziono metropolitę Szeptyckiego do Niżnego Nowogrodu, skąd — korzystając z udzielonego mu prawa wyboru miejsca zamieszkania — przez Moskwę udał się do Kurska, gdzie stanął 30. września 1914 r. Zamieszkał w hotelu, strzeżonym stale przez kilku żandar-

mów, a na miasto wychodzić mu można też tylko w ich towarzystwie. Jak się tam z nim obchodzą przesławne władze rosyjskie tego dowodem mogą być same dzienniki rosyjskie, które zwróciły uwagę na nieludzkie obchodzenie się z nim, tudzież wyznaczenie mu na mieszkanie izb na poddaszu za niskich dla niego, jako dla mężczyzny bardzo wysokiego wzrostu. Polemikę zaś całą stoczyły one w głośnej w całej Rosyi sprawie wykluczenia metropolity z nabożeństwa w cerkwi prawosławnej, do której z ciekawości zaglądnął, przez odprawiającego nabożeństwo biskupa. Stało się to rzekomo dlatego, że w pewnem miejscu rytuał nakazuje wydalenie ze świątyni niewiernych, pod którymi jednak rozumie się ludzi nieochrzczonych, ale nie przynależnych do innych wyznań chrześcijańskich. Biskup wiedział o tem bardzo dobrze, ale użył tego barbarzyńskiego sposobu, celem dokuczenia i skompromitowania niemiłego mu gościa. Sprawą tą zajęły się dzienniki rosyjskie, konstatując, iż nadużyciem było to ze strony nieokrzesanego popa. Niemniej jednak nie ustało szykanowanie na każdym kroku człowieka, który — według przekonania sfer pewnych w Rosyi — największe sprawił szkody sprawie rosyjskiej w Galicyi, w czem utrzymywała ich zaciekle „Pryk. Ruś“, omawiająca w wężowych artykułach niezliczonych „zdrady“ wszystkie jego, wymagając kary za nie.

Od gwałtu na zwierzchniku poczęła się owa zapowiedziana tolerancya religijna. Po myśli powiedzenia: „zabij pasterza, a owce się rozbiegną“ załatwiono się odrazu z tym, którego znaczenie dobrze musiało być znane. Z kolei zabierać się poczęto i do ataków w inne strony, przygotowując się do tego z znaną wiarołomnością rosyjską, polegającą na obiecywaniu na papierze wszelkich możliwych

dobrodziejstw a nie dotrzymaniu ani najdrobniejszej cząstki ich w rzeczywistości. Galicyjscy „Rosyanie“ pierwsi poczynili starania, by przyrzeczona tolerancya stosowana była z zainicyowaniem odrazu kwestyi religiinej, zamiast, żeby w dowód tej tolerancyi, nie wdawać się zupełnie w nią i zostawić ludności wolną w tych rzeczach rękę. Nie było też nikogo tak naiwnego, by za dobrą monetę brać miał przyrzeczenia rzekomej tej dobroduszności rosyjskiej, co jeszcze przed ogłoszeniem oficyalnem zdołała się już odpowiednio skompromitować.

Sposób postępowania z unitami dyktowali władzom galicyjscy rusofile z osławionym Bendasiukiem na czele, Jeszcze przed postanowieniem czegoś na ten temat odbywali oni zgromadzenia w Petersburgu, na których radzili, w jakiby to sposób możliwie najprędzej zmoskwiczyć Galicyę, a w gorliwości swej dochodzili do tego, że sami Rosyanie musieli ich poskramiać. Kuźnią wszystkich reformacyi dla okupowanej Galicyi było „Galicko-russkie obszczestwo“ w Petersburgu, gdzie 27. września wygłosił S. Bendasiuk referat „o prawosławnym ruchu w Galicyi“. Przewodniczył D. Wiergun, a w charakterze honorowego przewodniczącego obecny był arcybiskup półn.-amerykańskiej cerkwi prawosławnej, Jewdokim. Referent postawił przy końcu rezolucye, które uzupełnione 4. października przez wydział towarzystwa brzmią następująco:

1. Należy zjednoczyć tylko tych unitów, którzy sami zwrócą się z prośbą o złączenie po porozumieniu się z księżami i misyonarzami. Ogromną szkodę dla sprawy przyniósłby jakikolwiek nacisk ze strony władzy świeckiej, albo przyrzeczenie korzyści za przechód.

2. Dla zjednoczonych z cerkwią prawosławną należy pozostawić niezmienione wszystkie te właściwości cerkwi miejscowej, wszystkie obrzędy i zwyczaje, które nie sprzeciwiają się dogmatycznym zasadom prawosławia. Należy pozostawić istniejące tu bractwa, posiadające wielkie znaczenie w życiu cerkiewnem, zbiorowy śpiew w cerkwiach, do którego ludność tak przywykła itp.

3. W Galicyi ostro zachowuje się spokój w dnie świąteczne. W dnie te niedopuszczalna jest pracą ani handel. Galicyanie grawitują ku prawosławiu przedewszystkiem dlatego, że uważają go za bardziej twardą wiarę, niż unię, a twardość tę widzą w ostrości zachowywania przepisów cerkiewnych. Dlatego konieczne jest, by i władze rosyjskie chroniły świętość prażników razem z przyszłem duchowieństwem. Jeśli zaś władze i duchowieństwo odnosić się będą do świąt tak, jak przeważnie odnoszą się dotychczas w Rosyi, pozwalając w święto na handel i ciężką pracę, to odwróci to unitów od prawosławia.

4. Koniecznie, bezzwłocznie znieść trzeba zakon Bazyliański, założony przez Jezuitów za zabrane monasterom środki, a mający tak szkodliwy wpływ na życie cerkiewne. Zniesienie tego zakonu przyjęte będzie ogólnie z wielką radością. (Wspaniały przykład tolerancyi!)

5. Koniecznie usunąć należy biskupów, ustanowionych przez władcę - katolika, działających na rzecz Austryi i dążących do zlatynizowania obrządku wschodniego, a będących przyczyną zguby całych tysięcy „russkich ludzi“.

6. Należy położyć kres agitacyi przeciw prawosławiu mazepińców, partyi stworzonej za niemieckie pieniądze i niebezpiecznej politycznie.

7. Nie można pozostawiać księży unickich w wsiach, które całkowicie przejdą na prawosławie.

8. Jeżeli ksiądz unicki należał za panowania austryackiego do moskalofilskiej organizacyi, należy go pozostawić na miejscu tem bardziej, że potem wszyscy ci księża, bezwątpienia, przejdą na prawosławie.

9. Jeśli miejscowych księży, którzy przeszli na prawosławie będzie za mało i przyjdzie powoływać ich z Rosyi, to pożądane jest, żeby byli oni z wyższem wykształceniem. Wszyscy księża w Galicyi posiadają wyższe wykształcenie i jeśli prawosławny duchowny nie miałby go, to zmniejszyłoby to wpływ jego zwłaszcza w miastach.

10. Koniecznie usunąć trzeba istniejące dotychczas w Galicyi średniowieczne prawo patronatu kościelnego. Prawo patronatu nad ruskimi cerkwiami unickimi należy do polskich dziedziców-katolików. Od nich zależy też wybór księdza. Oczywiście, patronaty najmniej się liczą z interesami ludności ruskiej i obrządku wschodniego i wybierają księżami ludzi skłonnych być agentami polonizacyi i latynizacyi. Lud ruski przyjmie tę reformę z wielką radością.

11. Należy wysiedlić wszystkich Jezuitów z Galicyi, a kościoły i wszystkie ich zakłady zamknąć. Jezuici zdołali już przekształcić w swoim duchu szkołę duchowną, monastery i część hierarchii na szkodę prawosławia i sprawy rosyjskiej. Dalsze ich przebywanie w Galicyi nie może być cierpiane tem bar-

dziej, że według ustaw rosyjskich Jezuitom nie wolno żyć w Rosyi, a dziś Galicya jest już częścią Rosyi.

12. Językiem nabożeństwa może pozostać język prawosławno-słowiański(!), ale kazania należy wygłaszać w narzeczu małoruskiem a nie wielkoruskiem.

13. Unickie i katolickie duchowieństwo w Galicyi doskonale jest zabezpieczone, zatem i prawosławne powinno być sytuowane w tym względzie, na wszelki wypadek, nie gorzej od drugich, żeby mogło całkowicie oddać się swemu dziełu i żeby powaga jego w oczach ludu nie upadła.

14. Dawną ostoję prawosławia — Skit maniawski, powinno się w możliwie krótkim czasie odbudować. („*Rjecz*“, nr. 259. 9. X. 1914; nr. 248. 15. IX. 1914).

Podziwiać należy odwagę wnioskodawcy i aprobujących powyższe pomysły, którzy śmieli poczet ten długi ozdobić u początka samego zapewnieniem dobrodusznej tolerancyi, jakby na kpiny wobec tego, co w ciągu dalszym nawymyślali. A jednak władzom rosyjskim za mało jeszcze było tej „tolerancyi“, jak tego dowodem artykuł w pierwszym numerze dziennika „*Lwowskoje Wojennoje Słowo*“ (26. IX. st. st. 1914), wydawanego z polecenia głównodowodzącego armiami południ.-zachodniego frontu. Wyjaśnia on na podstawie wiarygodnych źródeł, jakiemi zasadami zamierzały administracyjne władze kierować się w religijnych kwestyach Galicyi. Po zapewnieniu i w tym wypadku tolerancyi religijnej następują oświadczenia, jedno chytrzejsze od drugiego, w rodzaju np. postanowienia nie dopuszczania na dawne miejsca księży katolickich i uni-

ckich, którzy nie pozostali z parafianami swoimi, niedopuszczania nowych księży bez osobnego każdym razem zezwolenia generał-gubernatora itp.; zresztą przytoczone rezolucye zyskały zdaje się i oficyalną aprobatę, bo w praktyce tak właśnie postępowano z ludnością wiejską, którą wszelkimi sposobami kaptowało się dla prawosławia. Co działo się za czas inwazyi rosyjskiej w reszcie kraju nie wiadomo jeszcze dokładnie, ale w każdym razie nie wesołe stamtąd dochodziły od czasu do czasu wieści. We Lwowie samym trudno było odrazu rogi pokazać, ale i tu nawet przezierały na każdym kroku niedwuznaczne tendencye wobec duchowieństwa i cerkwi unickich. Katedrą niejako prawosławną stała się odrazu cerkiew grecko-oryentalna przy ul. Franciszkańskiej, ale nabożeństwa prawosławne odprawiano i w cerkwi Stauropigialnej, tudzież w cerkwi nowej przy ul. Krakowskiej; nie brakło też zabiegów o opanowanie cerkwi archikatedralnej św. Jura, do czego jednak nie dopuściło duchowieństwo tamtejsze, za co też pogodzić się musiało z odmurowaniem w pałacu metropolity ukrytego skarbca katedralnego i uwiezieniem go do Rosyi, zdaje się także na dowód szczerych zapewnień tolerancyi religijnej. Wszystko zaś to działo się pod egidą osławionego arcybiskupa wołyńskiego, Eulogiusza, któremu powierzyła Rosya pieczę o cerkiew prawosławną w Galicyi. A jak on pojmował szczytną swą misyę tego dowodem być może wydawnictwo p. t. „*Łystky dla Galicyi*", którem zasypywano za jego wiedzą kraj cały. Były to świstki dwukartkowe, drukowane w „Świato-troickoj Sergiewoj Ławri" z datą 1914 i 1915 r. w języku naśladującym ukraiński, propagujące per fas et nefas idee prawosławne. W numerze np. 8-mym tych „Listków" znajdujemy paszkwil bezprzykładnie ordynarny p. t. „Josafat Kunce-

wicz abo jakiji u katolikou światiji ; święty unicki przedstawiony jest tam słowami, nie nadającemi się wprost do powtórzenia, zadziwiającemi natomiast nie aby jaką pomysłowością autora, tudzież względnością cenzury. Po zohydzeniu w najwyszukańszych ordynaryjnościach św. Josafata, autor zostawia czytelnikowi do rozstrzygnięcia kwestyę jakości świętych u katolików, starając się choćby za tę cenę poniżyć katolicyzm w oczach jego unickich wyznawców. P. Bendasiuk tymczasem uchwala rezolucyę zwinięcia zakonu Jezuitów i Bazylianów, jako niebezpiecznych i działających na niekorzyść prawosławia, jakgdyby one nie miały nic lepszego do roboty, jak właśnie służyć celom prawosławia! Tak jednak pojmuje się tolerancyę w kraju, który z zapewnieniem jej stosuje równocześnie średniowieczne metody tępienia obcych wyznań!

To wszystko, cośmy dotychczas skreślili z dziejów ledwie zajętego Lwowa, za tło służyło ogólnemu obrazowi życia jego w okresie okupacyjnym. W ramach tych ścieśnionych mieścić się musiało z konieczności bujne do niedawna życie wielkiego, ruchliwego miasta, korzystającego wszechstronnie z dobrodziejstw kultury europejskiej i swobód konstytucyjnych. Z chwilą najazdu poczęło ono przybierać jakby inną fizyognomię, z którą wprawdzie nie do twarzy mu było, ale którą tem bardziej zmuszano je na zamówienie przybierać. Lwów musiał za wszelką cenę stać się odrazu tem, czem właśnie za długie wieki swego istnienia nigdy nie był, t. zn. „istinno-russkim gorodom“, jak go ogólnie nie wiedzieć z jakiej racyi w całej Rosyi nazywać zaczęto. Odpowiednio też do tego założenia stowano wobec ludności jego sposoby, mające jej samej wykazać, że w błędzie była, sądząc inaczej. Dlatego też, jak z rogu obfitości sypały się coraz to nowe zmiany, prze-

pisy, polecenia, rozkazy, zlecenia, pomysły i próby, którym końca zdawało się nie być. Trafiały zaś na grunt bardzo wrażliwy, denerwujący się niemi, bo niezwykła chwila zaskoczyła Lwowian całkiem nieprzygotowanych, a do tego gnębionych nieszczęściami, co parami zwykły chadzać.

Z okazaniem się Rosyan zjawiło się Lwowianom równocześnie widmo głodu, nędzy i chorób. Obawy śmierci głodowej zmalały znacznie po energicznych wysiłkach zarządu miasta, chociaż zimę całą nękały biedaków, ale groźniejsze były przewidywania co do rozpanoszenia się chorób zakaźnych, a przedewszystkiem strasznej cholery. Pierwszy wypadek zachorowania na cholerę zaszedł 12. września, a dotniętym nią był żołnierz rosyjski z Bessarabii. Wypadek ten zatrwożył wszystkich, ponieważ warunki niekorzystne, jak drożyzna, nędza mas, zagrażający głód, zaniedbana czystość na ulicach, placach, w domach, denerwujące i przygnębiające wrażenie wojny, troska o los najbliższych stwarzały podłoże, bardzo dogodne dla epidemii, a dla cholery szczególnie. Pomyśleć więc trzeba było szybko o zaradzeniu jeszcze wczas niebezpieczeństwu, a z przyzwyczajenia zwrócono się z tem do zarządu miasta, który na wszystko musiał znajdować radę. I istotnie, dzięki niestrudzonemu prez. Rutowskiemu powołana została do życia Rada sanitarna, której zadaniem było podjęcie walki z groźnym nieprzyjacielem. Na wniosek Rady zreorganizowane zostało miejskie laboratoryum bakteryologiczne, na czele którego stanął prof. P. Kuczera, oddając wnet do dyspozycyi przygotowaną przez siebie szczepionkę przeciw cholerze dla 150 osób. W laboratoryum badał prof. Kuczera dalsze wypadki zarazy, które przeważnie zachodziły u żołnierzy rosyjskich.

Na konferencyi (19. września) fizyka dra Legeżyńskiego i dra Rutowskiego, jako przewodniczącego miejskiej komisyi zdrowotnej, z lekarzami rosyjskimi u gubernatora w sprawie chorób zakaźnych wojskowość przyrzekła użyczyć miastu 30 par koni, aby w ciągu tygodnia oczyścić miasto ze śmiecia, które wywiezie się za miasto i tam się spali. Całe koszary obrony krajowej przy ul. św. Piotra i Pawła przeznaczono na szpital choleryczny dla żołnierzy, a dla ludności cywilnej służyły dwa budynki tuż przy pawilonach infekcyjnych. Szpital w zakładzie karnym im. Maryi Magdaleny poświęcono głównie dla dysenteryi; pierwsze piętro oddano dla chorych austryackich żołnierzy, drugie dla rosyjskich. Służbę w pawilonach cholerycznych objęły siostry im. Maryi.

Na szczęście grasowanie cholery nie było zbyt groźne, bo do 26. października wykazano bakteryologicznie 96 przypadków, przeważnie u żołnierzy, leczonych we Lwowie. Obawiać się jednak można było słusznie początkowo liczniejszych ofiar, a o ile obeszło się bez nich to tylko dzięki zabiegom miasta, bo wojskowość rosyjska mało dbała o to, przeszkadzając jeszcze najczęściej. Na przedłożenie Prezydyum miasta wydał gubernator Szeremetiew następujące: „Obwieszczenie.

Celem usunięcia możliwości powstania w mieście chorób epidemicznych podaje się do wiadomości i do bezwzględnego wykonania: Wszyscy właściciele domów jak również osoby zarządzające publicznymi gmachami obowiązani są:

1. Trzymać w czystości dziedzińce (podwórza) domów, a szczególniej miejsca ustępowe (klozety) i śmietniki,

2. mieć dozór i utrzymywać w czystości należące do domów chodniki, jak również odnośne części ulicy,

3. natychmiast zawiadomić Fizykat miasta o wszelkich wypadkach pojawienia się w domach chorób zaraźliwych.

Wszelkie żądania Fizykatu mają być wykonane przez ludność miasta bezzwłocznie i jak najdokładniej.

Osoby niestosujące się do powyższego zarządzenia będą karane aresztem do 3 miesięcy lub grzywną do 1000 rubli.

Obwieszczenie niniejsze nabiera mocy z chwilą opublikowania go.

Wojenny gubernator
pułkownik Cheremeteff.

Lwów, dnia 14. września 1914".

Polecenia te uzupełnił magistrat i ze swej strony szczegółowem „Obwieszczeniem w sprawie donoszenia o chorobach zaraźliwych", wydanem dnia 15. września 1914 i rozlepionem na ulicach. Celem zaś pouczenia ludności, jak zachowywać się ma wobec epidemii, wydał zarząd miasta pojaśnienie: „W jaki sposób mogą ludzie zdrowi w czasie epidemii cholery, czerwonki lub tyfusu brzusznego uchronić się od zakażenia?": pouczenie to wywieszono we wszystkich domach na widocznem miejscu. Równocześnie wyszła nakładem gminy miasta broszurka p. t. „Pouczenie o cholerze azyatyckiej", opracowana przez dra Pawła Kuczerę (Lwów 1914. str. 15).

W obronie przed rozszerzaniem epidemii komitet wykonawczy lekarski na wniosek fizyka polecił zakazanie ustawiania katafalków, kotar żałobnych, świeczników i kwiatów najemnych w domu żałoby — zakaz ten przestrzegano ściśle za cały czas wojenny. Pieczę zaś nad wszystkiemi rozporządzeniami powierzono Miejskiej Straży obywatelskiej, dla użytku której ogłosił fizykat instrukcyę w sprawach sanitarnych, składającą się z 7-miu punktów odnośnych. Wszystkie te zabiegi uwieńczone zostały dodatnim wynikiem, ponieważ po niejakim czasie tamę położono szerzeniu się dalszemu chorób tak, że w zimie prawie mowy nie było już o cholerze.

Ciężką i bez tego była ta długa, dla wielu jakby bez końca zima. Zaopatrzonymi na czas jej trwania byli wyłącznie prawie ludzie, żyjący z pracy rąk swych, kupcy, przemysłowcy oraz posiadający większą gotówkę. Dla tych zajęcia i dochodów było mnóstwo i nie mogli się skarżyć na złe czasy, bo owszem zbijali nawet pokaźne majątki, ale w sytuacyi wprost rozpaczliwej znalazły się nadzwyczaj liczne rzesze średniej inteligencyi tudzież warstw niższych. Już we wrześniu i październiku musiało miasto pomyśleć o wydatnej pomocy dla nich, a w jakich dopiero warunkach znaleźli się z nastaniem zimy, która tyle potrzeb pociąga za sobą! Stanął też zarząd miasta przed kwestyą, którą za wszelką cenę załatwić należało i to bez oglądania się na pomoc postronną: najwyższym i jedynym zwierzchnikiem ludności, uznawanym przez nią za prawowiernego, był tylko Magistrat i odeń to i nie od kogo innego spodziewała się ona i spodziewać chciała ręki pomocnej. Potrzeby te ograniczały się, jeśli nie do pieniędzy to przedewszystkiem do najprymitywniejszych wymogów człowieka, a zatem do wyżywienia, ogrzania się i ubrania.

Niemożność zaspokojenia ich o własnych siłach kierowała tysiący bezradnych w stronę, gdzie przynajmniej nadzieję widzieli pomocy, gdzie pewni byli przynajmniej szczerych chęci dobrych. Rzesze tysięczne wprost znalazły odrazu opiekunów w rządach miasta, a wdzięczne ich wspomnienia powiększyły nieprawdopodobnie liczne zastępy coraz nowych, coraz innych potrzebujących. Zaspokojenie doraźne i tych rozniosło po mieście sławę człowieka, którego imię odrazu stało się synonimem serca, otwartego dla wszystkich i zawsze. Z ust do ust poszła opowieść o kimś, co stanął silnie na straży miasta, nie pozwalając, by komuś w niem działa się choćby najmniejsza krzywda, by ktoś cierpieć miał głód lub niedostatek. Dobrej zawsze zażywał sławy przezacny prezydent Rutowski, ale na miłość i cześć Lwowian bez różnicy wyznań, narodowości i przekonań zasłużył sobie dopiero w najcięższych chwilach stolicy. Uczucia podobne, zdobyte w ciężkich chwilach próby, płyną zawsze ze szczerego serca, bo wiadomo, iż „poznaje się przyjaciół w biedzie", a złoto sprawdza się w ogniu. Wielkość duszy i serca swego opatrznościowego pana poznać mieli sposobność Lwowianie w niezwykłych przejściach i dlatego nauczyli się go nie tylko szanować czcić i poważać, ale więcej nawet, bo kochać i wielbić. Wiedział o tem dostojny prezydent i w tem właśnie czerpał siły swoje niewyczerpane, które pozwalały mu nietylko dyrygować z góry, ale i imać się własnemi rękoma setek całych spraw najróżnorodniejszych, których kilka tylko wystarczyć mogło, by kogoś innego zająć na dnie nieraz długie. On jednak sam dawał zupełnie radę trudom największym i nie było takiego, przed którymby się zawahał — umiał, bo chciał przełamywać wszelkie trudności. I nie tylko pod tym względem się odznaczał. Niezmordo-

wana pracowitość jego w parze szła z zadowoleniem z niej, z którego znów wypływała świadomość należytego spełniania wielkich obowiązków, poczucie których uczyniło go skutecznie nieugiętym i prostolinijnym, bezkompromisowym w działaniu. Wielkim umysłem potrafił ująć wielkość chwili, rezygnując z wymagań osobistych i stając się umysłem, duszą i sercem wielkiego zbiorowiska ludzi, troskę o których los mu szczęśliwie powierzył. I to, że dziełu temu sprostał w zupełności, nikogo, znającego go dokładniej, nie może tyle zastanowić, ile podziwu godny jest traf, co chciał, by on, a nie kto inny stanął na czele i ręką silną, wspieraną umysłem wielkim, pokierował szczęśliwie i mądrze losami wykolejonego gwałtownie miasta. Szczęście chciało, by Lwigród któremu nie nowina to była — i w tych wielkich przejściach stwierdził swą siłę i żywotność i dlatego takiego, a nie innego dało mu przewodnika przez wzburzone fale dziejowe.

Rządnym gospodarzem był prez. Rutowski wraz z dwoma wiceprezydentami, drem Stahlem i drem Schleicherem, niema we Lwowie chyba nikogo, coby nazwisk ich nie znał i nie wspominał dobrze. Zaskarbić potrafili sobie nie tylko wdzięczność, ale i ogromne zaufanie, bo do czego tylko rękę przyłożyli wszystko musiało się jak najlepiej ułożyć, przekonując Lwowian o niezwykłej energii i zaradności opatrznościowych ojców miasta. Powiadano o prezydencie Rutowskim, że potrafi robić coś z niczego, a o prawdzie tego przekonuje choćby ta jedna okoliczność, że liczba założonych przez miasto tanich kuchni osięgnęła cyfry 78-miu. Kuchni dla inteligencyi fungowało 15, ludowych 22, w zakładach dobroczynnych 12, w ochronkach 22, w domach dla inwalidów 4, herbaciarni 3. We wszystkich tych kuchniach żywiło się codziennie przecię-

tnie około 46.000 osób, a więc czwarta część mieszkańców ówczesnego stanu ludności. Czy nie zasługuje to na podziw? Nie koniec jednak na tem, bo kiedy zaszła potrzeba jeszcze i pomocy w naturze i jej podołało obarczone miasto, zaopatrując znów setki, tysiące ludzi w środki żywnościowe na podstawie asygnat. Trzeba było zająć się bezradnymi inwalidami armii austryackiej, znalazła się i dla nich pomoc i pomieszczenie, oczywiście, także dzięki niestrudzonemu Prezydentowi. Przyszła doń deputacya nauczycielek prowincyonalnych, pozostałych we Lwowie bez oparcia i mieszkania — za dni kilka otrzymały, o co prosiły. Z podobnemi prośbami zjawiali się u Prezydenta codziennie coraz to inni, którzy jak długo mogli trzymali się o własnych siłach, ale w chwili ostatniej z nadzieją do niego się tylko zwracali. Najczęściej też niedługo czekali, bo znajdowali wyrozumienie i poparcie życzliwe, jak je znajdował u przezacnego Prezydenta każdy potrzebujący, obojętnie czy biedna wdowa, żona walczącego w polu, urzędnik lub zarobnik.

Najwięcej do przekonania przemawiają zawsze bezpośrednio okazane uczucia, zwłaszcza jeśli chodzi o skalę ich życzliwości i dlatego sądzimy, że interesujące będzie zapisać, dla tem dobitniejszego podkreślenia, głos, wypowiedziany wprost pod wrażeniem chwili. Znajdujemy w jednym z dzienników charakterystyczny pod tym względem zapisek, godny zwrócenia nań uwagi i to przedewszystkiem dlatego, że całkiem bezpretensyonalnie wypowiedziany został, jedynie jako hołd okazany zasłudze. „Jednem ze zjawisk — czytamy tam — które wszyscy obserwujemy dziś z zachwytem i uwielbieniem, to działalność naszej macierzy, prezydyum naszego miasta. Czem być może, czego dokonać, ile ciężaru podźwignąć zdolna jednostka, stojąca

na wysokości chwili, górnie pojmując swoje obywatelskie obowiązki, rozumiemy dziś dopiero, patrząc czego dokonuje prezydent Rutowski. W nieustającej trosce o dolę mieszkańców miasta co dnia niemal organizuje nowe instytucye ratunkowe, kuchnie, schroniska, ochronki, coraz nowe rzesze pracowników dziś bez pracy, bez pensyi, bez środków egzystencyi — ogarniając swoją opieką. Rozpoczął od najuboższych, tych szarych zastępów kobiet i dzieci opuszczonych przez swych żywicieli, zakładając dla nich cały szereg bezpłatnych kuchni, które rzecz prosta nie dają im zupełnego utrzymania, w każdym razie ratują od głodu. Atoli, jak się prędko ujawniło, nie tylko proletaryat, ale i t. zw. inteligencya głodem zagrożona — tedy co rychlej tworzyć kuchnie dla inteligencyi. Przybywa jej każdego dnia, jak to stwierdzić można na kurytarzach, tak, że okazuje się nagląca potrzeba specyalizacyi, potrzeba osobnych ratunkowych instytucyi dla różnych jej kategoryi. Dr. Rutowski długo się nie namyśla, w jednej chwili projekt gotowy: tworzy jedną za drugą kuchnię dla urzędników, dla artystów, dla nauczycielstwa. Nauczycielstwo zamiejscowe i mieszkać nie ma gdzie... Dobrze, będzie mieć schronisko w bursie dziewcząt. I tak każdego bierze w opiekę, dla każdego coś wymyśli, coś uradzi. Trzeba przyznać, że i władze rosyjskie w akcyi tej obecnie udział biorą, lecz i tu zasługę przypisać należy twórczemu rozmachowi i szlachetnej intuicyi głowy miasta i przezacnych i w pracy nieustających pomocników: dr. Schleichera i dr. Stahla.

Głos powyższy opinią był wszystkich w mieście bez wyjątku chyba, a jak popularny otaczał prez. Rutowskiego szacunek przekonywał się każdy, kto sposobność miał widzieć go w czasie przejazdu przez ulice. Na widok znanego ogólnie powozu przystawali przechodnie, półgłosem

rozchodziło się, że prezydent jedzie, co wystarczało, by w tej chwili zaelektryzować całą ulicę, by szeregi całe pochyliły się z odkrytemi głowami, a oddalający się powóz żegnały życzliwe spojrzenia. Jedną z takich scen podajemy z poufnej kroniczki, zapisaną pod dniem 22. października 1914 r., gdzie czytamy: „Sympatyczną a charakterystyczną scenę widzieć można było dziś przed wieczorem. Przed hotelem George'a stanął powóz prez. Rutowskiego, który wszedł do budynku. Ludzie, znający powóz ten, stawali gromadkami, oczekując wyjścia prezydenta. Po jakimś czasie wyszedł on istotnie i zaraz wsiadł do powozu, odprowadzany oczyma setek ludzi. Warto było obserwować, z jakiem wrażeniem przypatrywano mu się! Na twarzach wszystkich czytać można było wielki szacunek i równocześnie pewnego rodzaju zadowolenie, że przecież widzi się jeszcze kogoś z tych, co dawniej byli pierwszymi — obecnie spotyka się tylko postaci cudze, dostojników ze szlifami, ale nikogo z dawnych. W prezydencie Rutowskim pozostał miastu jedyny tylko przedstawiciel dawnego ładu, łącznik z dawnem i do tego w najlepszym rodzaju, bo niema nikogo, ktoby nie uznawał wielkich jego zasług w chwilach tak ciężkich dla stolicy. Wszystko to przebijało się w oczach i spojrzeniach zgromadzonych przygodnie — była to jakby milcząca manifestacya. Rozeszli się „manifestanci“ nie prędzej, zanim nie zginął na zakręcie powóz“.

Okazywano czcigodnemu prezydentowi niejednokrotnie i publicznie wielki szacunek i poważanie. Sympatycznem zwłaszcza echem odbiło się w mieście noworoczne życzenie, przesłane mu przez inwalidów armii austryackiej, pozostających pod opieką miasta. Jego bowiem przedewszystkiem staraniem znaleźli oni oparcie i pomoc w czte-

rech specyalnie dla nich założonych zakładach, a mianowicie w Domu Akademickim, w szpitalu Ligi Pomocy przemysłowej, w pałacu hr. Siemieńskich-Lewickich, tudzież w zakładzie OO. Zmartwychwstańców (razem ponad 200 osób). Od nich to otrzymał z dniem Nowego Roku następujące życzenie, spisane w języku polskim i niemieckim:

„Do JWielmożnego Pana Dr. Tadeusza Rutowskiego, Prezydenta król. stoł. miasta Lwowa, Twórcy i Szczodrobliwego Opiekuna Miejskiego Domu Inwalidów c. k. austro-węgierskiej armii z wojny 1914—1915 r.

„Z najgłębszem wzruszeniem ośmielamy się korzystać z uroczystości Nowego Roku, aby JWPanu Prezydentowi złożyć nietylko nasze najserdeczniejsze życzenia noworoczne, ale przedewszystkiem wyrazić naszą najgłębszą wdzięczność za Jego miłościwość dla nas biednych, losami wojny tak unieszczęśliwionych inwalidów.

„Zdala od naszych rodzin, od naszych miejsc ojczystych, kalecy, bez pomocy, ni przytułku, znaleźliśmy to wszystko w stworzonym przez JWPana Miejskim Domu Inwalidów we Lwowie, przy ul. Królewskiej 7 i to w takiej mierze, w jakiejby nam tylko własna ojczyzna ofiarować mogła.

„To też niezapomniane nigdy dni i tygodnie, przeżywane w tym serdecznym przytułku, złożyły się na niewypowiedziane uczucia najgłębszej wdzięczności i najwyższej czci dla JWPana, jako gospodarza stoł. król. miasta Lwowa, jako przedstawiciela szlachetnego narodu polskiego.

„Z pełnych przeto piersi wznosimy dziś okrzyk: „Niech żyje JWPan Prezydent Dr. Rutowski, „Hoch“, „Elien“, „Na zdar“, „Živio“, „Eviva“, „Trejaskie“, „Slava“, „Vivat“, „Mnohaja lita“.

„Z okrzykiem tym spodziewamy się — da Bóg — niezadługo powitać ojczyste nasze strony, aby Go wszędzie tam przekazać naszym rodzinom w najdalsze pokolenia, ku wdzięcznej pamięci o szlachetnej wielkodusznej dobroczynności JWPana.

Lwów, dnia 1. stycznia 1915“.

Pod tekstem powyższym widnieją podpisy wszystkich chorych, znajdujących się w Domu Inwalidów, przeważnie węgierskie, a także niemieckie, czeskie, słowackie, rumuńskie, włoskie, nie brak też polskich, ruskich i kroackich. Przy wielu podpisach widnieją krzyżyki — dowód braku rąk nieszczęśliwych żołnierzy.

Z wielkiem zadowoleniem przyjęli Lwowianie także i z innej strony wyrażony hołd i uznanie dla swego kochanego Prezydenta. W dziennikach wszystkich z stycznia (1915 r.) przedrukowano obszerny artykuł „Dziennika Kijowskiego“, w którym wspaniale scharakteryzowano postać i zasługi prez. Rutowskiego, jak niemniej doskonale oddano uczucia, żywione dlań przez Lwowian. Ponieważ rzecz ta była wypadkiem dnia z początkiem Nowego Roku zatem sądzimy, iż nie od rzeczy będzie wspomnieć i na tem miejscu o niej, choćby w głównych wyjątkach. Po skreśleniu publicznej działalności dra Rutowskiego przechodzi autor sylwetki do roli jego jako prezydenta okupowanego Lwowa, powiadając: „Gdy prezydent miasta Neumann uciekł ze Lwowa, nie mając urlopu z Rady m., więc eo ipso utracił mandat, tem samem godność prezy-

denta z natury rzeczy, zgodnie z opinią i życzeniem ogólnem przeszła na wiceprezydenta Rutowskiego. Od pierwszej chwili, zostawszy na miejscu, z nadzwyczajnym taktem i rozumem potrafił ukształtować stosunek ludności do nowych władz, a gdy posiedzenia rady miejskiej zostały rozwiązane, prezydent z konieczności musiał stać się autokratą, biorąc na swe barki całą odpowiedzialność za kierowanie sprawami miasta. Wojna, która wszystko może, potrafiła dokonać czynu nawet tak niezwykłego, jak zrobienie z polskiego szlachcica rachunkowego rządcę: prez. Rutowski okazał nadzwyczajną rządność i zapobiegliwość, wydobył niespodziewane dochody i dziesiątkom tysięcy ludzi dał możność egzystencyi. Gdy po ucieczce Neumana Lwów pozostał bez żadnych władz bezpieczeństwa, wówczas Rutowski stworzył Straż Obywatelską, do której zapisali się przedstawiciele narodu i milicyę miejską w celu utrzymania porządku i spokoju w mieście. Jego zasługą jest również cała akcya aprowizacyjna mająca na celu zapobieżenie wyzyskowi niesumiennych, a chciwych handlarzy i założenie kuchni bezpłatnych i tanich, gdzie się dziennie około 5000 obiadów wydaje. Pomyślał o założeniu miejskiego zakładu zastawniczego, będącego w danej chwili ogromnem dobrodziejstwem. Zorganizował komitet opieki nad inwalidami armii austryackiej. Specyalną opieką i pieczołowitością otoczył najbiedniejszą dzisiaj klasę urzędniczą, która jego zabiegom niezmordowanym zawdzięcza wykołatany dzisiaj zasiłek w postaci 35 procent od miesięcznej pensyi. Zasiłek ten ma być wypłacony w wydanych przez miasto obligacyach, skomponowanych wedle pomysłu art. malarza Wygrzywalskiego. Jeszcze dotychczas w obiegu są bony magistrackie jednokoronowe, wydane w chwili największego braku drobnej monety. Prezydent

Rutowski jest prawdziwym ojcem miasta. Uprzejmy, przystępny w każdej chwili dla każdego, uczynny wedle możności w tych, tak trudnych, jak obecnie, warunkach, otaczany jest przez mieszkańców Lwowa powszechnym szacunkiem i wielką miłością“.

Zimę, rzec można bez przesady, przebiedowała jakoś większa część Lwowian dzięki tym właśnie zabiegom i staraniom swego prezydenta, względnie energicznego zarządu miejskiego. Przebiedowała powiadamy, bo istotnie biedny to był żywot za te długie miesiące uprzykrzonej zimy! Z chlebem codziennym było jeszcze jako tako, ale ile pomysłowości rozwijać się musiało, by zdobyć parę drzewek dla ogrzania, choćby jednej izby, by oświetlić ją w długie wieczory zimowe, by jako tako ubrać się na ulicę i wreszcie zaspokoić codziennie nie wielkie, ale konieczne wydatki! Zwłaszcza brak opału dawał się bardzo dotkliwie odczuwać ogólnie. Węgla kamiennego prawie nie było w mieście, a te zapasy, co jeszcze zostały, użyte być musiały przedewszystkiem do celów przemysłowych. Dowozu żadnego nie było, a tymczasem mróz dokuczał. Radzili sobie ludziska jak mogli. Powszechnie urządzano się tak, że mieszkanie z kilku pokoi redukowano w użyciu do jednego, który opalano, a resztę zamykało się ad feliciora tempora. Nie łatwo jednak było zdobyć drzewa choćby i dla tego, jednego pokoju, bo nietylko brak pieniędzy stał temu na przeszkodzie — były tygodnie całe, iż zupełnie prawie myśleć nie można było o opalaniu pieców nietylko kuchennych, ale i pokojowych. Zarząd miasta zajął się i tą sprawą szczerze, ale zbyt wiele stawało trudności na przeszkodzie — nie było robotnika do rębania w lasach miejskich, a kiedy się wreszcie nieco uczniów i studentów do pracy tej zgłosiło, nie dało się znikąd

koni i wozów zdobyć, bo kto je nawet posiadał obawiał się wysłać za miasto przed grabieżą rosyjską. Z trudami ogromnymi udało się miastu zwieźć nieco opału, ale ilu amatorów czekało już nań na ulicach! Rozpaczliwe sceny obserwować można było w czasie rozwózki opału tego po mieście — setki ludzi chciało, by zawartość jednego wózka odrazu dla wszystkich wystarczyła i za nic nie dawały sobie wytłumaczyć, że fizyczna to wprost niemożliwość. Odchodzili od tych wózków nierzadko z postrzępionem ubraniem, a zawsze prawie bez jednego polanka, ponieważ zdobycz pożądana dostawała się w udziale tylko najdzielniejszym, t. zn. ryzykującym całość nie tylko ubrania, ale i kości, zębów, nóg i rąk obu. Doszło wreszcie do tego, że rozwózkę każdą zapowiadać musiał magistrat specyalnemi ogłoszeniami, w których szczegółowo zapowiedziane było, kiedy i gdzie w danym dniu okaże się zaprząg z tym cennym ładunkiem. Spodziewano się w ten sposób uniknąć tłoku ludzi z ulic najdalszych, ale nie bardzo się powiodło, bo ludek lwowski, jeśli chodzi o własną potrzebę rozwinąć potrafi niezwykłą pomysłowość. Dowodów też tego złożył aż nadto wiele za zimę ową pamiętną. Do wózków niedopuścił nikogo i to pod najrozmaitszymi pretekstami — jeśli nie powiodła się perswazya ustna w rodzaju uwagi, że „to nie dla państwa, a tylko dla biedaków“, albo, „teraz niema już protekcyi, bo państwo takie same dziady jak i my“, albo wreszcie urąganie na panie „kapeluszowe“ i na „panów radców“, wówczas bez skrupułów stosowało się prawo silniejszego, rozdzielając razy na lewo i prawo. Zrezygnować więc musieli z dobrodziejstwa tego ludzie nie przywykli do metod podobnych, uznając się w zapasach za pokonanych doszczętnie — woleli cierpieć od mrozu, niż od życzliwych współ-

obywateli, którzy całkiem głośno powiadali, że „teraz dla nich czas nastał“.

I nie tylko panami sytuacyi w zapasach tych zostali, bo niepodzielnie zagrabili i inny proceder w swój wyłączny prawie monopol. Oto, nie dość im było „zwycięstw“ przy wózkach miejskich, sklepach tanich i wszelkiego rodzaju instytucyach dobroczynnych, z których genialnie wprost umieli korzystać, bo umyślili sobie jeszcze inny rentowny proceder. Rozpoczęło się to od dobrodziejstw kozaków, którzy „biednym“ ludziom pozwolili z cudzych pól wykopać sobie kilka worków kartofli; eksploatacya ta wzrosła wnet do rozmiarów ogromnego przedsiębiorstwa, uprawianego na wielką skalę, bo ludkowi lwowskiemu nie dość było dwu, trzech worków. Za rogatki wyprawiano się powrotnemi wędrówkami z sańmi i wózkami, wyładowanymi dziesiątkami worków, które tonęły w przepaścistych piwnicach biedaków, lub szły na dobry handel, worek po kilkanaście koron. Dobry przykład zrobił swoje. Kopało się kartofle pod opieką kozacką i widoczna z tego korzyść, a więc czy nie popróbować tą drogą zaopatrzyć się i w opał? Drzew dokoła mnóstwo, panów ich niema, a choćby i byli to od czego kozak z karabinem i nahajką? Ostatni, a ogólny argument, że „na wojnie wszystko wolno“ rozbroił z reszty skrupułów rzesze ludku poczciwego, który jak szarańcza rzucił się na nieszczęśliwe lasy podmiejskie, wyprawiając się na nie z piłami, siekierami i omal że nie z maszynami parowemi. Rozpoczęły się istne wędrówki ludów, żądnych już nie tyle może opału, ile dogodzenia swej naturze wandalskiej. Taki bowiem przemysłowiec nie zadawalał się sągiem odrębanych gałęzi, lecz odrazu polował na zgromadzenie zapasów na zim kilka i to w postaci najprzedniejszego materyału palnego. Po-

nieważ zaś nic to nie kosztowało, więc na próbę ścinało się połowę pierwszego lepszego drzewa, a kiedy badanie wypadło niepomyślnie zabierało się do nowej ofiary i tak bez końca przez przeciąg tygodni kilku. Padły też ofiarą przemysłu tego najpiękniejsze lasy podmiejskie na Pohulance, Zofiówce, w Zubrzy, Lonszanówce, za Stryjską rogatką, na Żelaznej wodzie, w Kleparowie i wogóle gdzie tylko dotrzeć można było wygodnie. Na wygodę zwracano bardzo wielką uwagę, bo nie opłaciło się dźwigać pniaków całych z daleka. Zamiłowanie to do wygody w pracy u ludku lwowskiego omal że nie stało się klęską ogrodów i parków w samem mieście, bo w rozpędzie ogromnym zwróciła ta szarańcza siekiery swe i piły nawet na drzewka przydrożne. Szał formalny opanował te rzesze niesforne, każąc im nieprzyjaciela widzieć w lada drzewinie, co ledwie kilka łat od ziemi odrosła — z zapalczywością bezprzykładną tępiono, co się tylko pod rękę nawinęło.

Roiły się ulice od karawan, obarczonych drzewem niewiast i niedorostków i sposobu nie było na tę plagę. W obronę brała Straż Obywatelska biedne lasy i ogrody, a z nimi i cudze parkany, ogrodzenia i budynki drewniane, bo ludek lwowski i na ten opał rzucił się masowo. Nie wiele to pomagało, jak i bez wrażenia przemijały liczne apele po dziennikach, odwołujących się wreszcie do serca bezlitosnych niszczycieli. Skarb miasta poniósł w krótkim czasie szkodę na kilkaset tysięcy koron, a drugie tyle przypadło na właścicieli prywatnych; milion koron kosztowała ta zabawka ludku lwowskiego w traczy, rębaczy i handlarzy. Kiedy już rabusiostwo to przeszło granice możliwości odkomenderowano dla ochrony lasów i płotów milicyantów, którzy jednak dobrze się musieli mieć na baczności, by gorliwości swej nie przepłacić życiem, jak to

w kilku przypadkach omal że nie przytrafiło się. Nie było rady — zaapelować trzeba było w końcu do władz rosyjskich o pomoc, bo do tego czasu zachowywały się one zupełnie biernie wobec rozpasanych tłumów, którym nawet nierzadko szli z czynną pomocą dobroduszni żołnierze. Dnia pewnego okazało się w tej sprawie ogłoszenie gradonaczelnika, jedno z nielicznych przywitanych naogół życzliwie przez ludzi dobrze myślących. Sprawiło ono wrażenie pewne jeszcze z innego względu, a mianowicie przeszczepienia na grunt lwowski istinno-russkiego terminu, znanego tu tylko ze słychu. Brzmiało bowiem następująco:

„Ogłoszenie.

Zauważyłem, że na ulicach m. Lwowa wycinają rosnące tam drzewa. Za podobne czyny będą winni pociągnięci do surowej odpowiedzialności, jako za chuligaństwo.

Gradonaczelnik m. Lwowa:
Generał-major *Eiche*".

Od dnia tego oryginalnego ogłoszenia (19. października) coraz rzadziej widywało się już na ulicach przygodnych drwali, którzy zresztą nie odrazu dali za wygraną. Przedtem nie wystarczały im byle jakie pniaki, ale odtąd wyprawy czynili wyłącznie prawie na pogardzone dawniej resztki w postaci gałązek i szczypek. Oczywiście, przy sposobności zwaliło się jeszcze i nie jedną sosnę, brzozę czy grabinę, ale naogół powściągnięte zostały skutecznie rozpędy „chuliganów" lwowskich, którzy w tak oryginalnych okolicznościach uzyskali nowe miano chrzestne, oficyalnie zatwierdzone,

Zima ciągnęła się uporczywie jak na przekór biednym ludziom, którzy wzdychali już do słońca, do wiosny. Od niej to spodziewali się uwolnienia nie tylko z kłopotów codziennych, ale i z przyczyny wszystkich krzywd i nieszczęść, co jak z rogu obfitości sypały się na zgnębione miasto. Radzili sobie ludziska jak potrafili — zakładali urzędnicy sklepy spożywcze, akademicy chodzili na rębanie drzewa w lasach miejskich, handlowali drzewem i czem się tylko dało, niewiasty otwierały herbaciarnie, mleczarnie, bazary, sklepy z pracami rąk swoich i wszystko wogóle zobaczyło odrazu ocalenie w handlowaniu. Byli nawet tacy, którzy w naiwności swojej widzieć w tem chcieli zaczątki unarodowionego kupiectwa, uprzemysłowienia kraju i t. p. ładnie brzmiących rzeczy, nie pomni na to, iż bieda tylko z tego wszystkiego wyzierała bokami wszystkimi. Do myślenia nie dawała im nawet okoliczność, że ci wszyscy bez wyjątku uprzemysłowieni tak mało okazywali pomysłowości i rzutkości, kopiując ryczałtowo jeden lub dwa pomysły jako tako możliwe: ulica lwowska przybrała się jakby na zamówienie w wywieszki, zachwalające tylko jadło, herbatę i mleko, bo na to tylko zdobywała się inwencya improwizowanych kupców. W rzeczywistości zaś sprężyną tych skromniutkich poczynań wszystkich było nie co innego, jak tylko i wyłącznie brak grosza, a niestety okoliczność taka nie wystarcza jeszcze do mianowania się kupcami i przemysłowcami.

Brakowi grosza należało jakoś zaradzić w sferach urzędniczych, bo on to właśnie tak fatalnie odbijał się na życiu miasta, pętając każdy żywszy krok, zmierzający do postawienia na nogi normalniejszego trybu życia kół szerokich. Jak wszystkie inne plany i pomysły urzeczywistniać musiał zarząd miasta, tak i zrealizowania projektu

udzielenia urzędnikom zaliczek na zalegające pensye rządowe wyglądano tylko od niego.

Z licznych projektów przeprowadzenia tego niełatwego dzieła, jeden okazał się najpraktyczniejszy i stosunkowo najłatwiejszy do zrealizowania. Po wielu debatach postanowiło prezydyum w porozumieniu się z bankami lwowskimi miasta wypłacić zaliczki na pensye. Ponieważ zaś kasa miejska nie rozporządzała w danej chwili potrzebną, wcale znaczną gotówką, więc ułożono się z bankami w ten sposób, że część gotówki pożyczą banki, a resztę wypłaci miasto. Banki dostarczyć miały monety rządowej, a miasto asygnat, opiewających na kwotę 100 koron. Asygnaty te miały porękę całego majątku gminy i zapewnienie przyjmowania ich w wypłatach bankowych we Lwowie, co najzupełniej uczyniło je autoratywnemi w obrocie pieniężnym, a zatem pożądanemi przez potrzebujących gotówki.

Trudności miało prezydyum w przeprowadzeniu tak samych wypłat, jak i wydaniu asygnat, na co potrzeba było zezwolenia władz rosyjskich. Długo się sprawa tego zezwolenia wlokła, ale w rezultacie przyszło ono w styczniu, poczem zaraz przystąpiono do prac przedwstępnych. Wykonanie projektu na 100-koronowe asygnaty powierzono F. Wygrzywalskiemu, a odbicie ich oddano „Towarzystwu akcyjnemu dla przemysłu litograficznego", temu samemu, które w wrześniu odbiło bony jednokoronowe. Pracowała z końcem stycznia 1915 r. „mennica" ta Rzeczpospolitej Lwowskiej z wielkim pospiechem, by wreszcie zaspokoić niecierpliwe oczekiwania licznych rzesz urzędniczych i istotnie nie długo kazała im już czekać. Z początkiem lutego znalazło się w kasie miasta 1,000.000 koron w postaci ozdobnych papierków, które za dni kilka przejść miały do rąk spragnionych ich posiadania. Sympatycznie

przedstawiały się te lwowskie banknoty. W formacie i niektórych szczegółach wzorowane zostały na 100 rublówkach, a zadrukowane były ze stron obu w kolorach miasta t. zn. niebieskim i czerwonym. Na stronie głównej, całą jej prawie powierzchnię zajmuje kartusz ozdobny z dwoma leżącemi figurami, pośrodku których widnieje głowa lwa, uwieńczona koroną. W tabliczce kartusza czytamy następujący napis:

ASYGNATA KASOWA
KORON 100 KORON
GMINA KRÓL. STOŁ. MIASTA LWOWA
wypłaci okazicielowi tej asygnaty kasowej
najdalej do dnia 30. października 1915 r.
STO KORON
w walucie koronowej
Gmina miasta Lwowa ręczy za wypłatę powyższej sumy całym swoim majątkiem.
Za pozwoleniem
WOJENNEGO GENERAŁ-GUBERNATORA GALICYI.

Po obu bokach powyższego tekstu, w osobnem obramieniu, umieszczona liczba: „100“ z prawej, a słowami: „STO“ z lewej strony, a pod nią mała litera: K. U góry banknotu, po bokach obu figur, leżących na kartuszu, widać z lewej strony znak: „Ser. A.“ (lub inna odpowiednia), a z prawej: „Nr. 01531 (lub inny odpowiedni). U dołu kartusza, pośrodku, w obramieniu data: „1915“. Pod nim napis kursywą: „Imieniem Gminy Król. Stoł. Miasta Lwowa“, a pod tem napisy, pośrodku: „Prezydent“ z lewej strony: „Wiceprezydent I.“, a z prawej: „Wiceprezydent II.“ Pod tymi umieszczono własnoręczne podpisy — prezydenta Rutowskiego, wiceprezydenta I. Stahla i wiceprezydenta II.

Schleichera. Tak przedstawia się główny obraz pierwszej strony banknotu, przedłużającego się ponadto z jednego boku w rodzaj kuponu, wypełnionego widokiem ratusza lwowskiego, odbitego w imitacyi znaku wodnego, a owiedzionego w prostokącie stojącym ramką wąską. U góry ponad tą ramką widać: „Nr. 01531", odpowiadający numerowi w właściwem polu banknotu.

Główna część odwrotnej strony asygnaty zajmuje w prostokąt rysunek jakoby portalu z kolumnami po bokach. W czteru rogach jego widać cyfry: 100, a po środku więk szych rozmiarów herb Lwowa z dwoma postaciami niewieściemi po bokach. Pod herbem napis: „KRÓL. STOŁ. MIASTO LWÓW". W rożku, bezpośrednio pod rysunkiem ledwie widoczne inicyały artysty-autora F. Wygrzywalskiego. W części kuponowej tej strony banknotu widać podobiznę ślicznej kaplicy Boimów we Lwowie.

Odbicie tych asygnat na bardzo ładnym papierze wypadło doskonale, przynosząc zaszczyt lwowskiej „mennicy", która prócz wykonania ich i bonów jednokoronowych upamiętniła się w dziejach okupowanego Lwowa jeszcze i innemi pracami, co niezawodnie przejdą kiedyś do zbiorów pamiątkowych. Dla użytku zbieraczy osobliwości notujemy, iż „Towarzystwo akcyjne dla przemysłu litograficznego" wydawało w okresie okupacyjnym serye kart do gry, które władze rosyjskie opatrywały swoim stemplem, tudzież puściło w świat wspaniałą publikacyę albumową, złożoną z 10 autolitografii, przedstawiających „Lwów w 1914—1915 roku" według rysunków O. Dobrowolskiego. Asygnaty, mające dotychczas kurs, przejdą kiedyś dopiero do zbiorów, ale w archiwum spoczywają już kamienie litograficzne na których zostały odbite, tudzież oryginały rysunkowe wraz z odnoszącymi się do wydania ich dokumentami wszystkimi.

W piątek dnia 5. lutego 1915 r. mogło się już miasto zająć wypłatą tak niecierpliwie wyglądanych zaliczek. Postanowiono wypłatę ich odrazu za dwa miesiące na podstawie asygnat, wystawionych przez odpowiednie komisye likwidacyjne, stosownie do przynależności podejmujących pieniądze. Komisyi tych było dziewięć, a mianowicie: polityczna, skarbowa, domenowa, sądowa dla funkcyonaryuszy czynnych i osobna dla emerytów i wdów, pocztowa, kolejowa, profesorska i wojskowa. Komisye te wydawały asygnaty, na podstawie których uskuteczniały wypłatę kasy: gminy m. Lwowa, Banku krajowego, Banku hipotecznego i Banku przemysłowego w walucie rublowej, bonach jednokoronowych i asygnatach 100-koronowych. Zaliczki te otrzymali urzędnicy trzy razy za kilka miesięcy.

Według obliczeń wypłaciły kasy trzech banków i kasa miejska na poczet zaliczek ogółem (za pierwszy raz) 887.000 koron. Największą sumę wyasygnowała komisya skarbowa, bo 1363 osobom uprawnionym wypłacono 158.430 koron. Komisya sądowa (dla czynnych i emerytów) 1073 osobom 137.899 koron. Komisya profesorska 748 osobom 112.345 koron. Komisya polityczna 1093 osobom 109.213 koron. Komisya domenowa około 300 osobom 15.271 koron. Do poboru zaliczek nie zgłosiło się ledwie 33 osób. Liczba uprawnionych do wypłaty dosięgła prawie 9.000 osób, co równało się jakim 30—35 tysiącom osób, uwzględniając rodziny owych urzędników. Cyfra ta wielka sama za siebie świadczy, jakiem dobrodziejstwem były te zaliczki, zdobyte niezmordowanemi staraniami prezydyum miasta z drem Rutowskim na czele. Z wdzięcznem też sercem wspominały zacnego prezydenta uszczęśliwione rzesze tych, co najwięcej odczuć musieli

ciężką chwilę i to moralnie i materyalnie, ale też i potrafili należycie ocenić pomoc im okazaną.

Z kwestyą zaliczenia urzędnikom pensyi częściowych poruszano swego czasu i sprawę moratoryum, ogłoszonego przez władze austryackie do dnia 30. września 1914 roku. Z upływem tego terminu spodziewać się można było przedłużenia moratoryum, a nawet było ono pewne, ale w zajętej części kraju nie było sposobności do stwierdzenia tego. Kancelarye niektóre adwokackie przystąpiły wobec tego odrazu do wygotowania dziesiątek pozwów sądowych, co oczywiście najdotkliwiej godziło w stan urzędniczy, pozbawiony i tak wszelkich dochodów. Należało w jakiś sposób załatwić już przed czasem tę sprawę niezmiernej wagi w konsekwencyach prawnych, wobec czego, celem rozpatrzenia jej zwołał prez. Rutowski dnia 22. września konferencyę, w której obok przedstawicieli sądów udział wzięli i delegaci z kół prawniczych i obywatelskich. Rozmaite wyrażano projekta — nie ulegało wątpliwości, że przedłużenie moratoryum ogłoszone zostało w Austryi, ale brak było urzędowego tekstu danego rozporządzenia, wobec czego przemyśliwano nad sposobem zdobycia jakiegoś Dziennika ustaw państwowych np. za pośrednictwem któregoś z konsulów, obecnych we Lwowie. Tymczasem władze rosyjskie same zadecydowały o tem, bo 30. września wydały następujący „Rozkaz obowiązujący:

Wojenny Generał - Gubernator Galicyi Generał-Lejtnant Hrabia Bobryńskij wskutek stanu wojennego i wywołanego takowym zastoju ekonomicznego w kraju, nakazał. Moc uchwały ogłoszonej Rządem Cesarsko-Austryacko-Węgierskim o moratoryum z 13. sierpnia na termin do 30. września przedłużyć w zakresie Ge-

nerał-Gubernatorstwa Galicyi do 31. października 1914 roku według nowego stylu.

Zastosowanie niniejszego nakazu obowiązuje wszystkie zarządy administracyjne i sądowe w Galicyi.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Lejtnant Hrabia *Bobryńskij.*

Dnia 17—30. września 1914".

Termin, oznaczony w powyższym Rozkazie przedłużył następnie generał-gubernator rozporządzeniem z 18—31. października do 1. stycznia (według nowego stylu) 1915 roku, a w ciągu dalszym do 1. marca. Następne przedłużenie moratoryum do 1. czerwca 1915 r. wykluczało już §. 14. i punkt 2. §. 5. odnośnej ustawy austryackiej, podobnie jak i ostatnie przedłużenie z 29. maja, postanawiające dalszy termin do 1. września 1915 r.

Wszystkie powyższe zarządzenia i działalność gminy sprawiły, iż stosunki życiowe poczęły się coraz bardziej ustalać, czyniąc jako tako możliwe przebywanie w mieście. Kiedy zapewniono masom jakie takie warunki egzystencyi, odbiło się to dodatnio na bardziej normalnym biegu życia w zimie. Tem więcej jednak wyglądali wszyscy nastania z powrotem dawnych czasów pokojowej pracy, za którą bardzo się już stęskniło bezrobotnym z konieczności. Ponieważ zaś nie było zwykłej pracy, a o inną nie łatwo było, więc z musu niejako musiało mnóstwo Lwowian zająć się czemś innem, oczywiście, najbardziej wszystkich interesującemi sprawami wojny. Z przeczuloną wrażliwością śledziło się każdy krok nieprzyjaciela, chwytało się pogłoski o coraz lepszej sytuacyi naszych, indagowało się jeńców, prowadzonych ulicami, nawiązywało się chytre

rozmowy z żołnierzami rosyjskimi i przedewszystkiem nadsłuchiwało się zaraz z wczesnym rankiem, czy huk armat nie zbliża się pod miasto, Bywało nieraz, iż lada chwili spodziewano się swoich — pogłoski poufnie podawane z ust do ust pokrzepiały zwątpionych, ale tem bardziej rozczarowywały, kiedy nie sprawdziły się. Oczekiwano swoich cierpliwie dalej, a tymczasem z myślą o nich witało się nierzadko łzami prowadzonych przez ulice jeńców, którym w wszelkie możliwe sposoby okazywano współczucie, obdarzając chlebem, żywnością, papierosami i czem kto mógł. Z narażeniem nieraz i życia przepłacano konwojujących sałdatów i chyłkiem uprowadzano nie jednego jeńca, którego następnie tygodniami całymi przechowywano, ukrywając przed bystrem okiem „ochranników“, co jak szakale upatrywali wszędzie podłej zdobyczy w postaci paru rubli za wydanego jeńca. Proceder ten, pięknie zresztą świadczący o sercu Lwowian, przybrał z czasem takie rozmiary, iż bywały czasy, że jeńców takich pozostających na wychowaniu dobrych ludzi ukrywało się we Lwowie z pewnością kilka tysięcy. Pomocnymi w uprowadzaniu z pod konwoju jeńców byli najczęściej poczciwi żołnierze rosyjscy, Ukraińcy, którzy żałowali rodziny ich, witające się wśród łez z ojcem, mężem czy synem, pojmanym do niewoli. Niestety jednak, znajdowali się wśród swoich ludzie, co za marnych kilka srebrników zdradzali przed policyą zbiegłych, którzy srogo musieli przepłacić krótki czas wolności, smagani nieraz przez rozwydrzonych sałdatów do krwi nahajami, albo i kolbami karabinów. Powtarzające się bez końca wypadki ukrywających się jeńców zwróciły wreszcie uwagę policyi i wojskowości, która odtąd z całą surowością wzbraniała zbliżania się do konwojowanych, a nahajkami częstowała niewiasty, ob-

dzielające ich pożywieniem. Najgorzej jednak obchodzono się z jeńcami w chwilach niepowodzeń, jakby chcąc odbić sobie na nich własne cięgi. Objaw ten był tak charakterystyczny, iż w wypadkach takich zaraz rozpowiadano między ludźmi, że źle musi być znowu z „naszymi“, (jak wówczas nazywano Moskali, ironizując podobne nazywanie ich w urzędowych komunikatach, umieszczanych w dziennikach naszych, zresztą z konieczności). Stosowano te złośliwości także i dlatego, by uniemożliwić ludziom dowiadywania się od żołnierzy austryackich, jak też sprawy stoją i kiedy spodziewać się można powrotu swoich. Poufne naprzód polecenia ogłoszono następnie w następującem, charakterystycznem ogłoszeniu:

„Podaję do publicznej wiadomości
Postanowienie obowiązujące
Pana Wojennego Generał-Gubernatora Galicyi.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi Generał-Lejtnant Hrabia Bobryńskij, na zasadzie p. p. 1, 2 i 3 przepisów o miejscowościach znajdujących się w stanie wojennym

Postanowił:

1. W miastach i innych miejscowościach zaludnionych Galicyi i Bukowiny i poza ich obrębem na drogach któremi przechodzą jeńcy wojenni, zakazuje się mieszkańcom podchodzić blisko do partyi jeńców, towarzyszyć im, nawiązywać z jeńcami jakiekolwiek rozmowy i bezpośrednio dawać im lub brać od nich jakiekolwiek przedmioty.

2. Zabrania się w obrębie Galicyi i Bukowiny rozszerzania niezgodnych z rzeczywistością wiadomości

o czynnościach wojsk, rządowych władz i osób, jak nie mniej rozpowszechniania wieści, wzbudzających popłoch wśród ludności.

3. Winni naruszenia niniejszego rozporządzenia ulegną w drodze administracyjnej karze aresztu do 3 miesięcy lub grzywnie do trzech tysięcy rubli.

Do wykonania niniejszego rozporządzenia upoważnia się Gubernatorów Galicyi i Bukowiny, lwowskiego Gradonaczelnika i Naczelników tych powiatów, którzy nie wchodzą w skład guberni, przyczem kary, nakładane na winnych grzywny zostaną ściągnięte bezwłocznie.

We Lwowie, 16. grudnia 1914 roku.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Lejtnant Hrabia *Bobryńskij.*

Zgodnie z oryginałem:

Gradonaczelnik
Pułkownik *Skałon*".

Z analogicznych względów wydano też nie długo po tem i inny jeszcze rozkaz, który wzbudził w mieście ogromne rozgoryczenie, przyjęty już nie jako ostry przepis wojenny, lecz jako dowód chyba barbarzyństwa, jeśli nie świadomej złośliwości. Bo i jak tłumaczyć sobie następujący:

„Rozkaz

dowodzącego wojskami Lwowskiego Okręgu fortecznego w sprawie sanitaryuszy austryackich.

Zakazuję samowolnego oddalania się sanitaryuszy

pod grozą natychmiastowej kary cielesnej i wysłania w głąb Rosyi jako jeńców wojennych.

Od personalu szpitalnego żądam zaniechania samowolnego oddalania się.

Lwów, dnia 21. stycznia 1915 r.

Dowodzący wojskami lwowskiego
Okręgu fortecznego
Generał *Artamonow.*

Zgodnie
Komendant m. Lwowa
Pułkownik *hr. Adlerberg.*"

Dotknęło mieszkańców Lwowa nieludzkie obchodzenie się władz rosyjskich z żołnierzami austryackimi, które do tego uważały za stosowne publicznie ich kompromitować niegodnem honoru wojskowego zagrożeniem chłosty cielesnej. Zagadkowym zdawał się wszystkim cel publicznego ogłoszenia tego rozkazu, który równie dobrze można było podać do wiadomości żołnierzom w raporcie dziennym, a nie interesować nim niepotrzebnie i ludności cywilnej. Odnosił się ten rozkaz wyłącznie do sanitaryuszy, a zatem nic łatwiejszego nie było, jak podać go im tylko do wiadomości, nie biorąc już pod uwagę niestosowności zagrożonej kary, tudzież braku stosunku kary do przewinienia, jeśli mowa o wywiezieniu winnych w głąb Rosyi. Rozkaz ten wydano wyjątkowo w trzech językach, a mianowicie w rosyjskim, polskim i niemieckim i rozlepiono go po całem mieście. Czytali ludzie z niemałem zdziwieniem to kurjozum, które jednak nie tylko im się takiem wydawało, bo widocznie ktoś z sfer urzędowych podobnego był zda-

nia, jak wnosić można z faktu, iż ogłoszenie to jeszcze tego samego dnia, w którem rozlepione zostało, zdzierano starannie, by i ślad po niem nie pozostał. W ten sposób stało się ono rzadkością, cenioną przez zbieraczy, a dowodem zarazem kultury rosyjskiego honoru wojskowego.

Wogóle nad każdym krokiem obywatela lwowskiego czuwało odtąd bystre oko policyi, wglądające w wszelkie możliwe skrytki spojrzeniami tysięcy chyba „ochranników“, mających wszędzie nastawione uszy, żądne wiadomości, sprzedawanych za byle rubla. Sformowaną przez miasto policyę tolerowano czas jakiś, ale tak się nad ludźmi jej znęcano, że po aresztowaniu zarządu rozwiązała się ona w końcu. Z końcem października ustąpił z urzędu gradonaczelnika brutalny Eiche, a miejsce jego zajął pułkownik Aleksij Skałon, który pokierował losami policyi rosyjskiej we Lwowie. Po zorganizowaniu jej wydał następujące obwieszczenie dla użytku mieszkańców Lwowa:

„Gradonaczelnik m. Lwowa komunikuje, że ochrona bezpieczeństwa mieszkańców i porządku miasta spoczywa w ręku policyi rosyjskiej. Były austryacki zarząd administracyjno-policyjny obecnie zniesiono, a tacy, którzyby się podawali za urzędników tego zarządu, żadnego pełnomocnictwa od władzy rosyjskiej nie mają.

W sprawach policyjnych mieszkańcy miasta Lwowa zwracać się mają do policyjnych komisaryatów, a mianowicie:

1. Krakowski, ul. Kaźmierzowska l. 30.
2. Lwowski, ul. Wałowa l. 31.
3. Georgiewski, ul. Leona Sapiehy l. 51.
4. Janowski, ul. Janowska l. 26.

5. Zółkiewski, ul. Żółkiewska l. 106.
6. Przedmiejski, ul. Teatyńska l. 37.
7. Łyczakowski, ul. Piekarska l. 46.
8. Halicki, ul. Jabłonowskich l. 8.
9. Stryjski, ul. Zyblikiewicza l. 8.

Ogólny zarząd i nadzór nad policyą spoczywa w ręku Gradonaczelnika. Zwracający się do niego mają się zgłaszać w Gradonaczalstwie".

Na czele tych komisaryatów stali t. zw. prystawi, których nazwiska notujemy dla pamięci przyszłych, bo mało jest z obecnych, którymby nieznane być miały, tak dokładnie zapisali się w wspomnieniach Lwowian. Brzmią one: K. Popow, Wł. Łazowski, M. Baranow, B. Werozub, A. Melnikow, M. Zagrywnyj i S. Gosaczyński. Każdy z nich miał przy sobie pomocników, jacy ze swej strony starali się o uwiecznienie w wspomnieniach Lwowian.

Ż nastaniem przesławnej tej policyi zaczęło się na gwałt przeprowadzane rusyfikowanie „istinno-russkiego" Lwowa. Wyszedł nakaz zdobienia wszystkich sklepów w szyldy rosyjskie; na koncept ten zdobyli się Rosyanie najniezawodniej wskutek nadmiernej gorliwości oraz uprzedzającej lojalności kupców z okolic teatru i Krakowskiego, którzy w kilka dni po zawitaniu do miasta „naszych" pookrywali szyldy niemieckie białemi płachtami, zamazanemi pseudorosyjskimi napisami w takiej samej ortografii, jaką się wsławiły w tej dzielnicy wywieszki polskie i ruskie. Kandydaci ci na lojalnych przyszłych poddanych rosyjskich z własnej pilności zamalowywali czarno-żółte pasy u wejść do trafik i orły austryackie nad drzwiami w kilka godzin jeszcze przed wejściem do miasta Rosyan. Głośna była w całem mieście, niepozbawiona komizmu, sprawa zdej-

mowania pięknego orła emaliowanego z nad oddrzwi szanującej się drogueryi przy ul. Halickiej, gdzie ledwie kilka tygodni przedtem go zawieszono. Nie mało trudu kosztowało zwolnienia go z silnych haków, ale jeszcze więcej kłopotu przyczyniło wynalezienie dlań bezpiecznego schowku, z któregoby kiedyś mógł przy patryotycznem hurra wylecieć w potrzebie, jak też i wyleciał pamiętnego 22-go czerwca, odkąd nadal rozpościera swe przygniecione nieco skrzydła nad gościnnem wejściem patryotycznej drogueryi. Zdejmowano drżącemi rękoma orły itp. nielojalne emblematy, a w miejsce ich zawieszano podobizny cudownego obrazu Królowej Polski z Częstochowy, która bez różnicy wyznań orędowniczką być miała swych uciśnionych poddanych. Jedyną w swoim rodzaju scenę oglądać można było przedpołudniem pamiętnego 3-go września na ulicy Teatyńskiej — przypatrywali się przechodnie z niemałem ukontentowaniem nawróceniu się na łono prawdziwego kościoła pewnego starozakonnego, co z wielką powagą, należną świętościom, umocowywał na ścianie swego domu piękny obraz N. P. Maryi Częstochowskiej tak, jak to uczynili zresztą wszyscy jego współwyznawcy, wyręczający się jednak pomocą dozorców i służby. Cóż innego było robić, kiedy kozacy taką brzydką cieszyli się sławą, że tylko przed świętymi obrazami respekt czuli!

Znikały powoli szyldy i napisy polskie, a miejsce ich zajmowały rosyjskie; nielada sławy doczekali się zwłaszcza golibrodzi lwowscy, wspominani w licznych korespondencyach dziennikarzy rosyjskich w pismach z Petersburga, Moskwy i Kijowa, którzy z zdziwieniem konstatowali, że we Lwowie istnieją same tylko „Centralne parikmacherskie“, albowiem tak się po rosyjsku zamianowały wszystkie bez wyjątku „salony“ fryzyerskie. Rosyjska policya,

ujęta takiem uprzedzającem odgadywaniem jej „istinno-russkich“ zamiarów w „zdobytem“ mieście poleciła reszcie opornych, w dowód swej łaski, wnosić podania o pozwolenie ozdobienia sklepów wywieszkami rosyjskiemi, ale przedtem jeszcze pod grozą „sztrafu“ (czysto to rosyjskie słowo oznacza karę, jak „buterszuit“ chleb z masłem, „plackarta“ bilet kolejowy, a Petersburg — Piotrogród!) już nakazała je wywiesić. Podania te na stemplu uwiozła z pewnością ze sobą do Rosyi, by na każde żądanie wykazać, iż sami mieszkańcy Lwowa (kupcy chrześcijańscy) prosili o łaskę używania wywieszek rosyjskich, a nikt, broń Boże, nie zmuszał ich do tego. Kiedy z nad trafik poznikały orły, a z wystaw fotografów podobizny żołnierzy austryackich wówczas nie pozostało policyi nic innego, jak polecić usunięcie pozostałych jeszcze śladów austryackiego panowania; zniknąć wtedy musiały na wyraźny rozkaz wszelkie możliwe orły, odznaki, godła, ściągane zapalczywie przez gorodowych, wyrywano też z kawałami murów skrzynki pocztowe, tepiono, jednem słowem, Austryę in effigie.

Jednak nie na tem tylko ograniczała się rola ochrany lwowskiej. Szczególnego trudu zadawała sobie ona zwłaszcza w przeddnie galowych świąt rosyjskich, w których wszystkie domy we Lwowie musiały być dekorowane chorągwiami rosyjskiemi. Jak już nadmieniliśmy, władze rosyjskie uczyniły z dzienników jakby swoje urzędowe organy, zasypując je bez końca najrozmaitszemi ogłoszeniami, ale dziwnym trafem nie korzystały z tej pomocy w zapowiadaniu dni, w których domy miały być udekorowane. Zastanawiało wszystkich, dlaczego zamiast użyć tego prostego środka, wysyłano na miasto sforę gorodowych, którzy chodzili od bramy do bramy i dzwoniąc na dozorców

kazali im wywieszać chorągwie „narodowe", ale wnet się w tem zoryentowano, kiedy w dziennikach petersburskich przeczytano telegramy o wiernopoddańczych manifestacyach i o mieście udekorowanem z własnej chęci tysiącami chorągwi. Coby jednak powiedzieli czytelnicy petersburscy, gdyby dowiedzieli się, że Lwowianie pojęcia nie mieli przeważnie, na jaką intencyę powiewać kazano flagom na ich domach? A tak właśnie bywało we Lwowie; nikt nie wiedział, ale też i nikogo zbytnio to nie obchodziło.

Miała też policya rosyjska i inne jeszcze zajęcia we Lwowie, nie wspominając oczywiście o bardzo energicznej akcyi zdobywania rubli wszelkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami. Całą zimę zajmowały ją bardzo wytrwałe poszukiwania za rzekomo ukrywanymi we Lwowie kablami, łączącymi miasto z Przemyślem oblęganym. Władze rosyjskie uczynić miały spostrzeżenie, iż w Austryi, a przedewszystkiem w Przemyślu, doskonale są poinformowani, co dzieje się dnia każdego we Lwowie i odpowiednio do tego stosują swoje kroki przeciw wojsku cara. Dokuczyć to miało tak dowództwu wojskowemu, że za wszelką cenę polecono odkryć policyi i żandarmeryi ukrytą tajemnie stacyę szpiegowską. Rozpoczęły się więc poszukiwania. Budynek namiestnictwa wraz z sąsiadującemi kamienicami uległ dokładnej rewizyi z wyrywaniem podłóg i niszczeniem przewodów nawet od dzwonków elektrycznych — podwórze i ogród poryto bez litości. W gmachach dyrekcyi kolejowej przy ul. Mickiewicza wyrywano niedawno dopiero położone podłogi, niszczono wszystko i rujnowano, bo tam, według czyichś informacyi miał się znajdować kabel apokaliptyczny. O gmachu poczty opowiadano, że Rosyanie kazali zwołać austryackich urzędników poczto-

wych i obiecywali im, że w zamian za wskazanie, gdzie mieści się przewód telegraficzny do Przemyśla, Krakowa i Wiednia wypłacą im zaległe pensye; pocztowcy nie zdradzili oczywiście tajemnicy, ale z tej prostej przyczyny, że żadne połączenia podobne na poczcie nie istniały. Rujnowaniu za przewodami uległy wszystkie gmachy publiczne, ale żaden rezultat nie uwieńczył żmudnych poszukiwań, wobec czego gdzie indziej skierowano podejrzenia. Pewnej nocy wpadł do budynku Muzeum im. Łozińskiego przy ul. Ossolińskich oficer żandarmeryi, oświadczając, że na wyraźny rozkaz komendy z pod Przemyśla ma dokładnie zbadać cały budynek, czy nie ma w nim połączeń jakich kablowych z Przemyślem. Mechanikom sprowadzonym polecił zbadać wszystkie istniejące tam przewody od dzwonków, telefonu i oświetlenia elektrycznego, ale mimo zerwania podłóg w miejscach niektórych poszukiwania i w tym wypadku spełzły na niczem. Szukano dalej i w stawie Pełczyńskim, w kasarniach, w wądołach za miastem, ale wszystko napróżno. Zabroniono stawiania na dachach stojaków i wywieszek, polecono zamurowanie okien strychowych. Przemyśl mimo wszystko dalej dowiadywał się o zajściach w stolicy.

Dzienniki rosyjskie po upadku twierdzy Przemyśla, w entuzyazmie powodzenia, już bez powściągliwości dawniejszej rozpisywały się szeroko o legendach, osnuwających tę cyklopową twierdzę, o mitach, krążących o niej wśród ludów rosyjskich, o nadludzkich wysiłkach oblęgających i nieugiętej potędze oblęganych. W Rosyi utworzyć się miała epopeja bojów gigantycznych pod Przemyślem potężnym, do której dzień niemal każdy dodawał nowe, coraz efektowniejsze karty. Ludność Lwowa istotnie przekonywała się o prawdziwości tego, obserwując przema-

szerowujące przez miasto liczne oddziały, wprost z Rosyi, trwożnie dowiadujące się, czy daleko jeszcze do Przemyśla i czy prawdą jest, że nikt nie potrafi go zdobyć. Obawa przed armatami jego i cudownymi jakimiś sposobami obrony rozpowszechniła się tak między wojskiem rosyjskiem, że dowództwo jego fortelów używać musiało, by skłonić żołnierzy do marszów pod twierdzę. W granicach Galicyi upewniano ich o zdobyciu już Przemyśla, a za przybyciem do Lwowa powiadano że to Przemyśl i że wobec tego idą wprost na Kraków. Pocieszne też trafiały się wypadki na ten temat. Na ulicach przystawali np. żołnierze i bardzo sobie chwalili „krasiwij gorod Peremyszl“ wyśpiewując, jak to oni teraz pójdą na Kraków, albo też z zdziwieniem dowiadywali się, że do Przemyśla jeszcze daleko, a trzeba go wziąść naprzód, bo na razie są tylko we Lwowie. Opowiadano nawet w mieście, że na stacyi kolejowej Podzamcze wywieszone tablicę z napisem: Przemyśl, na to, by w ten chytry sposób w błąd wprowadzić biednych żołnierzy. Na temat ten krążył między ludźmi nie jeden dobry dowcip, jak wogóle nie mało ich oplotło się około oblęganego Przemyśla. Pewnego razu maszerował przez ulicę wielki oddział żołnierzy wprost z Rosyi — komendant jego, zwracając się do któregoś z przechodniów zapytuje, czy daleko jeszcze do Krakowa, na co otrzymuje odpowiedź: „a imjete perepusk na Peremyszl?“ Oczywiście, odpowiedź podobna pohamowała nieco rozpęd dzielnego żołnierza.

Losy oblęganego Przemyśla zajmować poczęły mieszkańców Lwowa od pamiętnego dnia 21. września, kiedy to zaalarmował ich apel niezwykły gradonaczelnika, poparty i odezwą prezydenta Rutowskiego. Gradonaczelnik zwrócił się do ludności w tych słowach:

„Oczekujemy przybycia do Lwowa dużej ilości rannych. Niezbędnem wobec tego jest przygotowanie bandaży z jakiejkolwiek nadającej się tkaniny do opatrywania rannych.

Potrzeba jest bardzo wielka.

Proszę miejscowe zakłady dobroczynne i pojedyncze osoby dopomódz w przygotowaniu bandaży i opatrunków.

Za bandaże zapłaci się. Po wskazówki zwracać się należy do Magistratu.

Przygotowane bandaże proszę oddawać do jenerała-majora bar. Knorringa (Pałac Namiestnikowski).

Gradonaczelnik m. Lwowa jenerał-major
Eiche".

Odezwę tę poparł na prośbę Czerwonego Krzyża osobnem wezwaniem prez. Rutowski; pierwsza drukowana była tylko w dziennikach, drugą zaś rozlepiono po mieście. Z miejsca urobili ludzie komantarz do tego, wyjaśniający, iż ogromna ta masa rannych pochodzi z pod Przemyśla, gdzie oblęgani wysadzili w powietrze ogromny kawał drogi, kiedy przechodziły przez nią wojska rosyjskie. Podobnych pułapek miało być pod twierdzą jeszcze kilkadziesiąt. Innym razem rozeszło się po mieście, że Rosyanie wysłali przed atakiem na forty stada całe wołów i krów, które też wyleciały w powietrze razem z podminowanym gruntem. Potem dopiero pójść mieli żołnierze do szturmu. Ataki te wszystkie połączone były zawsze z ogromnemi stratami — jak o tem fama głosiła we Lwowie. Dla dodania animuszu żołnierzom, opowiadali im przełożeni o zdobyciu już trzech fortów przemyskich, ale

o tych trzech legendarnych fortach opowiadano im zaraz z początku oblężenia do samego jego końca.

Poufna kroniczka zajść wojennych we Lwowie notuje pod datą 16. października o Przemyślu: „Wczoraj mówiono o zdobyciu Przemyśla, a zaznaczyć trzeba, że zdobywali go dotychczas Moskale w ten sposób jeszcze kilka tygodni temu. Żołnierze rosyjscy obawiają się okrutnie Przemyśla, opowiadając, iż wysadzają ich tam w powietrze całymi tysięcami. Na wiadomość, że muszą iść tam, płaczą wprost, jak to miejsce miało n. p. w kościele św. Elżbiety, gdzie przed wyruszeniem w pole komunikowali się niektórzy żołnierze Polacy, lub na ul. Kleparowskiej, gdzie znów widziano cały oddział żołnierzy, którzy płakali dlatego, że idą pod Przemyśl „gdzie wszyscy idą, a nikt nie wraca“ jak powiadali. Biedni ci ludziska skarżyli się przed ludźmi, że muszą iść, a w domu zostawili żony i dzieci. Przytem wiedzą, iż cholera mocno wśród nich grasuje, tępiąc bez litości masy całe, zwłaszcza w Turce, Samborze, Mikołajowie... Ciekawe jest, iż według opowiadań lekarzy żołnierze twierdzą, że Przemyśla broni M. Boska, którą wszyscy oglądają nad miastem, osłaniającą szatami swemi wojsko austryackie pod jej stopami. Tak ogólnie o tem opowiadają ranni, iż musi być w tem coś prawdy. Przypuszczalnie ktoś z pomysłowych w twierdzy skonstruował przy pomocy reflektorów elektrycznych widmo, które nocami zjawia się nad miastem, wywołując popłoch, względnie paniczny strach u żołnierzy, wzbraniających się przytem strzelać“.

Pod datą dnia następnego czytamy tam dalej: „Pod Przemyślem trafiają się jakoby bunty jakieś między żołnierzami, jakby świadczył o tem oddział żołnierzy, prowadzonych w więzach przez miasto. Faktem jest, iż wszelkimi

sposobami usiłują oni uratować się przed marszem pod Przemyśl, bo ginie ich tam ogromnie wielu, a tak długo napróżno pod twierdzą stoją. Wczoraj przeszły przez miasto nowe oddziały wojsk, dążące pod Przemyśl".

Pod dn. 20. października czytamy: „Jak żołnierze opowiadają, między Moskalami pod Przemyślem grasuje bardzo cholera, a do tego trafiają się i jakieś bunty między wojskiem. Przedwczoraj prowadzono ulicami oddział żołnierzy skutych pod konwojem zbrojnym. Wczoraj i dziś widzieć można było także sceny podobne. Ludzie opowiadają, iż są to kozacy, wśród których rozeszła się wieść, jakoby Turcy napaść mieli na ich osady — wobec tego oświadczyć mieli, że nie mają żadnego interesu walczyć na cudzej ziemi, kiedy nieprzyjaciel niszczy ich siedziby".

Pod datą 31. października czytamy: „Zdobywanie Przemyśla ciagnie się jakoś bardzo długo i całkiem nie słychać o wynikach pomyślnych, a owszem najczęściej spotkać się można z wielką niechęcią u Moskali na wzmiankę o Przemyślu. I na ten też temat kursuje dziś po mieście udatny dowcip, przyjmowany ogólnie z wielkiem uznaniem. Przed pomnikiem Sobieskiego staje kilku Moskali, z których jeden odczytuje napis: Król Jan III. walczył pod Podhajcami, na co reszta powiada — i my także; walczył pod Żółkwią — my także, walczył pod Lwowem — my Lwów już wzięli, walczył pod Wiedniem — i my tam będziemy. A na to jeden z nich zauważa, że Sobieski nie był pod Przemyślem, a wszyscy chórem odpowiadają: mądry był ten król polski, bo na Przemyśl to nie chciał iść. I istotnie wielkie niezadowolenie być musi wśród żołnierzy pod Przemyślem, kiedy coraz prowadzą stamtąd skutych żołnierzy, a wogóle słychać wciągle niezadowolenie ich z tego powodu".

Pod datą 2. listopada czytamy: „Zajął wszystkich rozkaz, doręczony byłym lub rezerwowym oficerom, by jutro rano stawili się z ręcznym pakunkiem na Podzameczu, skąd, oczywiście, wywiozą ich jako jeńców do Rosyi. Ludzie tłumaczą sobie to tem, że Rosyanie jakoby przekonać się mieli, iż wszystko cokolwiek zarządzą we Lwowie, zaraz wiadome jest w Przemyślu. Wobec tego przyszli do przekonania o istnieniu we Lwowie jakiegoś połączenia kablowego z Przemyślem i że jest tu ktoś fachowy, co donosi wszystko tą drogą. Szukali za kablem, ale nie natrafili na nic podobnego. Wobec tego chcą przynajmniej unieszkodliwić tego, co trudni się przesyłaniem informacyi Przemyślowi, a w przypuszczeniu, że może to być ktoś z pomiędzy tych byłych lub rzekomo rezerwowych oficerów postanowili wszystkich ich zabrać, a między nimi i tego podejrzanego. Wyklinają też na nieszczęsną twierdzę, co tyle już ofiar ich kosztuje i to bez rezultatu. O Przemyślu urobiły się też najrozmaitsze legendy, opowiadania, anegdoty i dowcipy, charakteryzujące jego niezdobytość oraz straty, ponoszone pod nim przez Rosyan. Dziś np. opowiadano sobie następujący dowcip. Z rządami jest obecnie coraz gorzej — muszą się imać jakichś podlejszych zajęć, by dać sobie jakoś radę w ciężkich czasach. I tak Austrya założyła pod Przemyślem tartak, do którego materyał nadsyła wciąż car Mikołaj. Inna odmiana tego samego powiada, że pod Przemyślem jest rzeźnia Austryaków, do której zaganią im bydło Mikołaj, a podpędza Niemiec. Niefortunnie składa się Rosyanom pod twierdzą i dośćby jej już mieli żołnierze, ale przełożeni coraz więcej pędzą ich na zatracenie“.

„Za wielką część listopada nie zaszło w mieście nic ciekawego. Najwięcej zajmował umysły wszystkich Prze-

myśl, oblęgany bezskutecznie — w rezultacie armia austryacka odstąpiła odeń, ale w twierdzy zamknęło się wielkie wojsko. Przeciw armii austryackiej dążyły przez miasto ciekawe oddziały przeważnie ze Syberyi. Tłumnie przyglądają się ludzie oryginalnym tym wojskom w charakterystycznych strojach, nierzadko w turbanach na głowie. Sami żołnierze rosyjscy nazywają je „ludoidami", twierdząc, że też się ich obawiają, bo to „dzicy ludzie". Oryginalny był ich przemarsz przez miasto na kucych konikach, przy odgłosie barbarzyńskiej muzyki — przeszli przez Lwów, dążąc odrazu w pole. Powiadają, że ich wysłano do Galicyi, ponieważ nie mogli na nich liczyć w wojnie z Turcyą".

„Z końcem grudnia opowiadali sobie mieszkańcy Łyczakowskiego następujące zajście na ich przedmieściu. Jacyś żołnierze dobrze podpici śpiewali na głos, znaną już w całem mieście piosenkę:

„Nyni budut pyrohy, zawtra bude kasza,
Jak ne woźmem Peremyszl, Austrya bude wasza".

Na to przystąpił do nich oficer, robiąc awanturę za to, że jeden z żołnierzy uderzył go w twarz, pytając, co go to może obchodzić, co oni śpiewają. Przywołani żołnierze wzięli awanturników do aresztu, ale piosenkę zna już Lwów cały, podobnie jak i inną:

„Pod Przemyślem gulasz, pod Krakowem kasza,
Galicya będzie wasza".

Wogóle zaś Przemyśl to największy postrach żołnierzy rosyjskich, podobnie jak i „Germancy" —żołnierze niemieccy, walczący obecnie w Galicyi.

O świętach Bożego Narodzenia pod Przemyślem doszła Lwowian wiadomość o jakichś wzajemnych grzeczno-

ściach między oblęganymi a oblęgającymi. Opowiadano o życzeniach świątecznych, przesłanych przez Rosyan żołnierzom w Przemyślu, a nawet w odpisach (dokonanych z autentycznej fotografii) rozpowszechniona była odpowiedź na to załogi austryackiej. Brzmiała ona następująco:

„Wir danken bestens für die freundlichen Wünsche und werden uns bei Euerem Weinachtsfeste revanchiren. Östriche Besatzung“.

Trzymała się mężnie załoga twierdzy rozsławionej na globie całym, a dzielnie jej sekundowały pułki, broniące drugiej, naturalnej twierdzy — Karpat. Zimowa kampania w tych górach kosztowała Rosyę dużo więcej ofiar, niż nawet najkrwawsze ataki na reduty przemyskie i dlatego poczęli żołnierze płoszyć się z kolei na wiadomość, iż czeka ich walka w strasznych, śnieżystych górach. Tysiącami szli na niechybną śmierć w swojem własnem przekonaniu, a dla dodania odwagi kazano im śpiewać stosownie różowe piosenki. Jedną z najbardziej śpiewanych była następująca:

„Polnocz nastupajet' zarja goryt' świetło,
Atrad nasz wystupajet' s biwaka swojego,
Gor wjerszyny ja wiżu wnow
Karpatskija doliny kładbiszcze udalne,
Id'om my tycho strojno padchadim my k' goram,
Karpatskija doliny widnijut' uż nam.
Pryszli my k' tomu miestu gdie krow liłaś riczkoju,
Gdie russkaja drużyna brałaś za kraj radnoj.
Pałkownik Kamarowskij po frontu praskakał,
Rebjata nie rabjejte on groźno prakriczał,
Rebjata nie rabjejte, Karpaty perejd'om,
Awstrijcow tam nie mnogo, my skoro ichdobjem“.

I los nieprzewidziany chciał, że właśnie cyklopowe mury Przemyśla, jak najmniej spodziewanie przez wojsko rosyjskie, musiały rozstąpić się, choć nie na długo, przed nieprzyjacielem, a te Karpaty, które udawało się mu przekraczać, stały się właśnie grobem milionowej armii cara. O Przemyślu, do dni prawie jego ostatnich, utrzymywało się ogólnie przekonanie, iż nie jest on do zdobycia i dzień nawet przed poddaniem się jego powtórzyły dzienniki lwowskie za rosyjskimi, że o zdobyciu jego nie prędko jeszcze może być mowa — taką sławą cieszyły się potężne przemyskie forty i dzielna ich załoga. Jak grom też z jasnego nieba spadła na wszystkich, zarówno Lwowian, jak i Rosyan, druzgocząca wiadomość o poddaniu się tej chluby armii austryackiej, podziwu globu całego, dnia 22. marca 1915 r. Wieść ta ciosem była okrutnym dla tych, którzy tylko w niej widzieli swoją obronę i ocalenie i nie dziw też, że z rozpaczą i żalem wielkim przyjęta została powszechnie.

Rano w poniedziałek pierwszego dnia wiosny rozeszła się w mieście wieść o poddaniu się w tym dniu Przemyśla. Przyjęto ją naogół z niedowierzaniem, bo alarmów takich pamiętano już kilka, a co najbardziej kazało wątpić w prawdę jej, to szczegół, iż z braku żywności miał jakoby Przemyśl się poddać. O zaprowiantowaniu twierdzy chodziły słuchy niemal legendarne, bo mówiono o żywności wystarczającej na lat choćby kilka — mniemania tego byli też sami Rosyanie, a tu tymczasem nadchodzi wieść o głodzie wśród oblężonych! Trudno było, istotnie, uwierzyć w coś podobnego, ale źródło hiobowej tej wieści było całkiem wiarygodne, a wyprzedziło oficyalne doniesienie o kilką godzin. Wśród tych, którzy nie mogli mu nie dać wiary, wrażenie sprawiła wieść smutna niezwykłe,

pod wpływem przygnębienia widzieli w zajściu tem ruinę wszystkich swych nadziei, co właśnie w danej chwili zdawały się być tyle obiecującemi. Ludzie słabszych nerwów, zgnębieni wogóle wypadkami wojennymi, odchodzili od zmysłów, wpadali w ataki spazmatyczne, załamywali ręce i przybici zupełnie na duchu oddali się melancholijnej apatyi. Wrażenie ogromne spotęgowało się jeszcze po rozpowszechnieniu na ulicach numeru urzędowego „Lwowskiego Wiestnika", który w kilkanaście minut został całkowicie rozchwytany, ponieważ pierwszy przyniósł nad wieczorem publicznie wieść niewesołą. Przygotowani już poniekąd na nią ludzie niemniej tracili przytomność, czytając w rozgorączkowaniu kilka słów zwięzłego komunikatu, którego wiersze biegały im przed załzawionemi oczyma. I charakterystyczną obserwować można było rzecz u zgromadzonych w tym czasie na ulicach. Jak radość wypędza zawsze ludzi z domów ku bliźnim, by z nimi razem dzielić swe wesele, tak znowu nieszczęście odruchowo prowadzi ich w zamknięte ściany, by tam bez przeszkody oddać się rozpaczy, żalowi i łzom gorzkim. W krótkim też przeciągu czasu ulice niemal opustoszały — pospieszyli wszyscy do domów, ale nie wszystkim się to bez przeszkody powiodło. Widziano na miejscach publicznych sceny niezwykłe; niewiasty, a nie rzadko i mężczyźni, nie mogąc powstrzymać się od łez i omdlewając od silnego wzruszenia musieli kryć się po bramach domów, gdzie im dopiero dobrzy ludzie przychodzili z pomocą, odwożąc do mieszkania. A co za rzeczy odgrywały się po domach! Bez przesady powiedzieć można, że nie było chyba kamienicy, w którejby u jednej przynajmniej rodziny nie zaszedł wypadek nagłego zachorowania i to w wielu razach bardzo nawet dotkliwego. W rezultacie zaś zanotowały dzienniki—

oczywiście bez podania przyczyny — kilka wypadków oszaleń, moc ataków nerwowych i histerycznych, a w reszcie i samobójstw, bo i bez tych się nie obeszło. Wymowną notatkę na ten temat znajdujemy w jednym z dzienników, gdzie w rubryce wypadków dnia czytamy: „Wczoraj zdarzyło się też kilka wypadków ataku szału lub histeryi, któremu uległo kilka osób na ulicy lub też w mieszkaniu. Wszystkim udzielono pomocy lekarskiej".

Niemniej, tysięcy było ludzi, którzy bezwarunkowo nie wierzyli w prawdę tę przykrą, a najważniejszym argumentem ich było powątpiewanie w to i wśród ogółu żołnierzy rosyjskich, jacy otwarcie twierdzili, że to nie możliwe i że umyślnie wiadomość taką rozpuścili ich oficerowie na to zapewne, by ich znowu popędzić pod armaty przemyskie. Przekonanie to trzymało się nawet dni kilka mimo coraz dokładniejszych w dziennikach sprawozdań, a nawet i z kolei opowiadań naocznych świadków. Kiedy zaś przyszło wreszcie niedowiarkom uwierzyć, znaleźli jeszcze inne wyjaśnienie, a mianowicie twierdzono, że Przemyśl wprawdzie dostał się Moskalom, ale nie cały i bez załogi, która cofnęła się na lewy brzeg Sanu, zostawiając za sobą samą tylko ruinę. Dopiero jeńcy przemyscy potwierdzili tym ludziom prawdziwość znanego faktu.

Siłę wrażenia zajścia tego przykrego obserwować można było w kilku stadyach uczuciowych u ogólu ludności Lwowa. Naprzód mianowicie wykluczono poddanie się twierdzy, następnie nie wierzono weń, by potem uwierzyć, ale w części tylko, a kiedy już nie sposób było nie uwierzyć, wyszukiwać usprawiedliwienia, względnie okoliczności, umniejszające doniosłość niepowodzenia. I co też za domysły nie krążyły wśród ludzi, usiłujące rozwiązać za-

gadkę, tkwiącą w niejasnej dla nich sprawie poddania się silnej twierdzy?

Popołudniu pamiętnego poniedziałka puścili się gorodowi na zwykłą swą wędrówkę po mieście, od bramy do bramy, z nakazem, by w tej chwili wywiesić chorągwie, Przemyśl zdobyty i wyszedł nakaz, by cieszyć się z tego. Z bolem serca, a z konieczności wywieszono żądane dekoracye, jednak nie wiedzieli z pewnością Moskale, jak serdecznie ich jeszcze i za to znienawidzono. Ogromną ulgę w tem pognębieniu zwykłych uczuć ludzkich przyniosła ludziom, podawana z ust do ust wiadomość o dumnem i szlachetnem przyjęciu przez dostojnego prezydenta propozycyi gubernatora, by miasto iluminowano, a ratusz obwieszono flagami rosyjskiemi. Uwielbiany za to prez. Rutowski odpowiedział bez ogródek, że nie uczyni tego, bo miasto jest właśnie w żałobie, nie mając wcale powodu do radości!

Nie odbyła się „dobrowolna“ iluminacya, ale nie obeszło się bez „istinno-russkiej“ manifestacyi chuliganów lwowskich, jak ich nazwał w ogłoszeniu swem dawnem gradonaczelnik. Przez główne ulice przeciągał pochód drapichrustów, spędzonych z najciemniejszych zakamarków, albo wypuszczonych ad hoc z aresztów, i opłaconych odpowiednio, by imitowali publiczność rozentuzyazmowaną, o której telegramy poszły do Petersburga. Gorliwie spełniali tę patryotyczną funkcyę i lojalni niektórzy obywatele lwowscy, kochający się w pieniądzach, choćby i ruble nimi być miały; ci omal że nie zdradzili się nieraz zwykłem swem „hoch“, które w tym dniu na odmianę brzmieć miało „hurra, nasz gosudar imperator“. Z portretem cara ciągnęła ta tłuszcza przez główne ulice i biada było każdemu, któryby nie zrobił frontu do niesionego portretu

i nie zdjął nabożnie kapelusza. Walono pałkami nawet niewiasty i starców, którzy nie zdołali wczas jeszcze umknąć do pierwszej lepszej bramy, jak to czynili inni na widok rozwydrzonej „ludności rosyjskiej", jak opryszków tych nazwano w korespondencyach do pism rosyjskich. Nawet tramwaje musiały przystawać, a jadący w nich, na polecenie żołnierzy, stawali z miejsc swych z odkrytemi głowami do chwili, kiedy rozentuzyazmowana ludność rosyjska nie pociągnęła z wrzaskami i wyciem dalej. Do nocy trwały te wzniosłe manifestacye przy opustoszałych zupełnie ulicach, bo wszyscy, szanujący się ludzie, zmiarkowawszy, jak „rosyjska ludność Lwowa" ma zwyczaj święcić uroczystości narodowe, woleli w domach przeczekać żywiołową tę radość.

Po upadku Przemyśla urobiła się w Rosyi pewność, że Galicya nieodwołalnie należy już do Rosyi, ale dziwnym dziwem nie podzielała tego przekonania, tak niedawno jeszcze upadła na duchu ludność miejscowa. Ogromne wrażenie sprawiła na wszystkich ładna, męska odezwa komendanta twierdzy do żołnierzy, a także poprzez linie wiadomości dziennikarskich czytać można było, że „nie wszystko jeszcze stracone" — wieści takie przychodziły i z innych stron. Zadziwiające też było podniesienie się ducha u ludności, która szybko zrozumiała, że upadek Przemyśla nie wiele znaczy wobec pomyślnych wypadków w Karpatach. Zdaniem jednak Rosyan Galicya nieodwołalnie stawała się od tej chwili własnością cara.

Dla naocznego przekonania ludności zajętego kraju, iż nie ma już na co liczyć, a — zdaje się — i dla pokrzepienia męstwa wypieranych z Karpat wojsk swoich postanowił zjechać do Galicyi car Mikołaj, który słyszał zapewne, że i cesarz Wilhelm bywa na froncie i zazwyczaj

zwycięża. Przyjazdu jego spodziewano się dopiero w maju, ale gwałtowne oczyszczanie szpitali, kasarń, budynków rządowych zanieczyszczonych wprost legendarnie od szeregu miesięcy, kazała chwili tej wyglądać jeszcze w kwietniu.

Rano 22. kwietnia czytali, zdumieni odwagą władcy Wszech-Rosyi, mieszkańcy Lwowa następujące obwieszczenie:

„Jego Cesarska Mość
Najjaśniejszy Pan

przejazdem do armii czynnej zaszczyci dzisiaj dnia 9./22. kwietnia SWOJĄ obecnością miasto Lwów.

Wzywam ludność miasta Lwowa, aby zachowała porządek podczas przejazdu JEGO CESARSKIEJ MOŚCI i zastosowała się do wszystkich wymagań policyi.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Lejtnant Hrabia *Bobryńskij*“.

Pierwszą myślą po przeczytaniu tego uwiadomienia, zdaje się, u większości Lwowian było postanowienie nie pokazywania się przez dzień cały na ulicy, by osobą swą nie tworzyć lojalnych tłumów i nie uświetniać w ten sposób niepożądanej uroczystości. I istotnie, od południa zaczęło miasto pustoszeć z zwykłych postaci, a miejsce ich wypełniać poczęły tłumy zamówionej i opłaconej „ludności rosyjskiej“. Od rogatek i z kolei zdążały deputacye towarzystw im. Kaczkowskiego z chorągwiami rosyjskiemi, reprezentowane przeważnie przez „uświadomione“ niewiasty wiejskie, korzystające z sposobności, by kolorowemi chustkami i wstążeczkami olśnić widzów z Ro-

syi, tudzież przez gromady dzieciaków, nie mających pojęcia, po co ich ciągną właściwie po ulicach. Z miejscowych elementów, wyszkolonych już w wzniosłych uroczystościach po upadku Przemyśla, skompletowano dalszych przedstawicieli „rosyjskiej ludności“, porozumiewających się między sobą przeważnie internacyonalnym językiem narodu wybranego, a resztę uzupełniły lojalne tłumy ludzi z oryentacyą, tudzież falangi ciekawych na wszelkie komedye niewiast i żydów. Reszta Lwowa nałożyła na siebie dobrowolnie kwarantannę, albo zmuszona wyjść na ulicę, przekradała się chyłkiem przez odleglejsze zakamarki.

Samo przez się rozumie się, że wszystkie ulice roiły się wprost od policyi, żandarmeryi i wojska, które bacznie śledziły ruch każdy każdego przechodnia, aresztując setkami całemi, kogo się tylko dało. W nocy zaś poprzedniej wyciągnięto z łóżek kilkaset ludzi, w tem około 300 Ukraińców, jako podejrzanych o wątpliwe sympatye dla władcy Rosyi. Aresztowania te wyjaśniły dopiero przyczynę masowych poprzednich aresztowań, których nikt nie mógł przedtem zrozumieć; już z daleka oczyszczano miasto z elementów nie miłych dla władz rosyjskich, by w danej chwili nie potrzeba się było obawiać jakichś nieprzyjemności, do których władcy rosyjscy mają szczególne szczęście. Do 22-go kwietnia przefiltrowano dokładnie skład ludności Lwowa tak, że wszystko podejrzane znalazło się pod kluczem.

Naprzeciw cara wyjechał do Brodów W. Ks. Mikołaj ze swoim sztabem. Na stacyi powitany został car przez generał-majora Połowcowa, pomocnika hr. Bobrińskiego, poczem odebrał raport sztabu o operacyach wojennych. O godzinie 1 wyjechał do Lwowa na automobilu z W. Ks. Mikołajem, oglądając po drodze mogiły żołnierzy. Przy

wjeździe do stolicy przywitał go na rogatce o godzinie 5-tej gubernator Bobryński, poczem udał się do cerkwi garnizonowej przy ul. Kleparowskiej, gdzie odprawił nabożeństwo biskup Eulogiusz. Po nabożeństwie odjechał car do szpitala na Łyczakowie, a stamtąd do pałacu namiestnikowskiego, gdzie mieszkał hr. Bobryński. Przed pałacem — powiada urzędowy komunikat z pobytu cara we Lwowie — zebrał się w tym czasie „ogromny tłum mieszkańców miasta i okolic, rozlegały się entuzyastyczne okrzyki, na balkon pałacu wyszedł Jego Cesarska Mość i raczył powiedzieć do nich, co następuje: „Dziękuję za serdeczne przyjęcie. Niech będzie jedna, potężna, nierozdzielna Ruś. Ura!“ Słowa J. C. M. zostały przyjęte długo niemilknącem ura. O godzinie 8-ej wieczorem w pałacu odbył się obiad, na który zostały zaproszone wyższe wojenne i cywilne władze“.

W ulicach, przez które przejeżdżał car, musiały być zamknięte wszystkie bramy, okna i nikomu niepowołanemu nie wolno było pozostawać przed domami. Na ul. Łyczakowskiej polecono mieszkańcom przed przejazdem cara pozasłaniać okna i nie wyglądać z nich, w przeciwnym bowiem razie czekały ich dotkliwe kary. Na temat tego zasłaniania okien z nakazu wyższej władzy opowiadano sobie w mieście najrozmaitsze humorystyczne zajścia, jak wogóle pobyt cara we Lwowie nie pozostał bez wpływu na twórczość ludu lwowskiego, którą niezawodnie zająć się jeszcze ktoś zechce specyalnie.

Nazajutrz wyjechał car jakoby na pozycyę, ale wnet wrócił, bo — jak opowiadano — miała go spotkać jakaś niespodziewana nieprzyjemność; zmuszony został z wojskiem swojem cofać się z pod Sambora, czy Starego miasta. Dnia 24-go kwietnia wracał już przez Lwów do Rosyi

z powrotem, a 26-go dziękował mieszkańcom w następujących słowach:

„Do ludności miasta Lwowa.

JEGO CESARSKA MOŚĆ NAJJAŚNIEJSZY PAN raczył wyrazić SWOJE zadowolenie z okazyi JEGO odwiedzin m. Lwowa i rozkazał mi wyrazić mieszkańcom miasta SWOJE podziękowanie za życzliwe spotkanie, jakie JEMU było okazane przez ludność i za porządek w mieście, który był podtrzymywany przez samych mieszkańców miasta.

Dla biednych miasta Lwowa JEGO CESARSKA MOŚĆ najmiłościwiej raczył ofiarować 10.000 rubli.

Jestem szczęśliwy oznajmić o tem mieszkańcom miasta Lwowa.

13. kwietnia 1915 r.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Adjutant Hrabia *Bobryński*".

Podziękowanie to sprawiło na Lwowianach niemałe wrażenie, ale przedewszystkiem z powodu strasznej polszczyzny, która wogóle w ogłoszeniach urzędowych wypadała zawsze nie szczególnie i to, zdaje się, umyślnie, bo kiedy w dziennikach próbowano nieraz poprawić znaczniejsze błędy, cenzura skreślała poprawki mimo, że były one najwidoczniejsze. Nie inne było też drugie podziękowanie, pod adresem ludności Galicyi, publikowane również 26. kwietnia, a opiewające:

„Od Wojennego Generał-Gubernatora Galicyi.

OGŁOSZENIE.

JEGO CESARSKA MOŚĆ NAJJAŚNIEJSZY PAN, odwiedziwszy 9—11. kwietnia Galicyę i będąc w zupełności zadowolonym tem życzliwem spotkaniem, jakie JEMU okazali mieszkańcy Galicyi i tym porządkiem, który był podtrzymywany przez samą miejscową ludność, raczył rozkazać mi wyrazić ludności Galicyi SWE NAJWYŻSZE podziękowanie.

Jestem szczęśliwy oznajmić o tem.

13. kwietnia 1915 r.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Adjutant Hrabia *Bobryńskij*".

Z przyjazdu cara na front najmniej zadowoleni byli właśnie ci, których uszczęśliwić zamierzał swoją osobą, a mianowicie żołnierze. Wiadomo, iż z końcem kwietnia fatalnie zaczęło się powodzić Rosyanom i ta to okoliczność spowodowała szemranie wśród wojska, utrzymującego, że car przywiózł mu same nieszczęścia. I kiedy prości żołnierze składali winę niepowodzeń na pecha cesarskiego, dowództwo armii na alarm poczęło głosić, iż otoczone jest szpiegami i zdrajcami z pośród miejscowej ludności, a przedewszystkiem żydów. Rozpoczęło się więc od tej chwili ściganie ludności wiejskiej, (oczywiście ukraińskiej) tudzież żydowskiej; oglądano we Lwowie codziennie prowadzone przez ulice gromady biedaków, wyganianych na siłę z miejsc osiedlenia, ponieważ stali pod podejrzeniem, iż donosicielami są austryackimi. Przemyśl np. cały ewakuowano z żydów, co — nawiasem mówiąc — wątek dało

do ułożenia dowcipu (po odbiciu Przemyśla), iż Moskale mieli naprzód Przemyśl z żydami, następnie bez żydów, a w końcu żydów bez Przemyśla, ponieważ wywieźli ich do Rosyi. Podobnie usunięto żydów i z reszty miast i miasteczek na terytoryum bojów. Przedtem jeszcze wyszło postanowienie obowiązujące, nakazujące: „na podstawie rozkazu głównodowodzącego południowo-zachodniego frontu, ze względu na wzrastające szpiegostwo ze strony żydów, generał-gubernator zabronił osobom narodowości żydowskiej wjazdu w granice generał-gubernatorstwa. Za naruszenie tych postanowień grozi kara do 3000 rubli". Z końcem maja wydano dalsze postanowienie, mające na celu tępienie jakoby szpiegostwa wśród ludności galicyjskiej:

„Postanowienie obowiązujące.

Wojenny Generał - Gubernator Galicyi Generał Adjutant hrabia Bobrińskij na mocy punktów 1, 2, i 3 art. 19. Przepisów o miejscowościach, ogłoszonych za pozostające w stanie wojennym, postanowił:

Wójtowie gmin w których obrębie będą wykryci ukrywani przez ludność szpiegowie, dezerterzy armii rosyjskiej lub jeńcy wojenni z armii austro-węgierskiej lub niemieckiej, podlegają w drodze administracyjnej za brak dozoru co do przebywających w gminie osób podejrzanych aresztowi do trzech miesięcy lub grzywnie do trzech tysięcy rubli; niezależnie od tego osoby, które zawiniły przez ukrywanie szpiegów lub dezerterów z armii rosyjskiej, pociągane będą do odpowiedzialności według kodeksu karnego. Winni ukrywania wojskowych austro-węgierskiej lub niemieckiej armii, będących w niewoli wojennej, podlegają w drodze administracyjnej aresztowi w więzieniu do

trzech miesięcy lub grzywnie do trzech tysięcy rubli.

Wykonanie tego postanowienia powierza się odpowiednim gubernatorom Galicyi, przyczem nałożone kary wykonywane będą bezzwłocznie.

Lwów, 17/30 maja 1915 r.

Wojenny Generał-Gubernator Galicyi
Generał-Adjutant Hrabia *Bobryńskij*".

Poszukiwanie sobie odwetu na rzekomych zdrajcach i szpiegach nie pomogło, bo mimo wszystko trzeba było opuszczać na gwałt z takimi trudami zdobyty Przemyśl. Dzień oddania go, po uprzedniem rozsławieniu znaczenia jego posiadania, był równocześnie dniem zoryentowania się „ludności rosyjskiej", iż wnet i nieodwołalnie przyjdzie oddać i „istinno-ruski" Lwów, o którym się głosiło zawsze, iż za żadną cenę nie dostaną go z powrotem Austryacy. Zaczęły się masowe wędrówki powrotne setek czynowników i rodzin wojskowych, a po nich likwidowanie agend policyi i żandarmeryi, wyrażające się w nadzwyczaj szybkiem tempie ograbiania nie złupionych jeszcze dotychczas mieszkań opuszczonych, tudzież w odsyłaniu piorunowem na pamiątkę do Rosyi wozów całych zdobyczy tego rodzaju. Pierwsi podnieśli żałosny alarm uciekania galicyjscy „Rosyanie" z p. Dudykiewiczem i redaktorami „Prykarpatskiej Rusi" na czele. Dnia 11. czerwca okazała się na mieście rano „Prykarpatskaja Ruś" z artykułem na czele pt. „Nastojaszczij sawjet", w którym redakcya zaklina swoich ludzi, by póki czas uciekali, bo wnet może być już za późno, a Austryacy i Niemcy nie pardonują. Sławny ten hymn sromotnej ucieczki kończy się słowami: „Najważniejsze jednak i najgłówniejsze — to to, że należy się

spieszyć. Każda zwłoka spowodować może niepożądane opóźnienie i wprost odbije się na losach naszych ludzi"... Apel ten ognisty wywołał olbrzymie zamieszanie wśród wszystkich mających coś na sumieniu i sprawił taką konsternacyę w mieście, że policya kazała natychmiast zniszczyć cały nakład gazety i konfiskować ją w sklepach i u kolporterów. Nad wieczorem wyszło drugie wydanie tego numeru i znów z tym artykułem, jednak zaopatrzonym w komunikat sztabu o rzekomo doniosłem zwycięstwie pod Żurawnem, jak pigułką na uspokojenie. Nie uspokoili się jednak lwowscy Rosyanie, a natomiast otrzymali dotkliwe cięgi w ciętym artykule „Czerwonej Rusi" z dnia następnego (Nr. 17. 30. maja st. st.).

Jeszcze 14./1. kwietnia 1914 r. odezwała się do nich redakcja „Lwowskiego Wojennego Słowa" w energicznem wyjaśnieniu, iż „nie będzie nigdy popierać nielicznej, krzykliwej kliki „ruteńskiej oligarchii", w pijanem władzą wyobrażeniu której uroiło się, widocznie, przekonanie, że armia rosyjska zajęła Galicyę dlatego, by dać im możność załatwienia starych porachunków z przeciwnikami politycznymi... Jasne jest dla nas, że oparcie nasze spoczywa nie w krzykach tej nie licznej kliki „dezerterów swego narodu", która widzieć chce w naszej armii tylko narzędzie swoich politycznych machinacyi"... Kategorycznie zaś wypowiedziała swoje przekonanie o rusofilach galicyjskich „Czerwonaja Ruś" w wspomnianym numerze, w odpowiedzi na alarm ich do ucieczki przed Austryakami i Niemcami. „Ludzie ci — czytamy tam — leniuchujący od rana do wieczora, żyjący na rachunek wsparć „bogatych rodziców" potrafili w krótkim czasie stworzyć gniazdo i komfort... Nie przywykli oni do myślenia, lubią słuchać i dość im tego... „Sztatskije dezertiry — mali egoiści, którzy poza

swoim woreczkiem niczego nie widzą i widzieć nie chcą... I ci to „sztatskije dezertiry“ chwytają się za głowy i poczynają dziko wołać — najważniejsza rzecz w czas uciec... to dezerterzy i zdrajcy... Kto kocha swą ojczyznę... ten powie im: sporo dla was miejsca na brzegach Obu i Jeniseju, stamtąd nie będziecie mieli co uciekać, albowiem i jakbyście się nawet spieszyli to nie dalej Lodowatego morza dotrzecie. A to wam pp. „sztatskije dezertiry“ całkiem się nie uśmiecha!“

I tego się doczekali ci, co tak wiernie pracowali dla cara! — usłyszeli wymówki o pobrane ruble od „bogatych rodziców“ i dowiedzieli się, że są zwykłymi zdrajcami i dezerterami swego narodu i państwa, którzy nic innego nie potrafią tylko wałęsać się bez pracy, a żyć z komfortem w gniazdeczkach, unikając myślenia i pracy. Wysłano ich wreszcie nad Morze lodowate! Nie wiele sobie jednak z tego robiąc, spakowali redaktorowie „Prykarpatskiej Rusi“ manatki i z ludźmi swoimi w czas jeszcze drapnęli, witani na dworcu w Kijowie — jak fama niesie — jajami zgniłemi, laskami i parasolkami. Po nich kolej przyszła i na prawdziwych Rosyan, którym przyznać należy, że do ostatniej chwili wytrzymali mężnie na stanowisku.

Coraz niepomyślniejsze wieści przychodziły z zachodu — z dnia na dzień zbliżały się potworne huki armat bliżej rogatek, a z tem rosła u ludzi nadzieja, że przecież oczekiwanie blisko dziesięciomiesięczne nagrodzone zostanie w końcu. Ile jednak obaw wywoływało u wszystkich nieco dłuższe zamilknięcie kanonady, jak drżały serca z niepokoju, kiedy nie widać było jeszcze na ulicach cofających się oddziałów? Nad wszystkiem jednak górowała niepewność, co też uczynią Rosyanie przy odwrocie. Od tygodni już zapowiadali uczciwsi żołnierze, że mieszkańcy powinni

ię kryć i zamykać swój dobytek, bo oni, a względnie kozacy mają pozwolenie „pohulania" sobie; prócz tego inna jeszcze rzecz trwożyła mieszkańców, zwłaszcza rodzaju męskiego. Dnia 15. czerwca okazało się na mieście, oddawna już myłkiem zapowiadane ogłoszenie, że całą ludność męską wieku od 18 do 50 lat wywiezie się do Rosyi. Spodziewano się tego wywozu, bo istotnie dniami całymi i nocami aresztowano mnóstwo ludzi, przeważnie młodych, nie wiedzieć za co i w jakim celu. Okazało się, że pędzą ich do robót na szańcach podmiejskich, a potem popędzą do Rosyi. Kryli się też wszyscy, gdzie kto tylko mógł znaleść pogodniejszy schowek przed okiem gorodowych i żandarmów. Wprawdzie w decydującej chwili można było ratować się jeszcze „legitymacyami z portretem cara", ale nie zawsze się to udawało. Wynajdowano piwnice, strychy, spano na drzewach w parkach, nie wychodzono całymi dniami na ulice i wogóle posługiwano się wszelkimi możliwymi sposobami, by ujść ręki żbirów. Na jakie pomysły zdobywali się ludziska, by ukryć się zwłaszcza w nocy, bo kiedy przeważnie odbywała się nagonka, tegoby nie spisał na wołowej skórze; zamykano się w kominach, zamurowywano w skrytkach, spuszczano się do kanałów, spinano się na dachy, spano przy otwartych oknach, by na lada szmer wyskoczyć na podwórze, czy do ogrodu i tam przeczekać obławę. Wielu uratowało się w ten sposób, ale setki mimo wszystko popadły w pazury gorodowych: po pracach w szańcach popędzono ich do Rosyi, względnie do dalszych prac przy sypaniu wałów.

Dwie obawy wielkie wypełniły Lwowianom ostatnie dnie pobytu Rosyan w mieście; spodziewano się pogromu Żydów i grabieży, oraz uprowadzenia mężczyzn w latach wojskowych. Jedno i drugie miało swoje uzasadnienie.

Pogrom i grabież zapowiadali nawet prystawi policyjni, a co do drugiego, to niejasno wystylizowane w tym względzie ogłoszenie nie ustalało, czego się można spodziewać za dni kilka. Ostatnie to, a niezapomniane z wrażenia, jakie sprawiło, ogłoszenie rosyjskie we Lwowie opiewa następująco:

„Od Wojennego Generał-Gubernatora Galicyi.

Ogłoszenie.

W celu uniknięcia poboru męskiej ludności Galicyi w wieku od lat 18—50 w szeregi armii austro-węgierskiej w miejscowościach mogących być opuszczonymi przez wojska rosyjskie, Głównodowodzący armiami południowo-zachodniego frontu rozkazał wszystkich takich mieszkańców, oprócz żydów, wysłać w granice Państwa Rosyjskiego, do gubernii Wołyńskiej, pozwalając im wziąść ze sobą rodzinę, dobytek, trzodę i konie.

Wobec tego proponuje się osobom, mającym zamiar obecnie wyjechać do wyżej wymienionej gubernii na własny koszt, że korzystać mogą oprócz zwyczajnych pociągów, jeszcze z dodatkowych, które odchodzą z dworca głównego codziennie, począwszy od dnia 3. (16.) czerwca, wieczorem. Wyjeżdżający koleją, powinni zaopatrzyć się w przepustki, które wydaje Kancelarya Jenerał-Gubernatora.

Dozwala się również wziąść z sobą mały bagaż.

Lwów, dnia 2. czerwca 1915.

Wojenny Jenerał-Gubernator Galicyi
Jenerał-Adjutant
hrabia *Bobrinskij*“.

Ogłoszenie to wspomina w pierwszej części o rozkazie, a w drugiej proponuje wyjazd, jednak z nadmienieniem, iż na koszt własny. Niejasność uderza zeń i z tego jeszcze względu, że brak terminu ostatecznego, tudzież uwagi, jaka kara czeka za niewypełnienie polecenia. Szczegóły te wskazywały na ukrytą jakąś intencyę, ale jaką — tego nie można było na razie odgadnąć. Przypuszczano ogólnie, że po zezwoleniu majętniejszym na wyjazd koleją, niezamożnych popędzi się etapem i dlatego niemało z tchórzliwych, obawiając się podróży pieszej, wybrało jazdę kolejową, porzucając miasto. Reszta żyła w niepewności, oczekując odwrotu rychłego, któryby ich uratował wczas jeszcze; spodziewano się, że Moskale nie będą mieli czasu i możności uskutecznić swego barbarzyńskiego pomysłu. Kiedy jednak nikogo nie próbowano nawet zmuszać do wyjazdu, a wiadome było, kto musi opuszczać Lwów — poczęli ludzie przezierać, domyśliwając się w czem istota niejasnego owego, z rozmysłu, ogłoszenia. Do reszty zaś wyjaśniły zagadkę notatki w „Słowie Polskiem“, konstatujące, że miasto pustoszeje, że tysiące wyjeżdżają i przypominające parokrotnie, że jest wyraźny rozkaz wyjazdu i że należy spieszyć po przepustki, których już kilkanaście tysięcy wydano. Zrozumieli ludzie, że ci, którzy bezwarunkowo musieli wyjeżdżać zabiegali w ten sposób o zachowanie pozorów, iż pod przymusem to czynią; głosić pracę dla idei, a potem uciekać dobrowolnie nie wypadało. Opowiadano powszechnie po mieście, że władze ro- ·jskie bynajmniej nie z własnej inicyatywy wpadły na ›mysł wydania tak kunsztownie krętackiej odezwy i ogól- ɔ wskazywano, jako na jej autora i inspiratora, na je- ›ego z głównych menerów narodowej demokracyi.

r

Z kompletem redakcyjnym „Prykarpatskiej Rusi" wyjechała w całości i reprezentacya „Słowa Polskiego" razem z policyą, ochraną, żandarmeryą, czynownikami i wszystkiem, co przez przeciąg dziesięciu miesięcy przedstawiało „rosyjską ludność" Lwowa. Pozostało tylko kilkudziesięciu kozaków z gubernatorem Szeremetjewem. Godziny rosyjskiego Lwowa były już policzone. Przyszła niezapomniana niedziela 20. czerwca 1915 r.

Przytoczymy przeżycia dnia tego według zapisków południowej kroniczki okupowanego Lwowa. Po trzech dniach czytamy tam — olbrzymiej kanonady na zachód od miasta, poczęło ono przybierać od wczesnego ranka wygląd opustoszałego całkowicie z wojsk rosyjskich. Żołnierze opuścili kasarnie jeszcze w nocy, a już rankiem poczęli w nich grasować ludziska, wynosząc co się tylko dało. Cytadela świadkiem była poraz drugi — jak w pamiętne dnie wrześniowe — scen, godnych utrwalenia. Tłumy całe obładowane zwłaszcza drzewem, uwijały się bez wytchnienia, odnosząc łupy do domów i sprowadzając coraz nowych amatorów, od których się roiło dzień cały. Podobne sceny rozgrywały się i w innych kasarniach.

Strzałów armatnich nie było prawie słychać, ale za to rozlegały się bezustannie detonacye — jak powiadano — od wysadzanych dokoła miasta mostów, dróg i objektów wojskowych. Popołudniu poczęły się wznosić nad dworcem kolejowym olbrzymie tumany skłębionego dymu czarnego od podpalonych zapasów: palą się bez przestanku zwały węgla, zbiorniki ropy, nafty, ogromne masy mąk stągi drzewa i wogóle całe sąsiedztwo dworca. Na ra gmach sam stoi jeszcze cało, ale niewiadomo, czy wytr ma do jutra. O ratowaniu niema mowy, bo niepozwo ali noby nawet na to. Ze wzgórza cytadeli obserwować mo

skłębione, czarne zwały dymu, z którego od czasu do czasu wystrzelają w górę języki płomienne przy akompaniamencie wybuchów podłożonych min, czy prochów.

U wylotu ul. Dojazdowej do kościoła św. Elżbiety zgromadzony tłum obserwuje pożar i wybuchy, oglądając też ludzi, ciągnących łupy z zabudowań kolejowych. Wszyscy podrażnieni, niepewni, co im chwila każda przyniesie, ale ciekawi na własne oczy chcieli widzieć, „jak się będą wreszcie zabierali". I istotnie na ulicach nie widać już prawie żołnierzy — tylko od czasu do czasu przemknie jakiś automobil lub wóz z nimi, albo też przypadkiem zjawi się jakiś żołnierz pojedynczy. Pożar przeciąga się do nocy, ale wystrzałów armatnich prawie nie słychać. Na razie w nocy spokój w mieście, ale obawiają się rabunków osławionych opryszków, kozaków, którzy już przed wczoraj pokazali, co umieją, mordując rodzinę żydowską koło cmentarza żydowskiego i rozbijając szynki i sklepy. Plagi tej obawiają się ludzie najbardziej i proszą Boga, by „nasi" przyszli jak najprędzej, bo nikt nie jest pewny głowy ni mienia.

W tej chwili (godzina trzy kwadranse na dziesiątą w nocy) rozległa się olbrzymia detonacya w zachodniej stronie miasta, jakiej za cały dzień słychać nie było. Łuna ogromna oświeca przedmieście Gródeckie. Grozę dnia spotęgował jeszcze pożar kamienicy u zbiegu ul. Batorego i Pańskiej — przypisują go osobistej zemście, lub też złośliwości Moskali, którzy zajmowali prawie cały ten dom.

Ruch w mieście ustał całkowicie — sklepy zamknięte przeważnie z obawy przed rabunkami. Zwłaszcza żydzi boją się okrutnie, bo z wykluczenia ich od wyjazdu do Rosyi wnioskują, że na to ich pozostawiają, by im kozacy rzeź sprawili. Że domysł to nie bezpodstawny tego do-

wodem nietylko tradycye rosyjskie w tym kierunku, ale też i całkiem jawne i głośne twierdzenie gorodowych i żołnierzy, że kozacy pohulają sobie w mieście. Obawy te jedynie powstrzymują ludzi od głośniejszych objawów radości, że raz wreszcie żegnają się z nami „nasi przyjaciele“, że raz wreszcie oswobodzą nas, ale od osób swoich. Dali się oni we znaki, a zwłaszcza opryszki z policyi.

Bieda u ludności nie mała, bo Moskale ogołocili miasto z zapasów mąki, cukru, soli, a także z urządzeń fabrycznych, które umyślnie niszczyli „przed Germancem“. Mimo to wszystko jednak ludzie chętnie na to przystali, byle raz wreszcie zobaczyć Lwów wolny od tej szarańczy. Zapisali się oni w pamięci wszystkich, zwłaszcza w czasach ostatnich! Aresztowali masami za najrozmaitsze możliwe i niemożliwe przewinienia — podejrzenie o posiadanie w domu chorągwi austryackiej, lub też kiełbasy dla żołnierzy austryackich wystarczyło, by ludzi zamykać do aresztu i puszczać ich stamtąd za grubą łapówką.

Trapi wszystkich myśl jedna, a mianowicie kiedy już raz Austryacy pokażą się w mieście? Niepokoi ludzi, iż właściwie nie było dotychczas odwrotu armii. Zdaje się jednak, że odbywa się on po drogach wokół miasta, a nawet koleją okrężną — tren przesunięto zaś przez samo miasto. Zastanawia, dlaczego budowali w czasach ostatnich fortyfikacye dokoła — czyby mieli się w nich bronić? Zdaje się jednak, iż szańce te służyć mają dla osłony odwrotu. Gdyby tak było, to nie wykluczone, że wojska austryackie nawet i jutro pokazać się już mogą we Lwowie.

Nie dość było Moskalom doszczętnego złupienia miasta ze wszystkich zapasów, z pieniędzy (banki wywieźli) i wogóle mienia, bo na dobitek, by nie oszczędzić mu

i największego ciosu, aresztowali i wywieźli zaraz do Rosyi uwielbianego wprost Prezydenta dra Rutowskiego z wiceprez. Stahlem i Schleicherem — aresztowali też w nocy dyr. Czołowskiego i jako zakładnika wysłali do Rosyi razem z wieloma innymi. Wywiezienie jednak prez. Rutowskiego zadało Lwowianom najdotkliwszy cios — wierzyć dzień cały nie chciano, że istotnie czegoś podobnego dopuścili się wandale. Pod bramami ratusza płakali ludzie rano w niedzielę, dowiadując się, że naprawdę niema już kochanego Prezydenta. Dotknęło to wszystkich bez wyjątku we Lwowie bardzo boleśnie.

Noc cala z 20. na 21. czerwca zeszła na pożarach wśród sporadycznych wybuchów i wystrzałów armatnich. Nie przeszkadzało to oczywiście opryszkom napadać na domy prywatne i bogatsze sklepy w mieście. Złupiono więc tej nocy prawie wszystkie znaczniejsze składy jubilerskie, a oprócz tego i sporo innych. Nie obeszło się też i bez mordów. Cały więc dzień dzisiejszy minął przedewszystkiem na rejestrowaniu tych wypadków i komentowaniu wczorajszych, a pozatem wypełniło go oczekiwanie niecierpliwie czegoś, na co już tak dawno się czekało, a co już tak bliskie było urzeczywistnienia. Na rogatce Janowskiej tłumy ludzi przysłuchują się od popołudnia kanonadzie od strony Janowa, względnie bliżej Lwowa, a zastanawiające jest, iż od Stryjskiego słychać już nawet salwy karabinowe nad wieczorem. Z nocą opustoszały ulice, jak wymarłe i żaden szmer nie zakłócił grobowej ciszy, od której wprost w uszach dźwięczało. A ledwie dwa dni temu ulice kotłowały się od ścisku wozów i automobili!

22. czerwca 1915 r. powitał Lwów poranek, osnuty w dymy pożarów, ale pogodny i życzliwy dla Lwowian.

Działa grały tak doniośle, iż zdawało się jakoby już w samem mieście padać miały od nich granaty. Serca rosły ludziom, bo wnet już urzeczywistnić się miało, co tak długo tylko marzeniem było. Najszczęśliwszym jeno danem było oglądać na własne oczy scenę, która o godz. 9-tej rano miejsce miała w ratuszu. Oficer rosyjski w towarzystwie kozaka udał się na stromą wieżę ratuszową, gdzie zdjętą flagę o kolorach rosyjskich odebrał od strażaka, zwinął starannie i oddalił się w milczeniu. Zdjęto także chorągwie z drzewca na kopcu Unii Lubelskiej i pałacu namiestnikowskiego. W kilka chwil później gubernator wojenny, Szeremetjew, odjechał automobilem w stronę rogatki Łyczakowskiej, otoczony oddziałem konnicy. Wraz z nim ustąpiła z ulic i żandarmerya polowa, a zostały się tylko zapóźnione patrole kozackie, które wkrótce stoczyły na Łyczakowie walkę uliczną z nadjeżdżającym od strony Gródeckiej rogatki patrolem austryackim. Około godz. 2 popołudniu odezwały się strzały w stronie cmentarza Łyczakowskiego, gdzie poukrywały się małe oddziały rosyjskie. Ustępujące z miasta wojska zdołały jeszcze podłożyć pod kopiec Unii Lubelskiej kilka min, które nieznacznie go tylko uszkodziły. Były to ostatnie ślady walki o Lwów.

Około 12-tej godziny w południe okazały się na rogatce Janowskiej pierwsze patrole austryackie. Lwów rosyjski rozwiał się jak widmo mgliste. Lwowianie odetchnęli poraz pierwszy od dziesięciu prawie miesięcy swobodnie.

SPIS RZECZY.



